LUDOWA HISTORIA POLSKI

PIOTR KORCZYŃSKI

ŚLADAMI SZELI

CZYLI DIABŁY POLSKIE

RM

Śladami Szeli, czyli diabły polskie

Piotr Korczyński

Copyright © 2020 by Piotr Korczyński

This edition copyright © 2020
by Wydawnictwo RM

Wydawnictwo RM,
03-808 Warszawa, ul. Mińska 25
rm@rm.com.pl
www.rm.com.pl

ISBN 978-83-8151-414-9
ISBN 978-83-8151-435-4 (ePub)
ISBN 978-83-8151-436-1 (mobi)

Redaktor merytoryczny serii: Przemysław Wielgosz
Redaktor prowadząca: Marta Stochmiałek
Redakcja: Aleksandra Żdan
Korekta: Maria Gadysz, Marta Stochmiałek
Projekt okładki: Agata Muszalska
Ilustracje: Piotr Korczyński
Koordynacja produkcji wersji elektronicznej: Tomasz Zajbt
Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański
Weryfikacja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli.

Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książce, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl

Tutaj znajdują się ilustracje Piotra Korczyńskiego w kolorze:

Spis treści

Zamiast wstępu

Rozdział I. Straszny ród Batorych

Rozdział II. Diabły polskie są zbyt romantyczne

Rozdział III. „Sławny Żyd, Polak prawy”

Rozdział IV. Przyśpiewki odciętej głowy z Racławic

Rozdział V. Apostoł „ziemi od krwi dymiącej”

Rozdział VI. Czas Cyganów się nie skończył…

Rozdział VII. Stary wiarus idzie w noc listopadową

Rozdział VIII. Maks Gierymski nie został żołnierzem wyklętym

Rozdział IX. Potęga wizerunku

Rozdział X. Wolny jak taczanka na stepie

Rozdział XI. Osobliwy przyjaciel Żeromskiego

Rozdział XII. *W polu*, czyli w błocie i we krwi

Rozdział XIII. Zredukowany

Rozdział XIV. Operacja *Ku wolności*

Rozdział XV. *Autobus* Linkego

Rozdział XVI. Belki z Birkenau

Rozdział XVII. Milczący prorok z Wożuczyna

Rozdział XVIII. Zarażony śmiercią

Rozdział XIX. Lubieżny Pingwin z Branic

Rozdział XX. Słońce wschodzi raz na dzień dla wszystkich
Rozdział XXI. Kubizm ze wsi Sitnica
Rozdział XXII. Jak Janko Muzykant został wampirem
Rozdział XXIII. Ostatni husarz w Paryżu
Rozdział XXIV. Ballada o rozebranej Polce
Rozdział XXV. *Danse macabre* dwóch Eugeniuszów
Rozdział XXVI. Sted – życiorys alternatywny
Rozdział XXVII. Strzeżcie się wakacyjnych pociągów
Rozdział XXVIII. Kiedy zło dobrem nagradza
Rozdział XXIX. Stan wojenny Robespierre’a i Dantona
Rozdział XXX. Wiosna elektronicznego mordercy
Rozdział XXXI. Popiół i wierzby
Przypisy

Wielkie serca […] są jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek…
Adam Mickiewicz, *Konrad Wallenrod*[1]

Dramat jest uzgodnieniem konfliktów.
Władysław Strzemiński[2]

Czasami palce pragną aksamitu,
a nie drzazg. Normalna potrzeba.
Marcin Świetlicki, *Łagodna ucieczka na południe*[3]

Zamiast wstępu

Nad wejściem do katedry wawelskiej wiszą na łańcuchach kości mamuta, nosorożca i walenia. W średniowieczu wierzono, że to szczątki smoka, który żył niegdyś w podwawelskiej grocie. Powieszone nad bramą katedralną miały odstraszać złego ducha od strefy sacrum. „Kości smoka" pilnowały doczesnych szczątków polskich władców i bohaterów narodowych. Legenda zmieszała się z historią i powstał piękny mit. Jeden z wielu. Kiedy zaborcy wymazali I Rzeczpospolitą z mapy Europy, naród, by przetrwać, zaczął żyć starymi mitami i tworzył nowe. Te dawne dotyczyły minionej potęgi. Przypominano w nich zarówno o zwycięstwach, jak i wielkiej tolerancji polskich władców; wynoszono pod niebiosa ustrój Rzeczypospolitej, dający szlachcie niespotykane gdzie indziej przywileje. Z drugiej strony wskazywano „diabelskie siły", które ściągnęły na ojczyznę nieszczęścia i doprowadziły do jej unicestwienia. Pod zaborami po każdym kolejnym przegranym zrywie zbrojnym rodziły się nowe legendy: naczelnika Kościuszki prowadzącego kosynierów na rosyjskie działa pod Racławicami; Legionów generała Dąbrowskiego, który z ziemi włoskiej niósł wolność, i ta największa – cesarza Napoleona, który tę wolność przyniósł na bagnetach swej Wielkiej Armii, choć zaraz pogrzebana została ona w wojnie z Rosją w 1812 roku. Legendą napoleońską żyło kilka kolejnych pokoleń, aż do klęski powstania styczniowego, którego tradycja okazała się znowuż zaczynem Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego. Komendant przypominał podkomendnym o garstce straceńców, którzy w styczniu 1863 roku prawie bezbronni odważyli się rzucić wyzwanie wielkiemu imperium carów. Gdy Polska odzyskała w 1918 roku niepodległość, weterani powstania styczniowego, którzy dożyli tej szczęśliwej chwili, otrzymali

szczególny status – stali się w II Rzeczypospolitej dosłownie żywymi legendami.

Klęska września 1939 roku i lata II wojny światowej przyniosły nowe mity, które dyskutowane są do dzisiaj: świetność II Rzeczypospolitej, powstanie warszawskie, Monte Cassino, Lenino i wiele innych. Legendy tworzył też nieprzyjaciel, tyle że niepochlebne – jak ta, stworzona w kwaterze Josepha Goebbelsa, o polskiej kawalerii szarżującej z szablami na czołgi. Pokazał to później Andrzej Wajda w swej *Lotnej*, za co posypały się na niego gromy krytyki, że powiela hitlerowskie paszkwile. Reżyser bronił się, mówiąc, że jego zamiarem nie było stworzenie filmu historycznego, lecz takiego, który oddawałby atmosferę ginących wartości „ostatnich rycerzy" – kawalerzystów II Rzeczypospolitej. I miał wiele racji, gdyż w 1939 roku do arsenału ludowych legend dołączyła ta o polskim diable, który w ułańskim mundurze, na „piekielnym koniu", ogniem niszczył niemieckie czołgi…

Mity nie tylko krzepiły serca Polaków pod zaborami czy okupacją, lecz także były potężną bronią. Dobrze pamiętali o tym Niemcy po 1939 roku, między innymi tropiąc zapamiętale ukryty przed nimi słynny obraz Jana Matejki *Bitwa pod Grunwaldem.* Znali siłę tego płótna, w którym mistrz zamknął nie jeden, ale kilka mitów o triumfie Polaków nad „odwiecznym niemieckim wrogiem". Co znamienne, kiedy Gestapo poszukiwało obrazu Matejki, inne „historyczne" wizerunki tej bitwy – Kossaków czy Suchodolskiego – spokojnie wisiały na swoim miejscu. Inaczej z polskimi mitami postąpił Józef Stalin. On włączył je w swoje plany podporządkowania sobie Polski. Dlatego pozwolił, by w tworzonym przez komunistów wojsku poszczególne jego dywizje miały za patronów polskich wodzów walczących z Rosją – Kościuszkę, Dąbrowskiego, Traugutta. To dzięki Stalinowi nie

pocięto na części *Panoramy Racławickiej*, co chcieli uczynić gorliwi polscy przedstawiciele instalowanej przez Sowietów nowej władzy. Generalissimus dobrze rozumiał, jakie znaczenie ma bitwa pod Racławicami dla Polaków – jak wielkim jest mitem. Według niego lepiej było ten mit „oswoić", niż niszczyć.

Polskie mity trudno jednak „oswajać" i jeszcze trudniej z nimi walczyć. Przekonało się o tym wielu śmiałków, którzy podjęli to wyzwanie. Paradoksalnie ich działania często jeszcze bardziej te mity umacniały. Tak było w wypadku artystów polskiej szkoły filmowej, która przebojem wdarła się po 1956 roku do polskiego i światowego kina. Filmy Andrzeja Wajdy, Jerzego Kawalerowicza, Andrzeja Munka czy Kazimierza Kutza miały być rozrachunkiem z polskim romantyzmem, który powiódł pokolenie Kolumbów na barykady. Okazało się jednak, że zamiast weryfikować, jeszcze bardziej umocniły i rozsławiły polskie mity nie tylko w kraju, ale też bez mała na całym świecie – od Nowego Jorku po Tokio.

Potęgę mitów, które potrafią spajać różne grupy społeczne w naród, celnie opisał Stanisław Wyspiański w *Weselu*, gdzie szlachcic i chłop, wspominając dawne dzieje, niby mówią o tych samych wydarzeniach, ale zupełnie inaczej je rozumieją i interpretują:

> PAN MŁODY
> Jak się wszystko dziwnie plecie…
>
> GOSPODARZ
> Jak się wszystko plecie dziwno[1].

Niniejsza publikacja traktuje właśnie o potędze mitów, ale w trochę inny sposób, niż się to zwykle czyni. Nie walczy z nimi, bo – zdaniem autora – legenda przygotowuje na spojrzenie prawdzie w oczy i łagodzi związany z tym dys-

komfort. Jest niezbędna. Opracowanie to pokazuje, że mit nie jest jednoznaczny ze stereotypem i że wciąż podlega ewolucji. Dowodzi jeszcze jednego: że artyści w tym kraju nierzadko równi byli wielkim wodzom, politykom i historykom, a często także przejmowali ich role.

Rozdział I

Straszny ród Batorych

Naga kruczowłosa Paloma Picasso kąpiąca się w miedzianej wannie pełnej krwi… Tak osławioną „krwawą hrabinę” – Elżbietę Batory – przedstawił w swych *Opowieściach niemoralnych* Walerian Borowczyk. W porównaniu z innymi dziełami popkultury, w których pojawia się ta Drakula w spódnicy, w filmie Borowczyka nie ma epatowania okrucieństwem czy dosłownych scen tortur, jakim hrabina miała poddawać swe ofiary na zamku w Čachticach, zanim wytoczyła z nich krew. Wierzyła bowiem, że dzięki krwawym kąpielom pozostanie na wieki młoda i piękna…

Wszystkie te banialuki na temat Elżbiety Batory spisał około 1729 roku jezuita László Turóczi w swoim dziele pod tytułem *Ungaria suis cum regibus compendio data* [Zdobycze Węgier i ich władców]. Wiarygodność tekstu ze względu na okres, jaki dzieli go od wydarzeń z 1610 roku, jest, delikatnie mówiąc, dyskusyjna, ale nie to jest tutaj najistotniejsze. Paszkwil Turóczego miał konkretny cel polityczny i był wymierzony w ostatniego księcia Siedmiogrodu, spokrewnionego z rodem Batorych, Franciszka II Rakoczego. Choć kierowane przez niego wielkie powstanie antyhabsburskie na Węgrzech poniosło klęskę, a on sam żył na emigracji w Turcji, wciąż był uważany przez dwór wiedeński za groźnego przeciwnika. Publikacja Turóczego była także zemstą

zakonu jezuitów na byłym wychowanku. Rakoczy spędził dzieciństwo i młodość w austriackiej niewoli, w której został oddany na wychowanie właśnie jezuitom. Ci mieli go zmienić z węgierskiego patrioty w wiernego poddanego cesarza Austrii. Wydawało się, że misja się powiodła, gdyż sprytny młodzieniec doskonale odgrywał narzuconą mu rolę, ale tylko do czasu, kiedy nadarzyła się okazja zmontowania przy pomocy Francuzów naprawdę groźnego spisku wymierzonego w znienawidzonych Habsburgów.

Wśród licznych i wymyślnych zbrodni pani z Čachtic największą według Turócziego było… jej przejście z katolicyzmu na luteranizm – miała to być również główna przyczyna jej przemiany w wampirzycę… Ironią tej historii jest to, że dzięki swemu dziełu bogobojny zakonnik stał się „ojcem” horroru, wszak to właśnie z jego dzieła Bram Stoker czerpał pełnymi garściami przy pisaniu swej opowieści o hrabim Drakuli z Transylwanii. Co spowodowało jednak, że z całego rodu Batorych, w którym prawdziwych „potworów” (przy tym zdeklarowanych wrogów Austrii) nie brakowało, właśnie Elżbieta stała się największym uosobieniem diabelskich mocy wymierzonych w święte cesarstwo? Wbrew pozorom odpowiedź jest prosta: była kobietą, a ściśle mówiąc – kobietą nie tylko piękną, ale też niezwykle inteligentną, wykształconą (władała płynnie w mowie i piśmie węgierskim, łaciną i niemieckim), a przy tym bajecznie bogatą. Nie bez znaczenia było też to, że Elżbieta publicznie wyrażała uwielbienie dla swego wuja, króla Polski Stefana Batorego i życzliwie patrzyła na poczynania kuzyna, księcia Siedmiogrodu Gabriela Batorego, który planował wyrwać z rąk austriackich koronę św. Stefana i na nowo zjednoczyć Węgry. To wszystko nie mogło się podobać królowi i przyszłemu cesarzowi Maciejowi II Habsburgowi, który – by osłabić poczynania wrogich mu Batorych i jednocześnie

przejąć wielki majątek hrabiny z Čachtic – zlecił swemu palatynowi węgierskiemu György'emu Thurzó zawiązać przeciw Elżbiecie intrygę, której finałem miało być uwięzienie kobiety.

Elżbieta w 1575 roku jako piętnastoletnia dziewczyna została żoną Ferenca Nádasdyego, sławnego wodza gromiącego Turków, a przy tym dziedzica swego rodu oraz spadkobiercę majątku rodziny Drághaffy. Gdy więc Nádasdy zmarł nagle 4 stycznia 1604 roku (według Turóczіego został oczywiście otruty przez Elżbietę), wdowa odziedziczyła ogromny majątek, pomnożony dodatkowo o spadek po śmierci jej brata, Stefana, w 1605 roku. W testamencie brata zapisano jej między innymi zamek Dévény, który położony był na granicy z Austrią i stanowił doskonały punkt wypadowy do ataku na Wiedeń. Maciej II odkupił od niej ten zamek, choć ni-

gdy za niego nie zapłacił, ale w 1608 roku pojawiło się nowe niebezpieczeństwo. Księciem Siedmiogrodu został zaprzysięgły wróg Habsburgów – Gabriel Batory. Jeśli życzliwa mu kuzynka stanęłaby z całym swym majątkiem po jego stronie, Węgry mogłyby zostać bezpowrotnie utracone. 29 grudnia 1610 roku palatyn György Thurzó uwięził Elżbietę pod zarzutem, że próbowała uciec do Siedmiogrodu. Faktycznie, hrabina wyjechała w tym czasie do zamku Sárvár, aby skorzystać z tamtejszych gorących źródeł, ale podróż była zaplanowana z dużym wyprzedzeniem i wszyscy o niej wiedzieli. Nie wspominając o tym, że ucieczka do Siedmiogrodu przez góry w zimie byłaby szaleństwem. Thurzó potrzebował naprędce innych powodów legitymizujących dokonane już aresztowanie magnatki. Na mocy Złotej Bulli Andrzeja II i Tripartitum (zbioru praw Królestwa Węgier z 1515 roku) nie wolno było przetrzymywać szlachcica bez wyroku sądowego. Co więcej, potrzebne były dowody winy. W tej sytuacji palatyn dzięki sugestiom swego kapelana postanowił odwołać się do sprawdzonych metod. Oskarżył hrabinę, że jest wiedźmą. Zachował się list księdza Janosza Ponékinusza, w którym radził on swemu przełożonemu, kapelanowi palatyna, jak mają zeznawać świadkowie podczas tortur. Według niego śledztwo powinno być prowadzone tak, aby przesłuchiwani oskarżali Elżbietę, że kazała sługom jeść ludzkie mięso, a sama kąpała się we krwi mordowanych dziewic. W ten sposób Thurzó zdobył dowody, że pani na Čachticach własnoręcznie zamordowała około trzysta szlachcianek i nieszlachcianek!

Po szybkim, dwutygodniowym procesie skazano na śmierć i stracono troje sług hrabiny, którym w czasie tortur „udowodniono” współudział w mordach. Była to między innymi znachorka Anna Darvulia, która miała przekonać hrabinę do skuteczności krwawej kuracji odmładzającej, i karzeł Ján

Ujvári, zwany Fritzko, oskarżony o mordowanie dziewczyn. Jednak mimo „twardych” dowodów proces samej hrabiny nigdy się nie odbył. Po pierwsze, Elżbieta przewidziała taki obrót sprawy i cały swój majątek zdążyła przepisać na trójkę swych dzieci, a po drugie, proces wykazałby, że Thurzó złamał prawo. Nawet jeżeli Elżbieta Batory zostałaby złapana na gorącym uczynku podczas morderstwa szlachcianki, to decyzję co do jej losów mógł podjąć jedynie król w porozumieniu z Radą Królewską, a prałaci i baronowie królestwa przebywali w tym czasie w różnych miejscach kraju. Ponaglany przez Macieja II do rozpoczęcia procesu Thurzó tłumaczył kuriozalnie, że nie może dostarczyć Elżbiecie wezwania na proces, bo ta jest już w areszcie i należy ją traktować, jakby była osobą martwą… Hrabina, nie doczekawszy procesu, zmarła 21 sierpnia 1614 roku, po czterech latach zamknięcia w wieży.

Dzięki jezuickiemu paszkwilowi Elżbieta Batory stała się bohaterką ogromnej liczby horrorów, komiksów, filmów i gier – produktów zaliczanych w kulturze do klasy B (lub niżej). Przywoływany na początku rozdziału film Waleriana Borowczyka, choć nie obala mitu krwawej hrabiny, jest przynajmniej wysmakowanym plastycznie i wartościowym artystycznie dziełem. Niestety, historycy, zwłaszcza ci z zachodniej Europy, wciąż w przewadze podążają tropem wyznaczonym przez dzieło Lászla Turócziego. Ale w każdej legendzie jest ziarno prawdy: w wielu ówczesnych magnackich rodach w wyniku licznych małżeństw między bliskimi krewnymi zdarzały się „potwory”, nie inaczej było z Batorymi.

Stefan Batory, bezsprzecznie jeden z najznakomitszych władców elekcyjnych Rzeczypospolitej Obojga Narodów, gruntownie wykształcony (studiował na uniwersytecie w Padwie razem ze swym przyjacielem i przyszłym współpra-

cownikiem – Janem Zamoyskim), pogromca wojsk Iwana Groźnego pod Pskowem, nie zdołał jednak zapewnić sobie sukcesji po śmierci. Mimo że zdobył polskie indygenaty szlacheckie dla kilku członków swego rodu, uzyskał promocję na kardynała i biskupa warmińskiego dla Andrzeja Batorego, a przede wszystkim wydał swą bratanicę, Gryzeldę, za hetmana Jana Zamoyskiego z myślą o przyszłej unii polsko--siedmiogrodzkiej, nie udało mu się zbudować w Polsce ciągłości władzy dla Batorych. Jednym z głównych powodów było to, że Stefan Batory nie chciał być „królem malowanym”. Już na sejmie w Toruniu w 1576 roku ostrzegał polską szlachtę:

> Z wolą Bożą wyście mnie obrali waszym królem. Przybyłem tu na wasze prośby i nalegania. Wyście włożyli koronę na moją głowę. Dlatego też jestem waszym królem, a nie lalką rzeźbioną lub malowaną. Chcę panować i rozkazywać i nie ścierpię tego, żebyście mieli być moimi nauczycielami albo nauczycielami doradców[1].

Nie były to słowa rzucane na wiatr, o czym przekonał się Samuel Zborowski, ścięty 26 maja 1584 roku na dziedzińcu zamku wawelskiego za swe warcholstwo i knowania przeciwko królowi. Było to wydarzenie bez precedensu i przysporzyło monarsze wielu wrogów. Opinia szlachecka uczyniła ze Zborowskiego męczennika i obrońcę „złotej wolności”, zaczęto też sarkać na panoszenie się „Węgrzynów”, którzy przybyli do Polski razem z Batorym. Bartosz Paprocki pisał między innymi tak o Ferencu Wesselényim, powierniku króla w Polsce: „Węgrzyn nad zwyczaj wielu Węgrów chował […] Rzeczypospolitej dobra niemi pustoszył…”[2]. Opozycja (nie bez podszeptów i dukatów habsburskich) zaczęła króla oskarżać o okrucieństwo i zwracać baczniejszą uwagę na poczynania niektórych członków rodu Batorych, zwłaszcza na bratanka królewskiego, księcia siedmiogrodzkiego Zygmunta Batorego…

Przedwczesna śmierć króla Stefana Batorego w 1586 roku zahamowała wszelkie plany dynastyczne, a zupełnie przekreśliła je niesława księcia Zygmunta Batorego panującego w latach 1586–1599 w Siedmiogrodzie. Ten rzeczywiście okazał się okrutnikiem, dodatkowo co chwilę zmieniającym decyzje – po trzykroć rezygnował z tronu siedmiogrodzkiego i po trzykroć nań wracał. Po aktorsko zainscenizowanym pierwszym odejściu z tronu zorganizował krwawą zemstę na wszystkich, którzy poparli rządy jego chwilowego następcy, zresztą przez niego samego wyznaczonego. Po wymyślnych torturach stracono zarówno niefortunnego następcę Zygmunta, jego bliskiego kuzyna Boldizsára (Baltazara), jak i elitę siedmiogrodzkiej społeczności – polityków, humanistów, byłych współpracowników króla Stefana. Kiedy żona księcia Baltazara, Zuzanna, błagała o litość dla swego męża oraz ojca, który także znalazł się na liście proskrypcyjnej, Zygmunt kazał ją rozebrać i nago przepędzić poza zamek. Jeszcze większym okrutnikiem okazał się następca Zygmunta – Gabriel Batory (przez którego została uwięziona jego kuzynka Elżbieta), książę siedmiogrodzki w latach 1608–1613. Czas jego panowania to okres rzezi urządzanych prawdziwym i domniemanym przeciwnikom. Zapytany przez swych doradców, kiedy wreszcie „uspokoi swe rządy”, miał odpowiedzieć, że dotychczas osiągnął liczbę dziewęciuset kochanek, obiecuje więc, że gdy dociągnie do tysiąca, zacznie poprawiać się pod każdym względem. Nie wiadomo, czy dotrzymałby obietnicy, gdyż wcześniej dosięgły go sztylety jego własnych hajduków, którzy nie mogli już znieść okrucieństw swego pana. Wtedy też skazano na śmierć siostrę Gabriela, Annę, oskarżając ją między innymi o zamordowanie własnego dziecka, i tylko wstawiennictwo księcia Gábora Bethlena uratowało ją od szafotu.

Również losy kardynała Andrzeja Batorego potoczyły się tragicznie. Ten jeden z najwybitniejszych węgierskich humanistów i mecenasów kultury w XVII wieku (jako biskup warmiński zgromadził bardzo cenną bibliotekę), zupełnie też spolonizowany i wyrażający przywiązanie do swej nowej ojczyzny, w 1599 roku został zmuszony do objęcia tronu siedmiogrodzkiego. Zagrożony ze wszystkich stron przez najazdy tatarsko-tureckie, zwrócił się o pomoc do króla polskiego Zygmunta III Wazy. Pertraktacje przerwało jednak nagłe wtargnięcie w granice Siedmiogrodu hospodara wołoskiego Michała Walecznego. Książę Andrzej, pobity pod Sellenberkiem, starał się przedrzeć do Polski, jednak w trakcie ucieczki został schwytany w ustronnej chacie góralskiej i zarąbany toporami przez ścigających go Szeklerów, którzy nienawidzili rodu Batorych od czasów urządzonej przez Zygmunta Batorego krwawej rzezi w Siedmiogrodzie – tak zwanego karnawału siedmiogrodzkiego. Jego zwycięzca, hospodar Michał Waleczny, niedługo cieszył się swym triumfem, wkrótce został bowiem podstępnie zamordowany z inicjatywy swego dotychczasowego austriackiego sojusznika, generała Giorgia Basty, z którym współdziałał przeciwko księciu Andrzejowi Batoremu. Jego namiestnictwo przeszło do historii Węgier jako „panowanie grozy”. Był to jeden wielki ciąg egzekucji i konfiskat, a sam generał Giorgio Basta mógłby spokojnie zostać kolejnym „wampirem” czy „potworem” w grubym „bestiariuszu” tej części Europy, gdyby nie to, że był wiernym poddanym cesarza i przykładnym chrześcijaninem… Ze strony jezuickich pisarzy nic mu nie groziło. A tak jeden z tajnych doradców cesarskich relacjonował wizytację we władztwie Basty:

> Wasza Cesarska mość, proszę mi wierzyć, bywałem już w wielu stronach, ale z taką nędzą jak tu nie spotkałem się nawet u najuboższych bułgarskich czy serbskich niewolników Turcji, a prze-

cież to o nich właśnie myśli się, że nie można nawet sobie wyobrazić gorszego losu[3].

Do dzisiaj historycy dyskutują, na ile Batorych okrutnikami uczyniły ich obciążenia genetyczne, a na ile uwarunkowania polityczne w Siedmiogrodzie i na całych Węgrzech. Wszak zarówno Zygmunt, jak i Gabriel Batory zgodnie byli uważani przez współczesnych i dawnych historyków za znakomitych wodzów i zręcznych polityków. Obaj byli zmuszeni do ciągłego balansowania między Turcją a imperium Habsburgów i podsycania wewnętrznej wojny między stronnictwami protureckimi i prohabsburskimi. Władzę w takim państwie – oblężonej twierdzy z „piątą kolumną” w środku – utrzymać mógł tylko człowiek zdecydowany na wszystko, bez sumienia. Albo „potwór”, jak kto woli…

Rozdział II

Diabły polskie są zbyt romantyczne

W dwusetną rocznicę pierwszego rozbioru Polski Andrzej Żuławski nakręcił *Diabła*. Horror ten rozgrywa się w zajętej przez Prusy w styczniu 1773 roku Wielkopolsce. Do jednego z tutejszych dworów wraca zwolniony z więzienia młody szlachcic Jakub (Leszek Teleszyński), wtrącony do lochu za spiskowanie przeciw królowi. Wolność odzyskuje dzięki tajemniczemu przybyszowi (Wojciech Pszoniak), który towarzyszy mu w drodze do domu. Jest to droga przez rozpadającą się Rzeczpospolitą, a nieznajomy wybawiciel okazuje się diabłem, który wręcza udręczonemu Jakubowi brzytwę i wmawia mu, że powinien oczyścić swój kraj z wszeteczników. Najwięcej zdrajców Jakub odnajduje w rodzinnym domu, gdyż jego najbliżsi bawią się hucznie na „trupie ojczyzny”, zaprzedawszy lub porzuciwszy dawne ideały. Pogrążony w szaleństwie morduje bez opamiętania, a diabeł wraca do lasu, by szukać kolejnych kandydatów na „powstańców” (lub „żołnierzy wyklętych”).

Film Żuławskiego szybko stał się w PRL-u półkownikiem[1], a do kin trafił dopiero w 1988 roku, lecz i dzisiaj piewcy bogoojczyźnianej historii Polski mogliby głośno demonstrować przed jego seansami. Wszak byliśmy „Chrystusem narodów”! Ale czy na pewno? Wystarczy spojrzeć na stosunek papiestwa do naszych powstań narodowych, aby

przekonać się, iż postrzegano nas wręcz odwrotnie. Jednak nie tylko Tadeusz Kościuszko, Piotr Wysocki czy Romuald Traugutt (człowiek bardzo religijny) byli dla papieży wichrzycielami i buntownikami wobec prawowitej władzy cesarzy i królów – pomazańców bożych; okazuje się, że diabłami mogli zostać i konfederaci barscy, wszak stałym elementem ich munduru był ryngraf z Matką Boską. Największą sławę zdobył sobie „diabeł" Antoni Kosiński, jakoby spokrewniony z osławionym porywaczem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, Janem Kuźmą, konfederatem barskim, który używał pseudonimu… Kosiński. Po rozwiązaniu konfederacji Antonii Kosiński, zebrawszy oddział niedobitków, zaczął nękać łupieżczymi wyprawami przyległe do Wielkopolski województwa. Następnie przedarł się na Śląsk, gdzie tak dał się we znaki niemieckim kupcom, że jego imieniem straszono dzieci we wszystkich krajach niemieckich, a w końcu stał się czarnym charakterem w *Zbójcach* Friedricha Schillera. W 1794 roku wrócił do kraju i zginął w obronie podwarszawskiej Pragi, oblężonej przez wojska Aleksandra Suworowa. Jednak diabelska opinia tak do niego przylgnęła, iż w ludowych podaniach szlachetnie urodzony diabeł Kosiński nadal harcuje nad Jeziorem Ślesińskim w charakterze miejscowej legendy.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to wypadki jednostkowe, a papieże i inni hierarchowie kościelni musieli manewrować w meandrach wielkiej polityki, często po cichu sprzyjając Polakom. Na przykład papież Grzegorz XVI, przyjąwszy na audiencji generała Władysława Zamoyskiego w 1837 roku, przepraszał go za swą encyklikę *Cum primum* z 9 czerwca 1832 roku potępiającą powstanie listopadowe. Papież tłumaczył się, że został wprowadzony w błąd przez swych współpracowników i rosyjską dyplomację, że miał dobre intencje i jego zamiarem było ratowanie Kościoła na ziemiach

polskich. Sprawdziło się tutaj popularne przysłowie, że dobrymi chęciami jest piekło brukowane, gdyż encyklika nie uchroniła ani polskiego Kościoła, ani jego owieczek przed represjami. Nie zmieniło to jednak negatywnego nastawienia do walki niepodległościowej Polaków następców Grzegorza XVI.

Bywało jednak i tak, że bez papieskich encyklik czy nieprzychylnej propagandy austriackich, pruskich i rosyjskich dworów Polacy stawali się synonimami diabłów. Taką opinię zyskaliśmy między innymi w arcykatolickiej Hiszpanii w czasie wojen napoleońskich. Dla nas szarża szwoleżerów gwardii pod Somosierrą 30 listopada 1808 roku to jeden z najpiękniejszych wyczynów polskiego oręża, który wywołał zdumienie i podziw w sojusznikach. Natomiast dla hiszpańskich partyzantów i żołnierzy otwarcie drogi na ich sto-

licę – Madryt – i diabelska sztuczka, co skwapliwie rozgłaszali księża i zakonnicy, widzący w cesarzu Francuzów wcielenie samego szatana. Zresztą Polacy dali w Hiszpanii wiele dowodów, że potrafią być równie okrutni, jak „francuskie diabły”; niejedna ze scen, które Francisco Goya uwiecznił w swym przejmującym cyklu graficznym *Okrucieństwa wojny*, mogłaby być dziełem polskich żołnierzy.

Wojna na Półwyspie Iberyjskim z lat 1808–1814 do dziś pozostaje jedną z najokrutniejszych w historii. Obie strony dopuszczały się niewyobrażalnych zbrodni. Rozpowszechniany w czasie wojny katechizm hiszpański zawierał pytanie: „Kim są Francuzi?” i zaraz odpowiadał: „Dawni chrześcijanie, a obecnie heretycy”. Żołnierze francuscy, wychowani w większości na ideałach rewolucji francuskiej, w czasie swych działań nie oszczędzali hiszpańskiego Kościoła (między innymi skasowano wtedy instytucję inkwizycji). Na porządku dziennym były niszczenie i bezczeszczenie świątyń, rabowanie kościelnych dóbr i mordowanie księży czy zakonników, którzy w większości byli zaangażowani w antyfrancuską partyzantkę. Takie postępowanie wzbudzało tylko w Hiszpanach kolejne fale nienawiści i wolę oporu przeciw francuskim diabłom i ich sojusznikom. Polacy, sami przecież będący katolikami, w o wiele mniejszym stopniu ranili hiszpańskie uczucia religijne, ale nie chroniło to polskich żołnierzy przed atakami. Szarpani miesiącami w wojnie partyzanckiej, zapominali o wszystkich obiekcjach i na równi z Francuzami wycinali w pień hiszpańskie wioski, miasteczka i miasta. Jeden z polskich oficerów z dumą pisał w liście do rodziny: „Hiszpanów wszelkimi sposobami nakłaniamy do spokojności. Księży połowę jużeśmy powiesili, a za poddaniem się Kadyksu wszystko skończone być powinno”[2]. Zapewnienia o końcu tej przeklętej wojny powtarzały się po kolejnych wielkich zwycięstwach wojsk francusko-polskich:

zdobyciu Saragossy, Madrytu czy Malagi. I równie szybko rozwiewały się, gdy wspierani przez Brytyjczyków Hiszpanie, nie bacząc na swe straty, znowu ruszali do walki. Wymienione napoleońskie zwycięstwa związane są też z rzeziami urządzanymi w zdobytych miastach przez zwycięzców. Mieszkańcy Saragossy i Malagi doświadczyli przy tym, że „diabły znad Wisły" mogą być równie, a nawet bardziej okrutne od tych francuskich. Polskie wyczyny w Saragossie przejmująco ukazał Stefan Żeromski w *Popiołach.* Choć opis masowych gwałtów hiszpańskich mniszek przez polskich żołnierzy jest podobno grubo przesadzony, nie zmienia to faktu, że ludzie, którzy często mieli w pamięci rzeź Pragi uczynioną z rozkazu Suworowa, teraz robili to samo w dalekim kraju, którego większość mieszkańców nigdy wcześniej o Polakach nie słyszała.

Również obywatele Malagi na długo zapamiętali zdobycie swego miasta przez Polaków 8 lutego 1810 roku. Rankiem tego dnia Dywizja Księstwa Warszawskiego wchodząca w skład korpusu generała Horacego Sébastianiego zajęła pozycje na przedpolach Malagi. Generał wysłał do miasta parlamentariuszy, ale propozycja kapitulacji została zdecydowanie odrzucona. Na nieszczęście, kiedy posłowie wracali do swoich, z któregoś okna padł strzał i położył trupem jednego z polskich ułanów w eskorcie. Polaków ogarnął gniew, co natychmiast wykorzystał francuski dowódca, wyznaczając ich do szturmu fortyfikacji miasta. Polscy żołnierze, mimo gęstego ognia, szybko przerwali hiszpańską obronę i wtargnęli do miasta. Jak wspomina uczestnik ataku, porucznik Stanisław Broekere: „Uzbrojeni mieszkańcy walczyli na ulicach, a z okien domów rzucano na nas kamieniami lub palącymi się głowniami, ale byliśmy nieustraszeni i nic w świecie niezdolnem było powstrzymać naszego zapału i rozjątrzenia"[3]. Gdy Polacy przełamali ten opór, okaza-

ło się, iż w tym czasie część obrońców ratowała cywili, ładując ich na barki i okręty cumujące w porcie. W tym momencie rzeź rozszalała się na dobre.

> Piechota nasza – pisze Broekere – strzelała do okrętów napełnionych mężczyznami, kobietami i dziećmi, a ułani nacierali i kłuli pikami uciekających w łodziach, rzucając się za niemi przy porcie w morze. Kogo tylko spotkaliśmy na ulicy, czy to starca, młodzieńca, kobietę lub dziecko – wszystko padało trupem[4].

Według porucznika po masakrze na drodze do portu naliczono około sześciuset zwłok, których Polacy nie pozwalali ruszać przez sześć dni. Ponadto na drugi dzień po zdobyciu miasta na jednym z balkonów powieszono dowódcę obrony, by mieszkańcy innych hiszpańskich miejscowości wiedzieli, że z Polakami nie warto zadzierać.

Nic nie może usprawiedliwić bestialstwa wobec bezbronnych cywili, lecz trzeba przy tym pamiętać, że Hiszpanie także nie patyczkowali się ze schwytanymi w zasadzkach francuskimi czy polskimi żołnierzami, poddając ich przed śmiercią okrutnym torturom. Tak zbezczeszczone ciała porzucali przy drogach, by mogli odkryć je przejeżdżający lub maszerujący tędy nieprzyjaciele. W ten sposób spirala nienawiści wciąż nakręcała się od nowa, aż wreszcie w 1815 roku strącono z tronu „antychrysta” Napoleona, który ośmielił się ogłosić pomazańcem bożym, równym cesarzom i królom Zachodu i Wschodu. Nienawidzono go za to w Hiszpanii, Prusach, Rosji i wielu innych krajach, którymi armie napoleońskie zatrzęsły w posadach. Jednak i w sojuszniczych krajach podejrzewano, że cesarz Francuzów sprzymierzył się z siłami nieczystymi, by odnosić zwycięstwo za zwycięstwem. W Księstwie Warszawskim chłopi opowiadali sobie, że Napoleon to wielki czarownik, który ma niezwyciężoną armię, bo nowych żołnierzy powołuje do życia ze skręconej w chochoły słomy. W każdej legendzie

tkwi ziarno prawdy, gdyż po klęsce i odwrocie Wielkiej Armii z Rosji cesarz rozkazał księciu Józefowi Poniatowskiemu odbudować swe wojska – zwłaszcza kawalerię, która mogłaby zastąpić drogę kozackim sotniom cara Aleksandra. I wtedy polski wódz rozkazał zwerbować chłopów razem z ich krępymi wierzchowcami ciągnącymi na co dzień wozy ze słomą i pługi w polu. Niejeden weteran spod Somosierry, Grochowa czy Borodino z powątpiewaniem patrzył na tę pstrokatą zbieraninę ludzi, poubieranych w sukmany i z krakowskimi czapkami na głowach, którzy szurali po ziemi bosymi nogami zwisającymi z grzbietów zbyt małych do jazdy koników. A jednak stał się cud, gdyż bardzo szybko stworzono z nich jedną z najskuteczniejszych formacji kawaleryjskich w Europie – krakusów. Zobaczywszy ich umiejętności, zachwycony Napoleon miał podobno wykrzyknąć do księcia Józefa, że musi mieć trzy tysiące takiej „jazdy pigmejskiej”[5]. Kozacy otrzymali godnego przeciwnika nie tylko w ostatnich kampaniach napoleońskich, ale i w późniejszych powstaniach polskich – listopadowym i styczniowym.

Krakusi, kosynierzy, żuawi śmierci… Podobnie jak w filmie Żuławskiego, diabeł tańczył z nagą śmiercią nad grobami młodzieńców, którzy uwierzyli, że kijami i kosami dadzą radę karabinom i armatom. Bywało też, iż przechodził na żołd zaborcy, jak w Galicji w 1846 roku, gdy „lud pobożny i uległy” w kilka nocy wyciął swych panów organizujących nowe powstanie. Oj, miał diabeł używanie wśród pańszczyźnianych niewolników, których zmartwychwstanie Rzeczypospolitej przerażało bardziej niż on sam i przestrogi kościelnych misjonarzy. Wstępował bies i na carską służbę – jako agent ochrany popularyzował w Królestwie *Protokoły mędrców Syjonu* lub głosił idee panslawizmu.

Były jednak i takie diabły, które za nic nie przeszłyby na obcą służbę; można stwierdzić, że były to biesy arcypolskie. Najsłynniejszym z nich był diabeł Boruta spod Łęczycy. Wiele było o nim opowieści z różnych czasów, a jedna z ostatnich dotyczy września 1939 roku. Diabeł patriota na wieść o napaści Niemiec na Polskę wstąpił do Wielkopolskiej Brygady Kawalerii i bił dzielnie swą lancą zakończoną widłami nieprzyjaciół, którzy mieli wypisane na pasach: „Gott mit uns" (Bóg z nami). Boruta był tak zapamiętały w swej diablej nienawiści, że rzucał się z lancą i szablą na niemieckie czołgi – przecinał je i zapalał piekielnym ogniem. Tak opowiadali sobie ludzie, pocieszając się po klęsce, lecz goebbelsowska propaganda zmieniła tę legendę w paszkwil, że szaleni Polacy rzucali się na niemieckie czołgi z szablami. Można tutaj odwrócić słynne stwierdzenie z *Fausta* Goethego i powiedzieć, że patriotyczny diabeł Boruta chciał dobrze, ale na złe się to obróciło, gdyż Polacy wciąż byli – zarówno przez wrogów, jak i sojuszników – oskarżani o zbytnią brawurę, romantyczne porywy, nieliczenie się z rzeczywistością. Nawet w zwycięskich bitwach, nie mówiąc o tak tragicznych klęskach jak powstanie warszawskie, ponosiliśmy wielkie ofiary, nie zyskując nic ponad poklepywanie po plecach przez sojuszników, którzy dzięki Polakom mogli oszczędzić własną krew. Wróćmy przy tym do wojny Napoleona w Hiszpanii.

W 1810 roku Polacy zagarnęli na hiszpańskich ziemiach kilkadziesiąt tysięcy owiec. Z rozkazu cesarza większość tego olbrzymiego stada przepędzona została do Francji, a trzydzieści sześć tysięcy odesłano do Polski – „dla narodu". W większości trafiły one na pastwiska pod Kielcami, lecz po tym, jak zostały już ostrzyżone, Napoleon rozkazał zarekwirować wełnę i odesłać ją do Francji. Od tego czasu

mówiono w Europie z ironią, że Polacy są jedynym narodem gotowym oddawać życie za „merci” (dziękuję).

Rozdział III

„Sławny Żyd, Polak prawy”

W 1809 roku po zwycięskiej kampanii księcia Józefa Poniatowskiego w odbitym z rąk Austriaków Krakowie długo fetowano przyłączenie królewskiego miasta do Księstwa Warszawskiego. Jak notowali ówcześni pamiętnikarze, na bankietach arystokracji mówiono wyłącznie o bitwie pod Aspern, Napoleonie i… Żydzie Berku. Nie tylko arystokraci dyskutowali o tym Żydzie „dziwnej odwagi”, który całe swe życie poświęcił wymazanej z mapy Europy Rzeczypospolitej. Z okolic Kocka, gdzie Berek Joselewicz zginął śmiercią bohatera, szły wraz z wędrownymi dziadami na cały kraj pieśni i legendy o żydowskim pułkowniku. I szybko po wsiach zaczęto śpiewać:

> W tem przypadku huncwockiem,
> Zginął Berko pod Kockiem.
> Był to Berko, sławny Żyd.
> Człek sumienny, Polak prawy.
> Nie kwaterką, ni szacherką,
> Lecz się krwią dorobił sławy[1].

Legendą obrósł też sam pogrzeb bohatera. Po bitwie, w której poległ, nie można było z całą pewnością ustalić, w którym miejscu go pochowano. Według okolicznych przekazów doszło do kłótni między Polakami i Żydami, na którym pułkownik ma spocząć cmentarzu. W końcu postano-

wiono oddać sprawę losowi. Złożono ciało oficera na wozie zaprzężonym w konie, ale bez furmana, i pognano zwierzęta batem. W miejscu, gdzie się zatrzymały, wykopano mogiłę. Padło na pole przy drodze z Kocka do Białobrzegów. Z tego grobu w 1935 roku pobrano ziemię, którą dosypano do kopca marszałka Piłsudskiego na krakowskim Sowińcu, aby podkreślić, jak Marszałek wysoko cenił postać pułkownika Joselewicza i podobnych mu obywateli polskich mojżeszowego wyznania. Do dziś trwają wśród badaczy dyskusje, co spowodowało, że młody Żyd z kresów byłej Rzeczypospolitej tak mocno zaangażował się w sprawę jej wskrzeszenia.

Odpowiedź na to pytanie nie jest taka trudna, jeśli się pamięta, że litewska Kretynga nad Okmianą, gdzie Berek Joselewicz przyszedł na świat 17 września 1764 roku, należała niegdyś do hetmana Karola Chodkiewicza. Pamięć o tym wielkim wodzu była wciąż żywa wśród mieszkańców Kretyngi, a i ówczesny jej właściciel był postacią barwną, choć nie na polu wojskowym… Biskup wileński, książę Ignacy Massalski, utrzymywał na żołdzie pułk zwerbowany aż z dalekich Wogezów, a swą bratanicę Helenę wydał za francuskiego księcia Karola de Ligne. Jednym słowem, Francja była modna na dworze Massalskich, a sam biskup hołdował zwyczajom francuskiej arystokracji. Potrafił ponoć w jedną noc lekką ręką przegrać w karty sto tysięcy dukatów.

Nie dziwi więc, iż zdolny w rachunkach Berek, przysposobiony przez swego wuja Nuchina w Telszach do zawodu faktora, przykuł uwagę biskupa, który wciąż przecież potrzebował pieniędzy na wystawne życie. O przyjęciu na służbę zaważył dodatkowo talent lingwistyczny. Berek, prócz jidysz i polskiego, bardzo szybko nauczył się niemieckiego i francuskiego. Był też chłopcem inteligentnym i bardzo żywym, poświęcającym każdą wolną chwilę na fechtunek drewnianą szablą. Biskup Massalski nie zawiódł się na młodym faktorze i szybko zaczął powierzać mu odpowiedzialne misje za-

graniczne. Berek Joselewicz pilnował interesów Massalskich w Saksonii, we Francji i w austriackich Niderlandach. Wraz ze swym suwerenem wziął też udział w hucznym na cały Paryż ślubie pięknej Heleny z księciem de Ligne. W 1788 roku Berek Joselewicz za radą Abrahama Hirszowicza, faktora króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, osiedlił się w żydowskiej kolonii Golędzinów na warszawskiej Pradze. Tutaj handlował końmi i paszą. Dzięki znajomościom z bankierem i głównym dostawcą dla armii polskiej, Szmulem Zbytkowerem, szybko dorobił się sporego majątku. Wtedy też ożenił się z woli ojca z niejaką Ryfką. Z tego małżeństwa urodzili się syn Josel (Józef) i córka Leja.

Jednak wobec „burzy dziejowej", jaka w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku zawisła nad Polską, okazało się, iż Berek nie zapomniał umiejętności nabytych w swych młodzieńczych treningach z szablą. „Na swe nieszczęście", jak sam podkreślał w listach, wybuch insurekcji w 1794 roku zastał go w rodzinnych stronach, w Kretyndze. Nie mógł później odżałować, że ominęły go zarówno „wielkanocne powstanie" Jana Kilińskiego w Warszawie, jak i Jakuba Jasińskiego w nieodległym Wilnie. Berek natychmiast wrócił do stolicy i jak wielu innych Żydów wstąpił do milicji miejskiej. Służba ta nie odpowiadała jednak ambitnemu faktorowi. Razem ze swym przyjacielem, Józefem Aronowiczem, zgłosił się do komendanta Warszawy, generała Stanisława Mokronowskiego z projektem stworzenia wojskowego oddziału starozakonnego. Generał przyjął ich, ale nie uformował oddziału, a zamiast tego zaleca wyznaczenie stu Żydów do służby wywiadowczej i zaopatrywania wojska. Mimo tego „zbycia" dwaj miłośnicy mundurów się nie poddali. Obaj 23 kwietnia 1794 roku wysłali do Komisji Porządkowej Księstwa (zwanej także warszawską) apel w sprawie naboru ludności żydowskiej do wojska. Tym razem w sukurs przy-

szedł im sam Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej, generał Tadeusz Kościuszko: dał zgodę na formowanie Pułku Lekkokonnego Starozakonnego, a 17 września ogłosił manifest do ludności żydowskiej, który rozpoczynał się od słów: „Nic bardziej przekonać nie może najpodlejszych narodów, o świętości sprawy naszej, i sprawiedliwości rewolucji teraźniejszej; jak to, że oddzieleni od nas religią i zwyczajami ludzie, dla poparcia powstania naszego, z własnej woli życie w ofierze niosą”[2]. Kościuszko mianował Berka Joselewicza pułkownikiem, a on odwdzięczył się Naczelnikowi własną odezwą do żydowskich współobywateli, którą zakończył apelem: „Kochani bracia! Obudźcie się jak lwy i lamparty”[3].

Z Kasy Narodowej przyznano pułkownikowi Joselewiczowi na potrzeby formowanego pułku 3000 złotych; znaczne sumy na oddział wypłacili również bogaci kupcy żydowscy. Niestety, dziś trudno ustalić, ilu żołnierzy liczył oddział Joselewicza. Według różnych źródeł było w nim od czterystu do sześciuset ludzi. Bardzo krótko też istniał – jedynie miesiąc. Tylko część ochotników otrzymała czarne mundury z błękitnymi wyłogami. Jedno pozostaje pewne – żydowscy obrońcy Warszawy rzeczywiście okazali się w czasie jej oblężenia przez wojska Suworowa „lwami i lampartami”. Służbę pełnili ofiarnie, „zapominając” w niej nawet o obowiązku szabatu. Kiedy 4 listopada 1794 roku nieprzyjaciel przystąpił do generalnego szturmu miasta, żydowscy żołnierze i milicjanci odznaczyli się męstwem, które podsycały wieści, co Kozacy wyczyniają z ich rodzinami w zdobytych częściach miasta… Jeden ze świadków tamtych dramatycznych chwil, Tadeusz Czacki, zanotował: „[Żydzi], nie lękając się śmierci, zmieszani z wojskiem i ludem, dowiedli, że niebezpieczeństwo nie jest im straszne, a sprawa Ojczyzny miła”[4]. Żołnierze starozakonnego pułku w części polegli

w walce, a w części uciekli z opanowanej przez Rosjan Warszawy. Niewoli uniknął także, choć ranny, ich dowódca. Pułkownik Joselewicz przedarł się po upadku Warszawy do Galicji.

Zgnębiony klęską i ranny Joselewicz zamieszkał we Lwowie, w mieszkaniu męża swej ciotki, doktora Chaskiela. Austriacy z miejsca objęli byłego pułkownika Kościuszki nadzorem policyjnym. Według wspomnień jego syna był nawet przez pewien czas aresztowany. Następnie Joselewicz powrócił do swej starej profesji handlu końmi. Wiosną 1795 roku poprosił władze o paszport, by mógł wyjechać do Wiednia. Nieufni urzędnicy Prezydium Rządu Krajowego odrzucili jednak jego podanie, a gubernator wschodniej Galicji Johann von Gaisruck zalecił dalszy nadzór policyjny tego „dawnego rewolucjonisty". Jakież było jego zaskoczenie, kiedy we wrześniu następnego roku dotarło do niego pismo Joselewicza, w którym postulował on stworzenie… legionu żydowskiego w sile 6000–8000 podkomendnych, umundurowanych w „polskie czapki i kurtki oraz węgierskie spodnie", i wysłanie go przeciwko armii włoskiej generała Napoleona Bonapartego. Można ten projekt skomentować popularnym przysłowiem, że tonący brzytwy się chwyta, gdyż Joselewicz za wszelką cenę chciał wyrwać się ze Lwowa, ale i na ten fortel austriaccy policmajstrzy się nie nabrali.

Zła passa skończyła się już niedługo, bo w 1797 roku, kiedy to do Galicji zaczęli docierać emisariusze generała Jana Henryka Dąbrowskiego z wieściami o formowaniu Legionów Polskich we Włoszech. Berek Joselewicz, zlikwidowawszy wszystkie interesy, wiosną 1798 roku ruszył wraz z kilkoma współpracownikami w drogę do Italii. Po szczęśliwej podróży 9 czerwca wysłał z Mediolanu list do generała Dąbrowskiego:

> Równie iak wszyscy dobrzy Polacy Odezwę twoią do Narodu Jenerale wezwany, łączyć się [chcę] z Tobą i Legiami Narodowemi kiedy mi czas, okoliczności i nakłady dozwoliły [...]. Proszę abyś mię w liczbę przyjął współbraci, z któremi mię ieden cel miłości Oyczyzny, od czasu porwania broni wspólnie przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi aż dotąd łączy, przyprowadza tu, i ich towarzystwa godnym czyni[5].

Na list ten Joselewicz otrzymał odpowiedź 2 lipca. Generał pisał do niego z Rzymu z wyraźną radością:

> Z prawdziwym ukontentowaniem doszedł mnie list Twój, obywatelu pułkowniku; spodziewałem się zawsze, że Ty, co pierwszym byłeś zachęcenia ziomków swych podczas ostatniej Rewolucyi, aby się jęli oręża w obronie kraju, nie opuścisz i tej drogi służenia Ojczyźnie przez przybycie do Legionów[6].

Wobec takiego zaproszenia pułkownik Joselewicz niezwłocznie przybył do Rzymu i zameldował się w kwaterze generała. Ten istotnie przyjął go serdecznie, ale nie mógł zaoferować stanowiska odpowiadającego jego szarży. Pułkownik bez wahania jednak przyjął pozycję oficera nadkompletnego w randze porucznika w 1 Legii generała Józefa Wielhorskiego. Pierwszym zadaniem Joselewicza w Legionach było rozporządzanie kasą przeznaczoną dla przyjezdnych oficerów, ale niebawem wybuchła wojna z Królestwem Neapolu, od której rozpoczęła się kariera starozakonnego kawalerzysty. Wykorzystując swe kupieckie doświadczenie, odkupił kilkadziesiąt koni ze zdobytej pod Casertą stadniny, dzięki czemu przystąpiono do formowania legionowej kawalerii. Jej pierwszym dowódcą został pułkownik Eliasz Tremo, a Joselewicz objął funkcję zwierzchnika szwadronu. Kiedy oddział rozrósł się do tysiąca dwustu szabel, jego dowódcą obwołano generała Andrzeja Karwowskiego.

Po zdobyciu Gaety 30 grudnia 1798 roku polscy legioniści walczyli z powstańcami w Toskanii, a na początku nowe-

go roku pomaszerowali do północnych Włoch, by dać odpór wojskom austriacko-rosyjskim feldmarszałka Suworowa. Berek Joselewicz miał okazję znowu skrzyżować szable z żołnierzami wodza odpowiedzialnego za rzeź Pragi. Walczył między innymi pod Trebbią, Novi i Bosco. W krwawej bitwie pod Legnano 30 marca 1799 roku Joselewicz, „prowadząc kolumnę, gdy ujrzał, że chorąży ciężko postrzelony wypuszcza z rąk chorągiew, porwał ją i dalej żołnierzy do boju prowadził, za co na placu boju dostał nominację na sztabs-kapitana”[7]. W ciężkich bojach Legiony Polskie szybko się wykrwawiły, a ich kawaleria stopniała w takim tempie, że w końcu 1800 roku istniała już tylko na papierze. Toteż podczas reorganizacji zniszczonych Legionów Joselewicz został z resztkami swego pułku przeniesiony do tworzącej się nad Renem nowej Legii nazwanej, by nie drażnić Niemców, nie Legią Nadreńską, lecz Naddunajską, na czele której stanął generał Karol Kniaziewicz.

Pułkownik (bo mimo oficjalnie niższej rangi tak generał Dąbrowski przez cały czas go tytułował) Joselewicz przybył nad Ren w gronie takich przyszłych sław jak Józef Chłopicki, Józef Drzewiecki czy Stanisław Fiszer i razem z nimi reklamowany był jako pierwszorzędny kawalerzysta i oficer. Niestety nad Renem pierwszy raz wyraźnie doświadczył przez swe pochodzenie dyskryminacji ze strony oficerów nowo tworzonej jednostki. Generał Kniaziewicz pisał w tej sprawie z goryczą do swego przyjaciela generała Dąbrowskiego:

> Zazdrość rang, przesądy stanu i urodzenia, wszystko się tu widzieć daje. Berek Joselewicz, co w Polsce był pułkownikiem, co dwie kompanie we Włoszech odprawił, tu przybywszy, tym dobrowolnie starszeństwa odstąpił, którzy tu żadnej kampanii nie odprawili, dlatego jednak prześladować nie przestają, któremu jed-

nak niczego więcej zarzucić nie można, jak to, że się nieszlachcicem urodził[8].

Berek Joselewicz gorzko odczuwał tę dyskryminację, czemu dawał wyraz między innymi w listach do Tadeusza Kościuszki, ale nie wpływało to na jego udział w walkach. Prócz wielu mniejszych potyczek 3 grudnia 1800 roku wziął udział w bitwie pod Hohenlinden, a następnie pod St. Christophe i Salzburgiem.

Po podpisaniu pokoju w Lunéville 9 lutego 1801 roku Berek Joselewicz wraz z dowódcą batalionu Józefem Seydlitzem przeprowadzili większość kawalerii z powrotem do Włoch i dotarli do Mediolanu 27 kwietnia. Tutaj zawiedzione nadzieje, że walka Legionów doprowadzi do oswobodzenia Polski, jeszcze bardziej zaostrzyły „kłótnie i niespokojności" w ich szeregach. Wobec tego Joselewicz w czerwcu 1802 roku poprosił o dymisję i wypłacenie zaległego żołdu. To pierwsze wypełniono szybko i skwapliwie, o czym ze smutkiem pułkownik pisał do generała Dąbrowskiego, prosząc go jednocześnie o pomoc w kontynuowaniu kariery wojskowej.

Prawdopodobnie to dzięki protekcji generała Joselewicz w 1803 roku został mianowany kapitanem kwatermistrzem w pułku dragonów formującego się Legionu Hanowerskiego na żołdzie francuskim. Francuzi docenili także jego poprzednią służbę, przyznając mu Legię Honorową i wynagrodzenie za poprzednie walki. Joselewicz znalazł też w Hanowerze marszałka Mortiera, który cenił go za prace organizacyjne nad kawalerią nowego Legionu (przede wszystkim dostarczanie jej koni). Podarował mu między innymi pięćset franków i konia. Według niektórych źródeł Joselewicz w 1805 roku znalazł się we Francji i brał następnie udział w bitwach pod Wertingen i Austerlitz. W drugiej połowie 1806 roku wraz z Legionem Hanowerskim przybył do

Włoch i tutaj dotarła doń wiadomość o tworzeniu się nowego wojska polskiego.

Usłyszawszy, że znowu można zaciągać się pod polskie sztandary, Joselewicz dosłownie w jednej chwili porzucił służbę w Legionie Hanowerskim. Nie bacząc na konsekwencje (oskarżano go później nawet o dezercję, z czego wybronił go jego niezawodny protektor – generał Dąbrowski), na początku 1807 roku Joselewicz wrócił do Polski. Ten legionowy weteran 5 marca był na liście 1 Pułku Lekkiej Jazdy pułkownika Kazimierza Turny w 3 Legii generała Józefa Dąbrowskiego. 20 maja otrzymał stanowisko kapitana z rangą dowódcy szwadronu. W szeregach pułku walczył pod Tczewem, Gdańskiem, Heilsbergiem (Lidzbarkiem Warmińskim) i wreszcie pod Frydlandem, gdzie polska kawaleria wsławiła się szarżą na rosyjskie pozycje, a regiment Joselewicza „sześć dział zdobył”[9]. Za zasługi w tej kampanii wraz z pięcioma innymi oficerami pułku Berek Joselewicz otrzymał 8 marca 1808 roku Order Virtuti Militari.

Po podpisaniu układów tylżyckich cesarz Napoleon podarował Polakom namiastkę wolnej ojczyzny – Księstwo Warszawskie, z własną armią, w której 1 Pułk przemianowano na 5 Pułk Strzelców Konnych. Joselewicz wszedł do samej elity tej formacji – jako dowódca kompanii wyborczej (wyborowej). Jej żołnierze nosili bermyce z niedźwiedziej sierści i szli zawsze na przedzie pułku uzbrojeni nie w lance, lecz karabinki kawaleryjskie. Ponadto Joselewicz dzierżył stanowisko dowódcy szwadronu. „Jeden z pierwszych był to wypadków, że żyd w armji europejskiej, w dodatku kawalerji, dzierżył [tak wysoką] rangę”[10] – podkreślał Ernest Łuniński, biograf Joselewicza. Nie były to jedyne zaszczyty, które miały wymazać niedawne przykrości z Legii Naddunajskiej. Berek Joselewicz zaproszony został do loży masońskiej Bracia Polacy Zjednoczeni, i to od razu jako „brat wyż-

szego stopnia”, podczas gdy jego dowódca, pułkownik Turno, był jedynie „czeladnikiem”. Joselewicz figurował na liście obok takich „braci” jak generał artylerii Wincenty Aksamitowski, major Józef Hornowski czy wreszcie sam książę Józef Poniatowski. Tak opisywał Łuniński pułkownika Joselewicza z tego okresu:

> Pięknie wyglądał eks-faktor biskupa Massalskiego w ciemno-zielonej kurtce sukiennej, lśniącej epoletami na wierzchach ramion, pokrytej dekoracjami, a że należał do „kompanji wyborczej” nosił okrągłą czapkę niedźwiedzią (bermycę), osłaniającą głowę myślącą o mądrych, bystrych oczach, trochę lisim wyrazie, zdobną w sumiasty, rozstrzępiony wąs[11].

W czasie krótkiego pokoju Joselewicz wraz ze swym pułkiem stacjonował w Rawie, następnie w Pyzdrach, by wreszcie stanąć w samej Warszawie – w koszarach mirowskich. Tutaj odwiedzała go żona Ryfka wraz z dziećmi. Joselewicz jeździł także do rodziny na Litwę. Jednak chwila wytchnienia od wojny nie była zbyt długa – nastał 1809 rok.

Po wybuchu wojny austriacko-francuskiej na ziemie Księstwa Warszawskiego wkroczył korpus arcyksięcia Ferdynanda i ruszył na jego stolicę. Pułk Berka Joselewicza na początku kampanii – 18 kwietnia 1809 roku – starł się z Austriakami pod Grzybowem, a następnie zdobył przedmostowe szańce w Ostrówku. Rozbieżne są relacje pamiętnikarzy, czy w obu potyczkach brał udział pułkownik Joselewicz, ale pewne jest, iż maszerował on na czele dwóch szwadronów w awangardzie kolumny, którą książę Józef Poniatowski skierował na Osieck i Żelechów, ku kordonowi austriackiemu. W czasie postoju w Syrokomli 5 maja został gościnnie przyjęty przez jej właścicieli, rodzinę Scypionów, oraz miejscowego proboszcza, któremu „zlustrował gruntownie” piwniczkę z winem, gdyż jak podkreślał jego dowódca, pułkownik Turno, Joselewicz był „wcale tęgim i odważnym żołnie-

rzem, szczególnie, gdy dodawał sobie animuszu z manierki”[12]. I w takiej właśnie chwili zastał go powrót zwiadu, który zameldował Joselewiczowi, iż w pobliżu Kocka harcuje dywizjon huzarów węgierskich hrabiego Magyi dowodzonych przez majora, hrabiego Hoditza.

Pułkownik Joselewicz postanowił niezwłocznie uderzyć na węgierskich zagończyków, ale i oni w tym czasie wiedzieli o jego obecności w okolicy. Na najdalej wysuniętej zewnętrznej linii Kocka stanął ze strażą porucznik Horwath, a rynek niedaleko ujeżdżalni wojskowej obsadził nadporucznik Stankowits. Reszta dywizjonu w sile sześciu plutonów pod dowództwem majora Hoditza ukryła się na lewym brzegu rzeki Tyśmienicy za tak zwanym mostem lubelskim łączącym Kock z Wolą Skromowską. A jednak szarża, którą Joselewicz poprowadził na Kock, zaskoczyła Węgrów. Strzelcy konni bez trudu rozbili oddział Horwatha, a następnie „przeskoczyli” przez huzarów Stankowitsa, część z nich zaczęła uciekać w kierunku mostu. Tutaj jednak ścigających ich Polaków zatrzymał szlaban, który przytomnie opuścił jeden z ostatnich uciekinierów kapral Meszelits. Na jeźdźców Joselewicza posypał się grad kul ukrytych w zaroślach żołnierzy majora Hoditza. Pułkownik nakazał odwrót na rynek, gdzie pozycje strzeleckie trzymali już pewnie ludzie Stankowitsa. W morderczym ogniu część polskich żołnierzy rozpierzchła się, a Berek Joselewicz z kilkoma oficerami i garstką strzelców wycofali się do ujeżdżalni. Za nimi wdarły się połączone z rynku i znad rzeki plutony huzarów, a jeden z nich zablokował jeszcze szlabanem wjazd do ujeżdżalni – Polacy znaleźli się w matni. Ich mężny dowódca mimo nawoływań do poddania się nie zamierzał jednak kapitulować. Tak ostatnie chwile pułkownika opisywał Łuniński: „Majestatyczne pasowanie się ze śmiercią trwało spory moment. Położył mu kres huzar Stefan Toth, ugodziwszy

Berka tak potężnie pałaszem w głowę, że spadł z siodła i ducha wyzionął pod kopytami końskiemi”[13]. W całej potyczce, która trwała kilkanaście minut, Polacy stracili dziesięciu oficerów i około czterdziestu strzelców konnych.

Śmierć Berka Joselewicza, jak zostało wspomniane na początku tego rozdziału, odbiła się głośnym echem w całym kraju. Pisano o niej także w Europie – między innymi w miesięczniku Żydów niemieckich „Sulamith”, a nawet w paryskim „Moniteur”. Książę Józef Poniatowski w przesłanym Napoleonowi oficjalnym raporcie z kampanii 1809 roku zaznaczył: „W Kocku straciliśmy pułkownika Berka, z wyznania Izraelitę”.

Tak rozpoczęła się legenda pułkownika Berka Joselewicza, ale warto na koniec wspomnieć i jego syna Józefa, który poszedł w ślady ojca. Odznaczył się w kampanii rosyjskiej 1812 roku, a w czasie powstania listopadowego postulował stworzenie żydowskiego oddziału kawalerii. Pisał do swych współwyznawców 21 grudnia 1830 roku: „Pocieszcie cienie nieśmiertelnych bohaterów Machabeuszów, równym ich poświęceniem dla Ojczyzny. Niech was ogrzewa przykład mojego ojca Berko, walczącego jako podpułkownik w r. 1794 za całość Ojczyzny”[14].

Po upadku powstania Józef Berkowicz wyemigrował do Anglii, gdzie do końca życia podkreślał swój patriotyzm wobec „nieszczęsnej Rzeczypospolitej”. Na koniec warto przywołać jeszcze jedną ludową przyśpiewkę pt. *Berko Żyd*:

> Gdy nie stało Naczelnika [Kościuszki],
> Nie dał się pan Berko zdurzyć
> W rękę pika, na konika,
> Z Francuzami wnet się zbrata.
> Bonapart zrobił go szefem,
> Więc Moskala znowu łoił,
> A którego tylko spłatał,
> Ten się pewno nie wygoił.

Potem pod księciem Józefem,
Gdy przyszło na Austriaka,
Bił w dwójnasób, bo wet za wet,
Za Żyda i za Polaka![15]

Rozdział IV

Przyśpiewki odciętej głowy z Racławic

Pewnego razu w Racławicach pod królewskim miastem Biecz jeden z chłopów nie poszedł odrabiać pańszczyzny do miejscowego dziedzica. Pan złożył skargę do sądu, a ten niezwłocznie wysłał do Racławic kata, by zajął się krnąbrnym wieśniakiem, który dawał innym chłopom „zły" przykład. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem cała wiejska gromada musiała zebrać się na placu i osądzić, czy ich sąsiad jest winien występku. Ludzie – przerażeni widokiem kata w czerwieni, wymachującego obnażonym mieczem – nie byli w stanie wykrztusić ani słowa. Kiedy wreszcie kat kolejny raz powtórzył oskarżenie i uczynił mieczem znak krzyża, z tłumu odezwały się dwa nieśmiałe głosy: „Winien". To dwaj przekupieni przez dziedzica chłopi spełnili swój judaszowy obowiązek. W tym momencie kat powalił skazańca na ziemię i ściął mu głowę, lecz nie był to jeszcze koniec widowiska. Odrąbaną głowę kat zatknął na kiju, po czym dla postrachu i urągowiska ustawił ten totem na rozstaju dróg. I wtedy stał się cud! Ścięta głowa zaczęła wyśpiewywać godzinki. Gdy doniesiono o tym dziedzicowi, ten – przerażony – nakazał natychmiast śpiewającą głowę pogrzebać w mogile, obok ciała skazańca. Ludzie jeszcze długo potem chodzi-

li na grób buntownika z nadzieją, że usłyszą śpiew ściętej głowy. I rzeczywiście, niektórzy czasami słyszeli, jak wiatr niósł od cmentarza lament, ale nie były to już słowa pobożnej pieśni, tylko przekleństwa i nawoływanie do zemsty…

Oto jedna z podkarpackich legend, z samego matecznika rabacji – dzisiejszego pogranicza województw małopolskiego i podkarpackiego. Warto przy tym zauważyć, że rabacja została wykorzystana przez Austriaków do zniweczenia powstania narodowego (czyli szlacheckiego) oraz że Jakub Szela w nagrodę za tę „dywersję" otrzymał od zaborców medal i gospodarstwo na Bukowinie. Co więcej, w czasie rozruchów głowy – często jako pierwsi – dawali „szlacheccy demokraci", zwolennicy ulżenia doli ludu i „wykorzystania go do walki o suwerenność Rzeczypospolitej" na wzór kosynierów Tadeusza Kościuszki. Wszak wielu grenadierów krakowskich naczelnika Kościuszki pochodziło z podkarpackich wiosek! „Demokraci" zapominali tylko przy tym, jak marny los spotkał większość kosynierów. Jeśli nie zginęli w powstaniu lub na jednej z wielu wojen cesarza Napoleona, służąc w legionach (na przykład w walce ze zbuntowanymi niewolnikami na San Domingo), to ich polscy panowie szybko im przypomnieli, że nie są żadnymi weteranami walczącymi za wolność, tylko chamami oderwanymi na chwilę od pługa. Dojmująco opisał to między innymi Stefan Żeromski w swych *Popiołach*. Na kartach tej, dziś (programowo) zapomnianej, powieści można przeczytać też, jakim szokiem zarówno dla szlachty, jak i dla chłopów były dekrety cesarza z Wiednia, mówiące na przykład, że poddany nie może być już samowolnie bity przez swego pana… Czyż można w takim razie rabację traktować jako zdradę interesów narodowych, jeśli wzniecającym ją niewolnikom przez całe wieki odmawiano nie tylko miana rodaka, ale też często człowie-

ka, a (teoretycznie wspólną) religię wykorzystywano jako ideologiczną podbudowę okrutnego systemu?

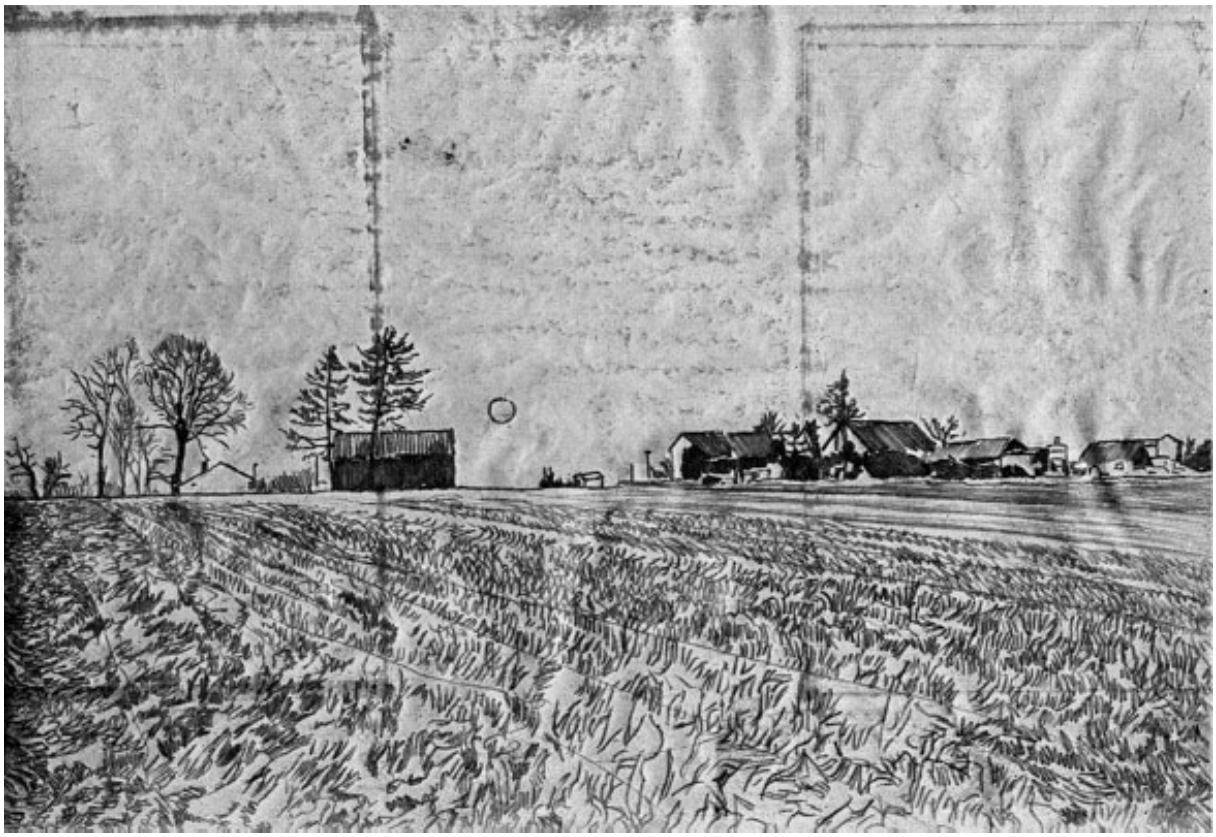

Jakub Szela pochodził ze wsi Smarżowa (dziś powiat dębicki). Kilka kilometrów dalej leży wieś Głobikowa. Jej dziedzicem był Konstanty Słotwiński herbu Leliwa, prawnik, weteran armii Księstwa Warszawskiego, dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, a przede wszystkim autor wydanego w 1832 roku *Katechizmu poddanych galicyjskich o prawach i powinnościach ich względem Rządu, Dworu i samych siebie*. Słotwiński pisał swe dzieło w dobrej intencji. Miał nadzieję, że dzięki cytatom z Biblii i usystematyzowaniu praw obowiązujących pańszczyźnianych chłopów zaradzi jeszcze większym nadużyciom wobec nich i pomoże w rozstrzyganiu sporów. Niestety, po raz kolejny okazało się, że „dobre intencje” mogą zafundować prawdziwe

i przerażające piekło. Dzisiaj *Katechizm* jest aż nadto wymownym (bo mimowolnym) świadectwem istnienia niewolnictwa na ziemiach polskich. Oto wyjaśnienie kluczowego pojęcia w *Katechizmie*:

> O PAŃSZCZYŹNIE *W trudzie będziesz zdobywał pożywienie dla siebie po wszystkie dni twego życia. […] W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie* (Gen. 3 w. 17–19). *To człowiek się rodzi, by jęczeć, by unieść się w górę* (Job. 5 w. 7).
>
> Pytanie: Co to jest pańszczyzna?
>
> Odpowiedź: Pańszczyzną zwiemy każdą pracę i robotę, którą poddany swemu Panu do odrobienia ziemi, do gospodarstwa ogólnie wziąwszy i do wszelkich prawem niezakazanych celów, za użyczony poprzednikom jego lub jemu samemu grunt i mieszkanie, rocznie, miesięcznie lub tygodniowo pełnić obowiązany.
>
> Pytanie: Do czegóż więc poddany za pańszczyznę znaglonym być nie może?
>
> Odpowiedź: Nie może być przymuszonym poddany, ażeby za samą tylko pańszczyznę rzemiosło jakie dla Dworu robił, do Gdańska na flis chodził i cały rok we Dworze służył.
>
> Pytanie: Kto powinien robić pańszczyznę?
>
> Odpowiedź: Każdy poddany, czyli posiadacz gruntu lub domu poddańczego, pańszczyznę robić obowiązany, jeżeli do niej wyraźnie uwolniony nie jest[1].

I tutaj pada kolejne pytanie: „Wszak cesarz Józef II pańszczyznę zniósł?”. Słotwiński sam sobie odpowiada, że istotnie tak było, gdyż sami poddani błagali, by przywrócić pańszczyznę, bo nie mogli zarobić swą pracą na czynsz pieniężny, którym ją zastąpiono. Wobec tych usilnych próśb następca Józefa II, Leopold II, w 1790 roku pańszczyznę przywrócił: „I w samej rzeczy jest lżej dla poddanego odrobić pańszczyznę rękami, na których mu nie zbywa, niż ją opłacać pieniędzmi lub zbożem, których przy taniości zboża nieurodzaju zebrać nie może”. Autor ani słowem nie wspomina

przy tym o rozdrobnieniu i zacofaniu gospodarstw w galicyjskich wsiach i wylicza precyzyjnie czas pańszczyźnianej pracy, jaki obowiązuje poddanych „Dworu”. Wywód o pańszczyźnie kończy odpowiedziami na dwa pytania:

> Pytanie: A choroba ludzi uwalnia od pańszczyzny?
>
> Odpowiedź: Nie wcale; poddany po wyzdrowieniu swojem, pańszczyznę zaległą, jeżeli Dwór żąda, odrobić powinien.
>
> Pytanie: Co czeka poddanego, gdy w nakazanym dniu na pańszczyznę nie wyjedzie lub nie wyjdzie?
>
> Odpowiedź: Poddany, który w nakazanym dniu nie wyjedzie lub nie wyjdzie na pańszczyznę, powinien w tym samym lub którymkolwiek następnym tygodniu tylo dwoje za karę odrobić[2].

I w tym duchu Słotwiński – nieustannie przetykając gęsto swe dzieło cytatami z Biblii – pisze o każdym podstawowym aspekcie życia wiejskiej gromady, jak na przykład małżeństwo: „Poddani mogą się żenić, jak im się podoba, byle o tym Zwierzchności Dworskiej donieśli i od niej kartkę zgłoszenia się otrzymali”[3]. A jeśli tego nie uczynią: „To ślubu nie dostaną, bo Księża Plebani mają surowy zakaz, ażeby poddanych bez wiedzy i zezwolenia dworskiego do małżeństwa nie przypuszczali”. Opisuje też dziedziczenie statusu niewolnika: „Poddaństwo przechodzi z rodziców na dzieci i trwa dopóty, dopóki z niego Dziedzic, czyli Pan wsi na piśmie, nie uwolni”[4]. A wszystko kończy biblijnym cytatem: „Z całą bojaźnią bądźcie poddani panom nie tylko dobrym i łagodnym, ale również surowym (I. Petr. 2 w. 18)”, gdyż każde najmniejsze nieposłuszeństwo prowadzi do „zuchwalstwa, zuchwalstwo do występku, występek do zbrodni”[5]. Do zbrodni bycia wolnym człowiekiem, należałoby dziś dodać.

Bunty niewolnicze, jak choćby powstanie Spartakusa, nazywane w późniejszych wiekach wojnami chłopskimi (na

przykład różne „koliwszczyzny” na Ukrainie) czy rewolucjami (walka meksykańskich chłopów o ziemię w latach dziesiątych XX wieku). Miały zawsze gwałtowny i niezwykle krwawy przebieg oraz konkretny cel – wolność i ziemię dla niewolników (jak mawiał Emiliano Zapata: „Nie ma jednego bez drugiego”). Nie inaczej miały się sprawy z rabacją galicyjską. I nie było winą chłopa niewolnika, że Rzeczpospolita szlachecka kojarzyła mu się z pańszczyzną, chłostą i głodem, że Austriacy („dobry cesarz”!), którzy w przekonaniu chłopów próbowali ulżyć doli chłopskiej, tak łatwo wykorzystywali ich gniew przeciwko planowanej insurekcji. Wszak nawet wiejscy „przewodnicy duchowi”, czyli księża, wydawali „szlacheckich wichrzycieli” władzom austriackim, jak było w wypadku Juliana Goslara, którego wydał chłopom w Haczowie miejscowy proboszcz, ksiądz Gerard Lech, a ci powlekli go z innymi schwytanymi „dziedzicami” do Sanoka:

> We wszystkich wsiach, przez któreśmy jechali, stało chłopstwo po drodze i witało nas drągami. Jechaliśmy przez drągi i cepy, jak żołnierz idzie przez rózgi. […] W Berku, dwie mile od Sanoka, już nie tylko chłopi, ale i pijani żołnierze bili nas kolbami. Do mnie ze złośliwym szyderstwem przystąpił kapral: „Dobrze wam tak zbóje – rzekł – coście to wy chcieli zrobić?”[6].

Za ten „akt przemocy”, na który, raz jeszcze podkreślmy, złożyły się wieki wyzysku, polska literatura (między innymi Zygmunt Krasiński i Stanisław Wyspiański) zmieniła gospodarza ze Smarżowej w krwawego upiora trawionego wiecznym pragnieniem („Dajcie, bracie, kubeł wody…”).

A jednak mimo całego kunsztu naszych literackich tuzów, mimo „przyjęcia stanu włościańskiego” do narodu na przełomie XIX i XX stulecia (co między innymi pozwoliło Piłsudskiemu zwyciężyć z bolszewikami w 1920 roku) i mimo szkolnej edukacji, która do dzisiaj potępia rabację, Jakub

Szela w „podkarpackim trójkącie” Tarnów–Jasło–Gorlice, nie jest wyłącznie czarnym charakterem. Znany etnograf i badacz kultury ludowej Karpat, Antoni Kroh, w kapitalnej książce *Wesołego Alleluja Polsko Ludowa* opisał swe spotkania z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku z Władysławem Chajcem, rzeźbiarzem ludowym, który mieszkał pół godziny drogi od dawnej chałupy Jakuba Szeli. Chajec często wspominał Szelę, ale w zaskakujący dla autora sposób: „Panoczku, jak wejdziesz kiedy do gospody i zobaczysz paru chłopów, że coś mamrotają i śmieją się od ucha do ucha, a jak zobaczą obcego, to zaraz cichną i robią smutne miny, to żebyś wiedział: właśnie wspominali, jak się panów rżnęło” lub: „W naszej okolicy to już niewiele zostało z ludowej tradycji. Tylko Jakuba Szelę pamiętają i starych kapliczek jeszcze trochę się znajdzie. No i ja”[7]. Podczas czytania tych słów powróciło wspomnienie mego wiekowego, ponad dziewięćdziesięcioletniego Dziadka, z którym w latach osiemdziesiątych toczyłem po przyjściu ze szkoły podstawowej (zwłaszcza po lekcji historii) długie spory, że nie jest wcale Austriakiem (nie znał słowa po austriacku, ale o kategorii „Austriaków polskojęzycznych” w CK Monarchii dowiedziałem się znacznie później), tylko Polakiem, a jak go już mocno zdenerwowałem, to opowiadał mi, jak miejscowi chłopi „polskich panów rżnęli piłami…, a on jest Austriakiem i basta! I chłopu najlepiej się żyło za najjaśniejszego pana!”. Dziś rozumiem, iż mój Dziadek, mimo że był weteranem bitwy nad Niemnem w 1920 roku (znad którego pod Biecz po demobilizacji wrócił na piechotę), zachował austro-węgierską przynależność państwową i uwewnętrznił tradycję chłopskiego buntu przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Słowa „dwór” czy „szlachta” miały w jego ustach zawsze (delikatnie mówiąc) pejoratywny wydźwięk. Przypomniałem sobie też legendę o gadającej (a raczej śpiewającej) głowie.

Dziwnym trafem nawiedzała ona naszą okolicę w przełomowych momentach historycznych. Na przykład stan wojenny nie kojarzy mi się wcale z czołgami na ulicach (marzenie każdego wiejskiego chłopaka wychowanego na serialu *Czterej pancerni i pies*) czy zwartymi oddziałami ZOMO, lecz z mrożącą krew w żyłach opowieścią, że pod Gorlicami na przydrożnej wierzbie wyrosła huba w kształcie głowy Chrystusa, która swym spojrzeniem spaliła milicyjny radiowóz. Dorośli działacze miejscowej Solidarności opowiadali to sobie całkiem poważnie. Wciąż rozpoznawalne też jest miejsce, w którym na rozstaju dróg straszyła zatknięta na kiju głowa pańszczyźnianego buntownika.

Rozdział V

Apostoł „ziemi od krwi dymiącej”

Jezuita, ojciec Gabriel (Jeremy Irons), w głośnym filmie *Misja* rozpoczął nawracanie Indian Guaraní od gry na flecie. Muzyka przełamała między nimi pierwsze lody, co zaowocowało stworzeniem w dżungli jezuickiej kolonii. Niestety szczęście Indian i zakonników nie trwało długo, gdyż ich „królestwo niebieskie” okazało się zagrożeniem dla hiszpańskich i portugalskich interesów. W ostatnich scenach filmu, gdy ogień podłożony przez żołdaków dokonuje ostatecznego zniszczenia wśród domostw kolonii, widzimy, jak ocalałe z rzezi indiańskie dziecko wyławia z wody skrzypce i zabiera je z sobą w głąb dżungli. Najeźdźcy nie zdołali całkowicie zniszczyć dzieła misjonarzy…

Ojciec Gabriel w szerzeniu chrześcijaństwa w amerykańskiej dżungli wykorzystał swe artystyczne talenty. Miał w rzeczywistości wielu protoplastów, choćby słynnego apostoła Chin – ojca Mattea Ricciego. Ten człowiek wielu talentów imponował Chińczykom rozległą wiedzą, a nawet stał się jednym z ich mędrców, przyjąwszy chińskie tradycję i styl życia. Również i w Polsce znaleźć można misjonarza o talentach i wrażliwości prawdziwego artysty, który wysłany został z misją do prawdziwego jądra ciemności. I nie były to Kongo ani amazońska dżungla, lecz kraina całkiem swojska, dziś kojarząca się z pięknymi górskimi pejzażami

i malowniczymi wioskami, w których mieszkają „krakowiacy i górale” podkreślający swe przywiązanie do wiary i patriotyzmu. W 1846 roku prócz krajobrazów wszystko tu wyglądało inaczej. Tutaj, w cyrkułach tarnowskim, bocheńskim, sądeckim, wielickim i jasielskim, w lutym 1846 roku wybuchło równolegle do narodowego powstanie chłopskie, które przeszło do historii jako rzeź czy też rabacja galicyjska.

Austriacy, powiadomieni przez swych szpiegów o nieuchronnym wybuchu powstania w Galicji, podburzyli przeciw powstańcom chłopów, rozpuszczając wśród nich pogłoski, że Polacy, czyli panowie, zbierają się, by wymordować „cesarskich” włościan. Nie spodziewali się tylko aż tak gwałtownego wybuchu nienawiści. Pod ciosami siekier, motyk, cepów i kos padali nie tylko zbierający się do walki powstańcy, ale też ziemianie, nie wyłączając często ich służby. Nie oszczędzano również księży i zakonników, w których widziano przede wszystkim równych szlachcie (a często i większych) wyzyskiwaczy wsi. W okrutnych męczarniach zginęło około tysiąca osób; blisko trzy tysiące zmaltretowanych i pobitych zamknięto w więzieniach. Spalono bądź splądrowano około czterysta siedemdziesiąt dworów, ponad pięćdziesiąt kościołów i tyleż plebanii. W pełni odsłoniła się przepaść między przekonaną o swoim monopolu na narodowość szlachtą egzekwującą swe feudalne przywileje a chłopami zmuszanymi do pańszczyźnianych powinności, przekonanymi, że obrońcę mają tylko w „dobrym cesarzu”. Na nic się zdały pojednawcze gesty nielicznych szlacheckich demokratów z Edwardem Dembowskim, Czerwonym Kasztelanicem na czele, którzy rozumieli, że bez przeciągnięcia na swą stronę chłopów nie może być mowy o odzyskaniu niepodległości. Sam Dembowski, zdeklarowany antyklerykał, by wciągnąć do powstania chłopów, poszedł na czele proce-

sji z krzyżem w ręku do Podgórza i padł tam od salwy austriackich żołnierzy. Nawet gdyby kordon przeszedł, wątpliwe jest, czy znak krzyża przekonałby ogarniętych żądzą zemsty za lata wyzysku i zniewag chłopów do idei przyświecającej panom.

Władze austriackie, widząc, że ich plan wymknął się spod kontroli, internowały przywódców rabacji, w tym najsłynniejszego wśród nich – Jakuba Szelę, którego niedługo po-

tem osadzono w przyznanym mu gospodarstwie na Bukowinie, a do zrewoltowanych wsi wysłały wojsko. Żołnierze szybko przywrócili spokój, ale gubernator Galicji, książę Ferdynand d'Este, dobrze wiedział, że to nie stłumi na długo buntowniczych nastrojów chłopów wracających do życia wśród ruin dworów i sprofanowanych kościołów. Co więcej, obawiano się, że wielu chłopów, zobaczywszy, że zostali oszukani, mogli swe siekiery i kosy podnieść przeciw austriackim urzędnikom i notablom. Gubernator postanowił więc wysłać do rabantów misjonarzy i zażądał ich natychmiast od zakonu jezuitów. Prowincjał jezuitów ojciec Jakub Pierling wyznaczył do tego trudnego zadania sześciu zakonników: Augustyna Lipińskiego, Józefa Perkowskiego, Jana Tocka, Szczepana Załęskiego, Ignacego Skrockiego i Karola Antoniewicza. Czterej pierwsi udali się na Podhale: od Chochołowa przez Biały Dunajec, Szaflary po Zakopane. Natomiast ojcowie Skrocki i Antoniewicz ruszyli do samego epicentrum rabacji – na Pogórze. Niektórych zakonników dziwiło, iż wśród misjonarzy wysłanych na tak trudną i niebezpieczną misję znalazł się brat o bardzo krótkim stażu w zakonie, który śluby zakonne składał w 1841, a święcenia kapłańskie przyjął w 1843 roku. Szybko jednak okazało się, że prowincjał nie pomylił się co do osoby Karola Antoniewicza. Ten wrażliwy i utalentowany poeta i kaznodzieja był równocześnie człowiekiem o sporym bagażu życiowych doświadczeń naznaczonych cierpieniem. Początkowo niewiele wskazywało, że jego los będzie miał tak tragiczne koleje.

Karol Bołoz Antoniewicz przyszedł na świat 6 listopada 1807 roku w Skwarzawie pod Lwowem w zamożnej i wykształconej rodzinie ormiańskiej. Jego ojciec, Józef, był cenionym lwowskim adwokatem. Matka, Józefa z Nikorowiczów, zajmowała się domem i wychowaniem trójki dzieci: Albiny, Karola i najmłodszej Katarzyny, ale to ona rozbudzi-

ła w synu zamiłowanie do nauki języków i miłość do poezji. Oprócz języka polskiego w domu Antoniewiczów posługiwano się na co dzień językiem niemieckim i to w nim Antoniewicz tworzył pierwsze wiersze, a nawet wydał tomik w czasie kilku lat swej edukacji w Wiedniu. Niestety, w 1823 roku na rodzinę spadł pierwszy cios – zmarł Józef Antoniewicz. Szesnastoletni Karol bardzo przeżył śmierć ojca i w kolejnym roku postanowił podążyć jego ścieżką zawodową i rozpocząć studia prawnicze na Uniwersytecie Lwowskim.

Po ukończeniu studiów wyjechał do Jass w Siedmiogrodzie, gdzie mieszkała część jego rodziny. Planował napisanie wielkiej historii Ormian i przez dwa lata zbierał materiały, lecz nie dane mu było zrobienie kariery naukowej. Pod koniec 1830 roku Karol wrócił do Lwowa i pod wpływem patriotycznych dzieł swego kuzyna, Mikołaja Antoniewicza, przyłączył się do powstania listopadowego. Służył w korpusie generała Józefa Dwernickiego w trakcie jego wyprawy na Wołyń. W czasie jednej z akcji miała miejsce tragiczna przygoda, którą Karol będzie łączył później z ingerencją opatrzności. Pododdział kawalerii, w którym służył Antoniewicz, podczas patrolowania borów wołyńskich zgubił drogę. Ułani zapytali o nią napotkanych chłopów, a ci skierowali ich prosto do rosyjskiego obozu. Wszyscy zostali tam schwytani i rozstrzelani prócz Antoniewicza, który zmęczony forsowną jazdą, zasnął w kulbace, a jego rumak niepostrzeżenie odłączył się od oddziału i sam odnalazł drogę do swoich. Pod koniec kwietnia 1831 roku korpus Dwernickiego, coraz bardziej osaczany przez Rosjan, przekroczył granicę austriacką i złożył broń. Karol Antoniewicz w obawie przed aresztowaniem i wydaniem go Rosjanom wyjechał na kilka miesięcy do Wiednia – tak skończyła się jego kariera wojskowa.

Powróciwszy do kraju, zatrzymał się u swej ciotki we Lwowie, gdzie poznał kuzynkę Zofię Nikorowiczównę. Wspólne zainteresowania i fascynacje szybko zaowocowały trwałym uczuciem. Po uzyskaniu dyspensy od papieża w 1833 roku pobrali się i zamieszkali w rodzinnej Skwarzawie. Nie zaznali jednak szczęśliwego życia rodzinnego. Wszystkie z ich pięciorga dzieci zmarły w niemowlęcym wieku, a po śmierci ostatniego dziecka Zofia bardzo podupadła na zdrowiu. W 1838 roku Antoniewicze przenieśli się do Lwowa, żegnani z żalem przez skwarzawskich chłopów, dla których otworzyli szkołę i szpitalik dla chorych. Zmiana miejsca zamieszkania i wyjazdy do uzdrowisk niewiele pomogły żonie Karola gnębionej depresją po śmierci dzieci, a co gorsza – gruźlicą. Zofia Antoniewicz umarła w ostatnich dniach lipca 1839 roku. Małżonkowie zaplanowali wcześniej, że jeśli Zofia wyzdrowieje, to wstąpi do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, a Karol zaś do Towarzystwa Jezusowego.

Antoniewicz, pochowawszy żonę w habicie zakonu sióstr miłosierdzia, w miesiąc po pogrzebie zlikwidował swój majątek, rozdzielając go w większości między wierne sługi i w dniu 10 września 1839 roku zastukał do bramy kolegium jezuickiego w Starej Wsi pod Sanokiem, gdzie poprosił o przyjęcie do nowicjatu. Do zakonu przyjął udręczonego niedawnymi przeżyciami poetę inny poeta, ksiądz Józef Morelowski, znany między innymi z *Trenów na rozbiór Polski.* W starowiejskim kolegium Antoniewicz szybko odzyskał równowagę ducha i jak wspominał po latach: „Stanąwszy na progu klasztornym, zdawało mi się, żem wstąpił w dom rodzinny”[1]. Po złożeniu ślubów zakonnych przez rok studiował teologię w kolegium jezuickim w Tarnopolu. Tutaj spotkał księdza Jana Wojszniłłę, misjonarza, który przez wiele lat prowadził pracę misyjną na Kaukazie. Bezpośrednio po święceniach przystąpił do pracy kaznodziejskiej we

Lwowie i okolicach. Okazało się wtedy, że ksiądz Antoniewicz jest nie tylko utalentowanym poetą, lecz także porywającym wiernych kaznodzieją. W tym okresie głośne były jego wystąpienia przeciwko jednej z największych plag Galicji – pijaństwu. To głębokie zaangażowanie, a przy tym celne i jasne kazania trafiające do serc prostych ludzi sprawiły, że ksiądz Antoniewicz znalazł się w grupie jezuitów wysłanych przez ojca Pierlinga do głoszenia misji wśród galicyjskich rabantów.

Kilka tygodni po krwawych zapustach w Galicji, na początku kwietnia 1846 roku, ksiądz Antoniewicz wyruszył z nowosądeckiego klasztoru na „ziemię krwią zbroczoną", jak zapisał we wstępie do swych *Wspomnień misyjnych*, które po zaginięciu jego raportów do władz zakonnych stały się głównym świadectwem trudnej i niebezpiecznej pracy oraz swoistym przewodnikiem po „jądrze ciemności", gdzie trzeba było „patrzeć na łzy, żyć między rozpaczą i zbrodnią, i z kazalnicy znieważonych kościołów gromić zbrodnie, pocieszać smutek, uspokoić rozpacz, okazać w całej wielkości i potędze sąd sprawiedliwości i miłosierdzia Boskiego"[2]. Swoją posługę ksiądz Antoniewicz rozpoczął w Bobowej, a następnie prowadził kilkudniowe misje w Bruśniku, Ciężkowicach, Lipnicy Murowanej, Gromniku, Wilczyskach, Pilźnie, Podolu, Rożnowie, Wiewiórce, Korzennej, Tropiu, Staniątkach i Brzeźnicy. W każdej z tych miejscowości oglądał zdewastowane dwory i sprofanowane świątynie, ale najgorsza była dojmująca nieufność i nieosłabła wśród ludzi nienawiść.

> Lud czując się wolnym – pisał ksiądz Antoniewicz – po kilkowiekowej niewoli, chciał tej wolności użyć; nie umiejąc jej użyć na dobre, użył na złe. Nie widząc żadnego prawa, zdeptał wszelkie prawa. Nie doznając nad sobą karzącej ręki sprawiedliwości boskiej, podniósł rękę na Boga samego. I ten lud, co przed miesiącem zbie-

rał się tak pobożnie do kościołów i tak przykładnie się w onych zachowywał, napadał zbrojną ręką te domy boże, szydząc i bluźniąc, to co dotychczas czcił i szanował [...] A powstawszy tak zuchwale przeciw Bogu, cóż dziwnego, że nie szczędził ludzi? Zbrodnia stała mu się potrzebą, mordował bez żadnej osobistej zemsty, bo miał uciechę broczyć we krwi ludzkiej, pustoszył bez chęci zysku, bo miał rozkosz patrzeć na spustoszenie. Chciał swej wolności, chciał się przekonać, czy w istocie wolnym jest![3]

Ksiądz Antoniewicz celnie odkrył antyfeudalne, a co za tym idzie – antypańskie (czyli antypolskie) i antykościelne pobudki rabantów, choć nie zawsze były one tak ślepe, jak pisze, czego dobrym przykładem jest Jakub Szela, który mścił się między innymi za doświadczoną niesprawiedliwość.

Niezależnie od tego wszystkiego należało znaleźć wyjście z krwawego klinczu nienawiści i ksiądz Antoniewicz nie widział innej drogi, jak tylko drogę przebaczenia budowaną mozolną pracą edukacyjną wśród ludu. Rzec można, że ten poeta zapatrzony do niedawna w romantyczne ideały swej epoki stał się na Pogórzu protoplastą pozytywistów, którzy wyłonili się po kolejnej krwawej tragedii narodowej – powstaniu styczniowym. Mimo ciągłych niebezpieczeństw i wielokroć otrzymywanych gróźb (na przykład oskarżany był wciąż, że jest przebranym za księdza szlachcicem) wymową swych kazań i osobistym poświęceniem potrafił przekonać chłopów do powrotu do Kościoła. Już na samym początku swej misji, w Bobowej, jezuita wspomina:

Gdym opisywał wewnętrzny stan mordercy, słowy prostemi, ale dobitnie, jeden ze słuchających, który wytężonego oka ze mnie przez cały ciąg mowy zuchwale nie spuszczał, raptownie pobladł i bliski omdlenia, z kościoła wyniesiony został (co się nie raz jeden w czasie misyi i na różnych wydarzyło miejscach), obecni poznali w nim jednego z morderców[4].

Misja księdza Antoniewicza wśród rabantów trwała do początku października 1846 roku. Jak bardzo była wyczerpująca, świadczy fakt, że następnego roku za poradą lekarzy zakonnik udał się na urlop zdrowotny. Za miejsce swego wypoczynku wybrał Piaseczną niedaleko Stanisławowa. Pobyt wśród Hucułów ksiądz Antoniewicz uznał za najszczęśliwszy okres w swym życiu. A tymczasem jego praca misyjna w Galicji o mało co nie została zniweczona przez paulinów na Jasnej Górze, którzy – podobnie jak przeważająca większość ówczesnej hierarchii kościelnej i ziemiaństwa – byli zwolennikami twardego kursu wobec rabantów. W rezultacie misji księdza Antoniewicza i jego towarzyszy latem 1846 roku wyruszyła z porabacyjnych cyrkułów pielgrzymka pokutna na Jasną Górę. Po jej przybyciu do Częstochowy, zgodnie ze zwyczajem, delegacja pątników poprosiła paulinów o wprowadzenie do sanktuarium Czarnej Madonny. Zakonnicy odpowiedzieli, jak pisze ksiądz Edward Nowakowski w publikacji *Częstochowa w obrazach historycznych*, że

> skalanych krwią bratobójczą nie wpuszczą do Jasnej Góry. Przybyli się tego nie spodziewali; gdy nadto postawieni w bramie na straży wszystkich innych wpuszczali, a galicyjskim zbrodniarzom bronili wstępu – strach i przerażenie ogarnęło ich. Jakoś płacz ten był tak okropny, rozpaczny i przeraźliwy – i trwał ciągle, nieustannie, połączony z wołaniem miłosierdzia, litości – przez trzy dni i noce bez przerwy, że zdawało się sądny dzień nastąpił.

Dopiero wtedy wyszli do chłopów paulini i poza murami klasztoru wysłuchali ich spowiedzi, a następnie wpuścili przed oblicze cudownego obrazu, ale bez żadnej muzyki i śpiewów, i natychmiast nakazali im wracać, skąd przybyli. Kończąc swą relację, ksiądz Nowakowski pisze, iż „niepodobna było nawet słuchać ich rozpaczliwych języków, niepodobna było także słuchając tego płaczu, i samemu nie pła-

kać. Serce się krajało i zdawało się, że pęknie pod wrażeniem tego strasznego obrazu”[5].

Potraktowanie galicyjskich pielgrzymów jak sienkiewiczowskiego Juranda ze Spychowa pod murami Szczytna było sprzeczne z intencjami księdza Antoniewicza, który sam niebawem stanął wobec nowych i nieoczekiwanych przeciwności losu. W maju 1848 roku władze austriackie wydały rozporządzenie o likwidacji klasztorów jezuickich w Galicji. Ksiądz Antoniewicz podzielił los swych zakonnych współbraci i wyruszył na kilkuletnią tułaczkę misyjną. Początkowo głosił swe kazania w licznych miastach i wsiach małopolskich. Między innymi w 1850 roku po wielkim pożarze Krakowa podnosił na duchu wiernych, głosząc Słowo Boże w wypalonych ogniem kościołach. W kolejnym roku udał się na Górny Śląsk, zdobywając serca Ślązaków tym, że przemawiał do nich po polsku. W końcu znalazł się w Wielkopolsce. Tutaj, dzięki zaproszeniu arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego Leona Przyłuskiego, osiadł wraz z grupą jezuitów w pocysterskim klasztorze w Obrze. I tak powstał pierwszy od czasów rozbiorów klasztor jezuicki w zaborze pruskim, a ksiądz Antoniewicz został jego superiorem (przełożonym). Jednak podobnie jak w innych częściach kraju, misjonarz zajmował się pracą wśród biednych i potrzebujących. Nie dziwi więc, iż na wieść o wybuchu epidemii cholery w Obrze ksiądz Antoniewicz, nie zważając na zagrożenie zarażeniem, jako jeden z pierwszych kapłanów pospieszył do chorych z posługą.

Ksiądz Karol Antoniewicz zmarł na cholerę 14 listopada 1852 roku, mając zaledwie czterdzieści pięć lat. Pozostawił po sobie wiele wierszy i pieśni, a wśród nich słynne *Chwalcie łąki umajone*, tak chętnie śpiewane do dziś przez wiernych wśród gór i wzgórz Podkarpacia, gdzie ofiarny jezuita posługiwał rabantom wyklętym przez Boga i ludzi.

Rozdział VI

Czas Cyganów się nie skończył

Podobno w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy, które dzięki baśniowej otoczce szybciej zakorzenia się w ludzkich sercach. Łatwiej jest wtedy walczyć ze stereotypami, ale równie dobrze można dzięki legendom tworzyć nowe stereotypy, zwłaszcza te dotyczące „innych”, obcych ludzi. A jeśli legendę oprze się na motywach religijnych, jest to już broń bardzo groźna. Oto jedna z takich legend o wiecznych włóczęgach – Cyganach[1], którzy podobnie jak Żydzi, mieli zostać „ukarani” brakiem ojczyzny przez swój niechlubny udział w ukrzyżowaniu Jezusa Chrystusa:

W dniu, kiedy miano ukrzyżować „żydowskiego króla”, okazało się, że brakuje gwoździ. Wysłano więc kilku legionistów, by odnaleźli kowala, który wykułby potrzebne gwoździe. Pierwszy napotkany kowal, gdy usłyszał, do czego mają służyć wykute przez niego gwoździe, oświadczył żołnierzom, że jest chrześcijaninem, i mimo obietnic wysokiej zapłaty kategorycznie odmówił. Został zamordowany, podobnie jak kolejny, który również nie chciał podjąć się tej haniebnej pracy. W końcu legioniści odnaleźli mieszkającego w namiocie poza osadą Cygana parającego się kowalstwem. Tym razem nie zdradzili celu swego zlecenia. Gdy kowal wykuł pierwszy gwóźdź, usłyszał głosy swych zamordowanych poprzedników, którzy zaklinali go, by nie wyko-

nywał zamówienia Rzymian. Cygan zignorował jednak prośby duchów i kuł dalej, a gdy zaczął chłodzić w wodzie ostatni, czwarty gwóźdź, ten nagle wyrwał się z jego kleszczy. Przerażony kowal zaczął uciekać. Legioniści zabrali więc trzy gotowe gwoździe i przybili nimi Jezusa do krzyża, a Cyganie od tej pory, za karę, iż nie odmówili wykonania rozkazu, wciąż muszą uciekać przed ścigającymi ich gwoździami.

W tej legendzie „ziarnem prawdy" jest niestety to ostatnie zdanie o gwoździach ścigających nomadów, którzy w średniowieczu do Europy przywędrowali z dalekich Indii. Cyganie początkowo przemierzali Stary Kontynent bez większych przeszkód. Gdy trafili na przełomie XIV i XV wieku z Grecji i Konstantynopola na ziemie cesarstwa, otrzymali od cesarza Zygmunta Luksemburskiego glejt, który umożliwiał im swobodne wędrowanie po podległych mu krajach. Lud Faraona, jak nazywano Cyganów w Europie Zachodniej, wierząc w swoje egipskie pochodzenie, był bardzo ceniony przez panów feudalnych za muzykalność, kabały, a przede wszystkim kowalstwo i rusznikarstwo, gdyż pod koniec średniowiecza broń palna zaczynała już mieć coraz większe znaczenie na polach bitew. Paradoksalnie pogorszenie sytuacji nomadów przyniosły następne stulecia, zwane renesansowymi i oświeconymi. Wraz z rozwojem struktur państw absolutystycznych, urbanizacją i kodyfikacją norm prawno-społecznych koczownicy i włóczędzy przestali być tolerowani. Kancelarie poszczególnych europejskich dworów zaczęły wypuszczać dokumenty nakazujące bezwarunkowe osiedlanie się i znalezienie stałego zajęcia. I tak w piętnastowiecznej Hiszpanii „włóczącym się Cyganom" groziło obcięcie uszu, zakucie w kajdany i niewola. W 1539 roku wyrzucono ich z Francji, a zwierzchnik państw niemieckich, cesarz Maksymilian I Habsburg, zezwolił na

torturowanie, a nawet zabijanie Cyganów, którzy nie zdążyli opuścić granic cesarstwa.

Na tym tle znacznie lepiej wyglądała sytuacja tych nomadów, którzy trafili do Rzeczypospolitej. Wprawdzie i tutaj w wiekach XVI i XVII wprowadzono kilka ustaw banicyjnych, lecz nie były one zbyt ściśle przestrzegane. Paradoksalnie coraz większe rozprężenie polityczne w siedemnastowiecznej Polsce, liczne wojny z sąsiednimi państwami, a przede wszystkim powstanie Chmielnickiego i potop

szwedzki powodowały, że Cyganami nie zawracano sobie zbytnio głowy, a nawet pozwalano im tworzyć własne urzędy, co było nie do pomyślenia w południowej i zachodniej Europie. Król Jan Kazimierz pozwolił im, co kolejni monarchowie polscy potwierdzali, na obieranie starszych, wajdów (wojewodów), a nawet królów. Mieli oni prawo do sądzenia i zbierania podatków od swych współbraci, a w zamian musieli ich bronić przed prześladowaniami. Cyganie znaleźli także opiekę i zajęcie na wielu dworach magnackich. Polskie „królewięta", jak dawniej władcy średniowieczni, ceniły ich umiejętności kowalskie i muzyczne. Wielki rozgłos w całej Europie zdobyła powstała w XVIII wieku w dobrach księcia Karola Stanisława „Panie Kochanku" Radziwiłła Akademia Smorgońska. Zatrudnieni w niej Cyganie prowadzili tresurę niedźwiedzi.

Całkowicie wyjątkowy na skalę europejską był uniwersał Komisji Obojga Narodów z grudnia 1791 roku zapewniający Cyganom prawa obywatelskie. Dokument ten podpisał marszałek wielki koronny Michał Jerzy Wandalin Mniszech, który stał również na czele Komisji Policji Obojga Narodów. Uniwersał ogłaszał, co później znalazło się także w Konstytucji 3 maja, zniesienie prawa, które zabraniało „przyjmować na osadę lud pod nazwiskiem Cyganów w krajach naszych będących"[2]. W uniwersale zaznaczono, że ani policja, ani wojsko nie mogą aresztować Cyganów za włóczęgostwo, ale „oznajmiać o rządowej nad nimi opiece, wolności siedlania się oświadczyć i do niej w krajach Rzeczypospolitej zachęcić"[3]. Dalej dokument zobowiązywał władze, by pilnowały, aby Cyganie gromadnie, jak dotąd, się nie włóczyli, tylko żeby każdy z nich otrzymał „paszport" i rok na znalezienie stałego miejsca zamieszkania i pracy, „a jeżeliby [któryś z nich] w przeciągu roku od daty niniejszego Uniwersału nie miał miejsca i dawnym zwyczajem się tułał, ta-

kowy za włóczęgę poczytany i do domów pracy lub więzienia, przez Komisję Policji […] oddawany będzie”[4].

Po rozdzieleniu ziem polskich między państwa zaborcze Cyganie znowu sprowadzeni zostali do poziomu wyjętych spod prawa banitów. Przodowało w tym szczególnie oświecone państwo Habsburgów, w którym założono całkowitą eliminację kulturowo-językowej odrębności Cyganów. Już za samą przynależność do cygańskiego narodu dekret Karola VI groził banicją lub karą śmierci; Maria Teresa dopisała do tego całą listę nakazów i zakazów – na przykład nakaz osiedlenia się połączony z osobistym poddaństwem, zakaz posiadania koni i wozów taborowych, obowiązkowy pobór do wojska w wieku szesnastu lat. Jej syn, Józef II, kojarzony pozytywnie dzięki swym reformom, które miały na celu między innymi ulżenie doli pańszczyźnianych chłopów, dla Cyganów nie miał litości i we wprowadzanych regulacjach prawnych szedł jeszcze dalej niż jego matka, zakazując Cyganom używać ich języka i tworząc system brutalnych kar cielesnych za nieprzestrzeganie cesarskich dekretów. Jeśli ziemie cesarstwa austriackiego i królestwa węgierskiego stanowiły dla ludności cygańskiej czyściec, to księstwa naddunajskie, Mołdawia i Siedmiogród, były prawdziwym piekłem. Możnowładzcy tych krajów, sami poddani władzy tureckiej i austriackiej, obłożyli chłopów ogromnymi powinnościami poddańczymi, czyniąc z nich faktycznie niewolników; niżej od nich byli już tylko Cyganie, podzieleni na trzy kategorie: niewolników domowych, klasztornych i bojarskich. Często byli oni traktowani jak zwierzyna łowna. Wołoski kodeks karny z 1811 roku zawierał zapis, że każdy Cygan rodzi się niewolnikiem, a w zachowanych spisach trofeów myśliwskich arystokratów siedmiogrodzkich można przeczytać, że ubito tyle i tyle jeleni, dzików, zajęcy i… Cyganów.

Jak ciężki był ich los, dobitnie pokazuje rumuński film z 2015 roku *Aferim!* (po turecku oznacza to „brawo”, „dobra robota”). Reżyser Radu Jude przeniósł w plenery dziewiętnastowiecznej Wołoszczyzny schemat klasycznego westernu: dwaj stróże prawa – szeryf (tutaj zwany konstablem) i jego syn – ścigają zbiegłego cygańskiego niewolnika oskarżonego o to, że uwiódł żonę swego właściciela. Przy okazji pościgu stary doświadczony stróż prawa, konstabl Constandin (w tej roli Teodor Corban) przekazuje synowi Ionicie (Mihai Comănoiu) swe mądrości życiowe i uczy go obowiązującego w państwie prawa. Problem tylko w tym, że jest to nieludzkie prawo kaduka, a raczej knuta i bata, a mądrości życiowe szeryfa są zbiorem ksenofobii, rasizmu i konformizmu wymieszanych z okrucieństwem. Bat był podstawowym gwarantem i środkiem utrzymania władzy przez wielkich posiadaczy ziemskich – bojarów. W ciągu

XVIII wieku obowiązek pańszczyzny na Wołoszczyźnie i w Mołdawii stał się powszechny, narzucono go nawet chłopom wolnym (których w odróżnieniu od ziem Rzeczypospolitej było u jej południowych sąsiadów całkiem sporo). Różnica w położeniu chłopów wolnych i poddanych polegała już tylko na tym, że nie można było ludzi wolnych przenosić, zamieniać, sprzedawać oraz wymagać od nich innych prac poza pańszczyzną w określonym wymiarze. Zbiegostwo, wyludnianie wsi na skutek klęsk żywiołowych i spustoszeń wojennych, a przede wszystkim liczne zbrojne bunty (Rumunia czy Węgry mają w swej historii znacznie więcej bohaterów pokroju naszego Jakuba Szeli) zmusiło wreszcie bojarów, choć nie obyło się bez oporu, do przyznania chłopom prawa wykupu z poddaństwa i osadzenia w majątkach na prawach ludzi wolnych.

Bardzo długo zmiany te nie dotyczyły Cyganów. Aż do 1856 roku w centrum Europy oficjalnie trwało w najlepsze niewolnictwo cygańskie, a targi niewolników tętniły życiem zmienianym tam w koszmar. Ale nawet po tej dacie sytuacja Cyganów nie była wiele lepsza… Podobnie jak czarnoskórzy niewolnicy wyzwoleni po wojnie secesyjnej na południu Stanów Zjednoczonych, zderzali się oni automatycznie z nędzą ekonomiczną, a przede wszystkim z powszechnym, wpajanym od wieków rasizmem. Wróćmy jeszcze na chwilę do *Aferim!* – w czasie pościgu za niewolnikiem Carfinem (Toma Cuzin) stróże prawa spotykają między innymi księdza (okazuje się on kimś bardzo podobnym do naszego „kapelana nacjonalistów”, byłego już na szczęście księdza Jacka Międlara), który w długim monologu kreśli miejsce i przeznaczenie różnych narodów w świecie. Przedstawia więc w istocie zbiór stereotypów: Rumuni są po to, aby cierpieć na wzór Chrystusa (bardzo blisko pod tym względem Rumunom do Polaków…), Anglicy stworzeni są do myślenia, Ro-

sjanie po to, aby pić, Francuzi zajmują się modą, a Włosi to kłamcy. Żydzi, wiadomo, sprzeniewierzyli się woli Boga i wydali na śmierć Syna Bożego, ale jeszcze gorsi są Cyganie, którzy pochodzą wprost od szatana i jako „brudny, szatański pomiot" nigdy nie powinni wyjść z niewolnictwa. Ta tragikomiczna scena jest kluczowa dla całego filmu – szkoda tylko, że ten znakomity western, nagrodzony na berlińskim festiwalu filmowym w 2016 roku Srebrnym Niedźwiedziem, nie znalazł w naszym kraju tak dużego oddźwięku, na jaki zasługuje dzieło tłumaczące źródła wielu problemów współczesnych społeczności środkowoeuropejskich. Radu Jude pokazuje, że niszczycielski nacjonalizm ma w historii głębokie korzenie.

Cyganie jako egzotyczni przybysze o śniadej cerze, ze swymi odmiennymi i niezrozumiałymi obyczajami i własnym prawem plemiennym, wzbudzali niechęć i strach. Oskarżani o włóczęgostwo, nielegalny handel, żebractwo i kradzieże, a nawet porywanie dzieci, drażnili jeszcze (zwłaszcza w „ojczyznach pańszczyzny") swym „genetycznym" umiłowaniem wolności. To prawda – jako lud nomadyczny nie przywiązywali specjalnej wagi do mniejszych czy większych kradzieży, na przykład kur czy warzyw z mijanego przez tabor pola; wędrowali z miejsca na miejsce, a więc nie posiadali ziemi, nie mieli zatem możliwości, aby produkować żywność, a rzadko też dysponowali pieniędzmi na jej zakup. Dochodziła do tego jeszcze tradycja oskarżenia Cyganów o przyłożenie ręki do kaźni Chrystusa. Cyganie odwrócili morał legendy o wykuciu gwoździ do ukrzyżowania Mesjasza. Właśnie dzięki temu, że cygański kowal wykuł tylko trzy, a nie cztery gwoździe, Chrystus miał na krzyżu mniej ran. Rozpowszechniła się także wśród Cyganów inna, bardziej chwalebna opowieść: kiedy przyprowadzono Jezusa na Golgotę, przyniesiono cztery gwoździe, żeby wszystkie jego członki

przybić do krzyża osobno. Cygan, który stał w tłumie gapiów, przeraził się, że nagi Chrystus będzie w ten sposób wystawiony na wstyd i pośmiewisko. Niepostrzeżenie więc ukradł legionistom jeden z gwoździ, a ci zmuszeni byli złożyć skazańcowi nogi i przybić je jednym gwoździem, dzięki czemu zakryli jego przyrodzenie. I właśnie dlatego wolno Cyganom kraść.

Dziś nie ma już taborów przemierzających Europę wzdłuż i wszerz. Są za to slumsy na obrzeżach wielu europejskich miast, w których Cyganie funkcjonują podobnie do innych dumnych koczowników, na przykład Indian preriowych zamkniętych przez rząd USA w rezerwatach. Niewiele pomaga przypominanie ich tragicznej historii, której apogeum było ludobójstwo Cyganów w niemieckich obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. Nie pomogła im też zmiana nazwy w połowie XX stulecia, która obrosła przez wieki złymi skojarzeniami, z Cyganów na Romów. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku doszło do licznych pogromów Cyganów na południu Europy, zwłaszcza w pogrążonej wojną Jugosławii, w Rumunii czy na Węgrzech. Nie lepiej było na „poprawnym politycznie” Zachodzie, czego przykładem była akcja wydalania cygańskich przybyszów z Francji rządzonej przez Nicolasa Sarkozy’ego. Przykłady dyskryminacji można mnożyć do dzisiaj, również w Polsce, która szczyci się tradycją tolerancji, a w praktyce gazety od czasu do czasu donoszą o sekowaniu Cyganów w Andrychowie, Limanowej czy innych polskich miastach i miasteczkach.

Mimo to – nawiązując do tytułu słynnego filmu Emira Kusturicy – czas Cyganów nie minął, zwłaszcza dziś, gdy ruszyła nowa „wędrówka ludów”, po staremu wywołana przez wszelkiej maści wojny. Dziś uchodźcy i emigranci znów

przemierzają Stary Kontynent – nie tylko wzbudzając nienawiść, lecz także ucząc tolerancji.

Rozdział VII

Stary wiarus idzie w noc listopadową

Często tak bywa, że w pamięci utkwi nam na dłużej sugestywny fragment opisu z książki czy scena z filmu. W moim wypadku był to pamiętny epizod z zakończenia *Warszawianki* Stanisława Wyspiańskiego. Traf chciał, że włączyłem telewizor, kiedy był emitowany *Geniusz sceny* – film z 1939 roku złożony z wielkich kreacji scenicznych Ludwika Solskiego. Zobaczyłem akurat fragment, w którym ten wielki aktor wcielił się w starego wiarusa przynoszącego meldunek generałowi Józefowi Chłopickiemu z pola bitwy pod Grochowem. Żołnierz, czarny od prochu i krwi, w poszarpanym mundurze salutuje i wręcza generałowi raport o krwawym i nierozstrzygniętym starciu z armią cara. Solski, nie wypowiadając w tej krótkiej scenie ani jednego słowa, stworzył wybitną kreację, która przeszła do historii polskiego teatru. Jego postać, gest, ekspresja były tak wstrząsające, że nie mogłem przestać o nim myśleć. Jako pięcio-, może sześcioletni chłopiec zapomniałem o wszystkich bohaterach z dobranocek, bajek i legend i w kółko rysowałem wąsatego żołnierza w wysokim czako na głowie. Po kilku latach zobaczyłem pastel Wyspiańskiego z 1904 roku, na którym uwiecznił on Solskiego w tej roli. Oczywiście moje rysunki

były jedynie dziecięcą wersją bohatera z powstania listopadowego – zniszczyłem je wszystkie, zostawiając sobie tylko reprodukcję Wyspiańskiego.

Stary wiarus, który wojaczkę musiał zaczynać jeszcze w Legionach Dąbrowskiego, a może nawet wcześniej, u naczelnika Kościuszki pod Racławicami stanowił kontrapunkt dla hamletyzującego w grochowskim dworku Chłopickiego i jego sztabowców. Oni również rozpoczynali karierę podczas insurekcji kościuszkowskiej lub u boku Napoleona, ale klęska cesarza ich zdruzgotała. Chłopicki ponadto brał udział w wojnie hiszpańskiej, szturmował między innymi Saragossę, gdzie doświadczył okropności wojny opiewanych później w grafikach Goi. Oficerowie armii Księstwa Warszawskiego, powróciwszy po ostatecznej klęsce Napoleona do kraju, nie zostali represjonowani. Nieoczekiwanie ich zwycięzca, car Aleksander, nie tylko darował im służbę u wroga, lecz także zachował ordery, stopnie wojskowe i – co najważniejsze – renty pieniężne. Więcej nawet! Przyjął ich na służbę do nowo powstałej armii Królestwa Polskiego. Na przełomie 1830 i 1831 roku mieli to wszystko zaprzepaścić, wyprzeć się prawowitego władcy – cara i króla polskiego – z powodu podchorążych, którzy „zadżumieni" romantyczną literaturą, wszczęli powstanie w noc listopadową. Kilku spośród wyższych dowódców próbowało ostudzić gorące młode głowy, apelując na warszawskich ulicach o powrót do koszar. W odpowiedzi dostawali kulę między oczy i etykietkę zdrajców. Po stłumieniu powstania car rozkazał upamiętnić ich w Warszawie pomnikiem, w oczach pobitego narodu pieczętując sprzeciw jako zdradę. W Chłopickim i jego oficerach w końcu zwyciężyła żołnierska natura i podjęli nierówną walkę z Rosją, ale ich wahanie, które bynajmniej nie zanikło, doprowadziło w końcu do klęski.

Stary wiarus wbrew pozorom również miał wiele do stracenia, pozostając w powstańczej armii. Choć miał tylko stopień kaprala, a cały jego majątek mieścił się w plecaku zarzuconym na plecy, zdawał sobie sprawę, że zwolnienie z armii oznaczało stoczenie się na społeczne dno. Już lepsza była śmierć w walce, a nawet rozstrzelanie za niesubordynację. Ale w wypadku napoleońskiego weterana to jeszcze nie wszystko. Temu byłemu chłopu pańszczyźnianemu w Legionach uświadomiono, że jest Polakiem równym szlachcicowi. W legionowej szkole wpojono mu patriotyzm i demokratyczne zasady. Nazwano towarzyszem broni po niejednej bitwie licznych kampanii Napoleona. Może i sam cesarz zaszczycił go przyjacielskim poklepaniem po ramieniu… To wszystko było nie do pomyślenia w armii Kongresówki, gdzie najdrobniejsze przewinienie karano knutem, a żołnierz był mięsem armatnim, podobnie jak w wojsku carskim. „Ścierwem”, które miało pięknie wyglądać i równo maszerować w czasie parad. Dla starego wiarusa wymogi wojskowej dyscypliny były chlebem powszednim, ale w pamięci wciąż wracał pod legionowe i napoleońskie sztandary, gdzie od żołnierza również wymagano wiele, ale traktowano go jak człowieka, współobywatela. To, co przeżywał w wojsku kongresowym, przypominało mu młodość w rodzinnej wsi, gdy był poddanym władzy dziedzica niewolnikiem. Kiedy więc wybuchło powstanie, stary wiarus poszedł pod komendę tych, którzy dali mu nadzieję na powrót minionych, ale wciąż żywych ideałów. Zawierzył młodym podchorążym, bo obudzili w jego sercu ideały z młodości.

POSŁUCHAĆ MUSISZ MOJEJ RADY,
A ZARAZ BĘDZIESZ DZIELNĘ MIEĆ!
TRZEBA JĄ ZDOBYĆ!*
DZIŚ RESZTĘ NOCY SIĘ ZABAWIĘ
NA DZISIAJ WINO, JUTRO
KREW!**
* STANISŁAW WYSPIAŃSKI, „NOC LISTOPADOWA",
„U TEATRZE ROZMAITOŚCI", W. 92-94.
** TAMŻE, W. 103-109.

Wyspiański w swym dramacie uczynił zeń ikonę żołnierza bez wahania poświęcającego się dla ojczyzny, ale także swego rodzaju zwiastuna śmierci. Oprócz meldunku z pola bitwy przyniósł jednej z mieszkanek dworku wstążkę zbroczoną krwią jej narzeczonego, który poległ w walce. Bitwa pod Grochowem stoczona w ostatnich dniach lutego 1831 roku była bardzo krwawa i dorównała w tym starciom z wojen napoleońskich, które dobrze pamiętał stary wiarus i niejeden żołnierz z obu walczących tam armii. Młodym, wychowanym na wciąż żywych wspomnieniach kampanii Napole-

ona i przepojonym romantyzmem, w Olszynce Grochowskiej spełniały się marzenia, ale od razu zmieniały się w koszmar.

Rosyjskie kartacze nie oszczędziły ani jednego drzewa w zagajniku, który mieszkańcy Grochowa nazywali Olszynką. Nikt jednak nie miał czasu ani ochoty myśleć o drzewach, kiedy odłamki żelaza jeszcze większe spustoszenie czyniły wśród ludzi. Od 19 lutego 1831 roku na przedpolach Warszawy trwała zażarta walka między maszerującą na zbuntowane miasto armią feldmarszałka Iwana Dybicza a próbującymi ją zatrzymać wojskami generała Chłopickiego. Generał – wbrew temu, co napisał Wyspiański w swoim dramacie – nie przesiedział całej bitwy w dworku grochowskim, lecz całkiem nieźle dowodził, a większymi kontestatorami, by nie powiedzieć kunktatorami, okazali się inni oficerowie. Dysproporcje sił działały na niekorzyść Polaków (przeciw pięćdziesięciu dziewięciu tysiącom żołnierzy i stu siedemdziesięciu ośmiu działom rosyjskim wystawili trzydzieści sześć tysięcy bagnetów i szabel oraz sto czternaście dział), a jednak wytrzymywali kolejne szturmy. Nieśmiertelną chwałą w ich szeregach okrył się 4 Pułk Piechoty Liniowej, który bronił kluczowej pozycji – właśnie Olszynki Grochowskiej.

Zniecierpliwiony oporem Polaków Dybicz – drażniony dodatkowo przez wielkiego księcia Konstantego, który z każdą chwilą wydawał się zapominać o upokorzeniu, jakiego doznał od swych poddanych w Warszawie, a po kolejnym odpartym szturmie rosyjskim miał wręcz wykrzykiwać ku zgorszeniu rosyjskich oficerów na przemian: „To moje dzieci! Moje dzieci!” lub „Żołnierze polscy to najlepsi na świecie żołnierze!” – zdecydował, że 25 lutego ostatecznie skończy sprawę buntowników. Od samego rana rosyjska piechota i artyleria zmieniły ten mroźny dzień w gorące piekło. Około jedenastej do ataku ruszyło dwanaście tysięcy Rosjan

– dziewiętnaście batalionów piechoty runęło na przeszło ośmiotysięczną dywizję generała Franciszka Żymirskiego. Wykrwawionym Polakom zagroziło oskrzydlenie, lecz wtedy generał Chłopicki osobiście poprowadził przeciwnatarcie na czele dziewięciu batalionów piechoty, odbił Olszynkę i wyparł Rosjan. Feldmarszałek, uporządkowawszy szeregi, wzorem polskiego wodza stanął na ich czele i przy wsparciu wszystkich swych dział ruszył do ponownego natarcia. Rozpoczęła się rzeź, w której po obu stronach padały w czerwony od krwi śnieg tysiące żołnierzy. W tej dramatycznej chwili generał Chłopicki dostrzegł możliwość zwycięstwa i postanowił rzucić na debuszujące masy rosyjskiej piechoty swą kawalerię, nim ta na nowo sformuje się po walce i nim ewentualnie nadjedzie rosyjska kawaleria. Natychmiast wysłał do dowódcy korpusu kawalerii, generała Tomasza Łubieńskiego, swego adiutanta z poleceniem, by zajął stanowiska wyjściowe i czekał na rozkaz do ataku. Łubieński, nie wierząc nie tylko w wygraną, lecz także w sens tej walki, rozkazu nie usłuchał, a adiutantowi odpowiedział, że generał Chłopicki zapomniał, iż bliżej linii ma oddziały Dezyderego Chłapowskiego. Drugiego wysłannika skwitował oświadczeniem, że rozkazy odbiera jedynie od nominalnego wodza naczelnego, księcia Michała Radziwiłła, a generał Chłopicki jako oficer piechoty nie zna się na użyciu kawalerii.

Zniecierpliwiony Chłopicki postanowił wtedy wysłać swego trzeciego adiutanta, Aleksandra Colonna-Walewskiego, o którym powszechnie wiedziano, że był nieślubnym synem cesarza Napoleona, owocem jego gorącego romansu z Marią Walewską. Chłopicki liczył z pewnością, że ten dwudziestoletni młodzieniec, uderzająco podobny do swego ojca, poruszy struny w sercu starego szwoleżera z Gwardii Cesarskiej. Generał Łubieński nie miał jednak zamiaru podda-

wać się sentymentom, by jak sądził, wysyłać swych ludzi na pewną rzeź. Wysłuchawszy próśb „młodzika", zaskoczył go pytaniem: czy generał Chłopicki żąda dywizji jazdy, czy raczej dywizjonu? Zbity z tropu adiutant nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, więc kawaleria pozostała na swych pozycjach, a krwawa bitwa pod Grochowem nie zakończyła się wyraźnym rozstrzygnięciem po żadnej ze stron.

Napoleońscy oficerowie Łubieński, Chłapowski i inni nie popisali się w tej bitwie swą legendarną fantazją spod Somosierry. Po bitwie także generała Chłopickiego dopadły wątpliwości co do sensu walki i złożył dowództwo. Młodzi, ogarnięci patriotyzmem i romantycznymi porywami, mogli czuć się rozczarowani ludźmi, których stawiali sobie za wzór. Znacznie więcej ducha romantyzmu okazał wspomniany, znienawidzony przez Polaków wielki książę Konstanty! Ten negatywny bohater eposów polskiego romantyzmu miał jak Janus dwa oblicza. Pierwsze – sadysty i zupaka, który z upodobaniem łamał charaktery podległych mu polskich oficerów i chorobliwie przestrzegał dyscypliny w wojsku. Z oczywistych powodów nie tolerował też w Królestwie żadnych ruchów wolnościowych i tępił je bezwzględnie za pomocą tajnej policji. To dzięki jego drakońskim metodom armia Królestwa Polskiego była najparadniejszym wojskiem w Europie, a po wybuchu powstania okazała się również świetnie wyszkolona. Tutaj objawia się drugie oblicze księcia. Przy całej swej bezwzględności w tłumieniu niepodległościowych aspiracji Polaków Konstanty pragnął być nie tylko narzuconym przez swego panującego brata namiestnikiem Królestwa. Chciał, by Polacy autentycznie zobaczyli w nim swego króla. Żeniąc się z polską hrabiną Joanną Grudzińską, zrezygnował ze swych praw do tronu carskiego, a po wybuchu powstania z księciem zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Na prośbę swego młodego polskiego adiutanta,

by zwolnił go ze służby i pozwolił mu odejść do powstańczych oddziałów, nie rozkazał natychmiast go aresztować. Po dłuższym milczeniu odpowiedział: „Masz rację, twoje miejsce jest tam” i pobłogosławił młodzieńca znakiem krzyża. Jego „gorszące” zachowanie pod Grochowem już opisałem. Oficerowie, których Dybicz wyznaczył, by odprowadzili księcia do namiotu, musieli uczynić to prawie siłą. Książę Konstanty zmarł kilka miesięcy po bitwie grochowskiej, 27 czerwca 1831 roku, oficjalnie z powodu cholery, na którą cierpiała cała armia rosyjska. Nieoficjalnie mówiło się, że uśmiercono go, podając mu zatrute truskawki w śmietanie. Być może obawiano się, że książę stał się już Polakiem.

To wszystko działo się wokół starego wiarusa – krwawa bitwa, niezdecydowanie dowódców, wallenrodyzm młodych, szaleństwo wielkiego księcia. Czy przeżył powstanie? Nie wiadomo. Wyspiański uczynił go „kometą” na narodowym firmamencie. Jeśli tak, to najpewniej dokonał żywota w jakimś paryskim lub londyńskim przytułku jako szeregowy członek Wielkiej Emigracji. Może przed śmiercią miał okazję czytać wiersze Mickiewicza i Słowackiego opiewające bohaterów powstania listopadowego. Zresztą lepiej nie rekonstruować jego losów, niech pozostanie kometą, zjawą – aktorskim majstersztykiem Solskiego, który utkwił w podświadomości widzów.

Rozdział VIII

Maks Gierymski nie został żołnierzem wyklętym

Maksymilian Gierymski nigdy nie opowiadał o swych przeżyciach z powstania styczniowego, choć pod wieloma względami był to okres decydujący w jego krótkim życiu. Miał niespełna siedemnaście lat, gdy w nocy 22 stycznia 1863 roku prosto z ławy Instytutu Politechnicznego i Rolniczo-Leśniczego w Nowej Aleksandrii (Puławach) pomaszerował, podobnie jak większość jego szkolnych kolegów, do lasu bić się o Polskę. Początkowo entuzjazm w młodych był tak wielki, że bez wahania szli do ataku z kijami lub kosami w ręku na roty rosyjskich jegrów wyposażonych w nowoczesne sztucery i artylerię. W efekcie ci, którym było dane przeżyć kolejne większe czy mniejsze rzezie urządzane przez Rosjan, albo oddawali swe życie w służbie Bogu, jak przyjaciel Maksa – Adam Chmielowski, późniejszy święty Brat Albert, który w powstaniu stracił nogę – albo stawali się ateistami wyleczonymi z wszelkich szowinistycznych teorii i z obrzydzeniem mówiącymi o polityce. To właśnie przypadek Maksa Gierymskiego.

Wojenne doświadczenia przyszłego wielkiego malarza zostały podsumowane w pamiętniku jego przyjaciela Bolesława Łaszczyńskiego tylko jednym zdaniem, i to niezbyt ja-

snym: „Młody, wątłej konstrukcji fizycznej, błąkał się czas niejaki w Płockiem za oddziałem Oksińskiego [Józefa Oxińskiego], aż strudzony, stargany na zdrowiu powrócił do Warszawy”[1]. Historycy i biografowie starają się z tego przekazu wycisnąć coś więcej na temat „szlaku bojowego” Maksa, ale prócz tego, że prawdopodobnie przez trudne partyzanckie warunki, o głodzie i chłodzie, nabawił się gruźlicy, nic pewnego nie udało się ustalić.

Wojskami powstańczymi w województwie płockim dowodził zdolny organizator i wódz – generał Zygmunt Padlewski, który pod koniec kwietnia 1864 roku postanowił przede wszystkim opanować biegnącą przez Płockie linię kolejową Petersburg – Warszawa, by odciąć w ten sposób dostawy dla armii rosyjskiej. Dzięki temu doszło do serii mniej lub bardziej udanych zasadzek na pociągi z rosyjskim wojskiem. Często te „bitwy o tory” miały bardzo krwawy przebieg, a scenariuszem przypominały podobne napady na pociągi, które zdarzały się podczas toczącej się w tym samym czasie amerykańskiej wojny secesyjnej. Innymi słowy, Płockie zmieniło się w Dziki Zachód. Przykładowo 13 maja 1863 roku pod Kietlanką, niedaleko Czyżewa, Ignacy Mystkowski zorganizował zasadzkę na rosyjski pociąg wojskowy dowodzony przez generała Sergiusza Tolla. Akcja nie udała się, gdyż Rosjan ostrzegł jeden z robotników kolejowych. Toll nakazał zwolnić bieg pociągu, a gdy skład dotarł do miejsca zasadzki, pierwsze kilka wagonów wykoleiło się. Znajdujące się w nich kozackie konie, poranione drzazgami desek z rozbitych wagonów, wpadły między czających się w zaroślach powstańców. W tym zamieszaniu Rosjanie mieli czas na zgrupowanie się przed pociągiem i ruszyli do ataku. W zmasowanym ogniu rotowym zginęło czterdziestu powstańców (wśród nich był Ignacy Mystkowski), a dwudziestu pięciu zostało rannych. Polacy z myśliwych stali się

zwierzyną i ginęli jeden po drugim ścigani aż do Czyżewa. Jednak nie był to koniec krwawych zdarzeń na tym odcinku linii kolejowej. Kilka dni później powstańcy zostali niespodziewanie pomszczeni.

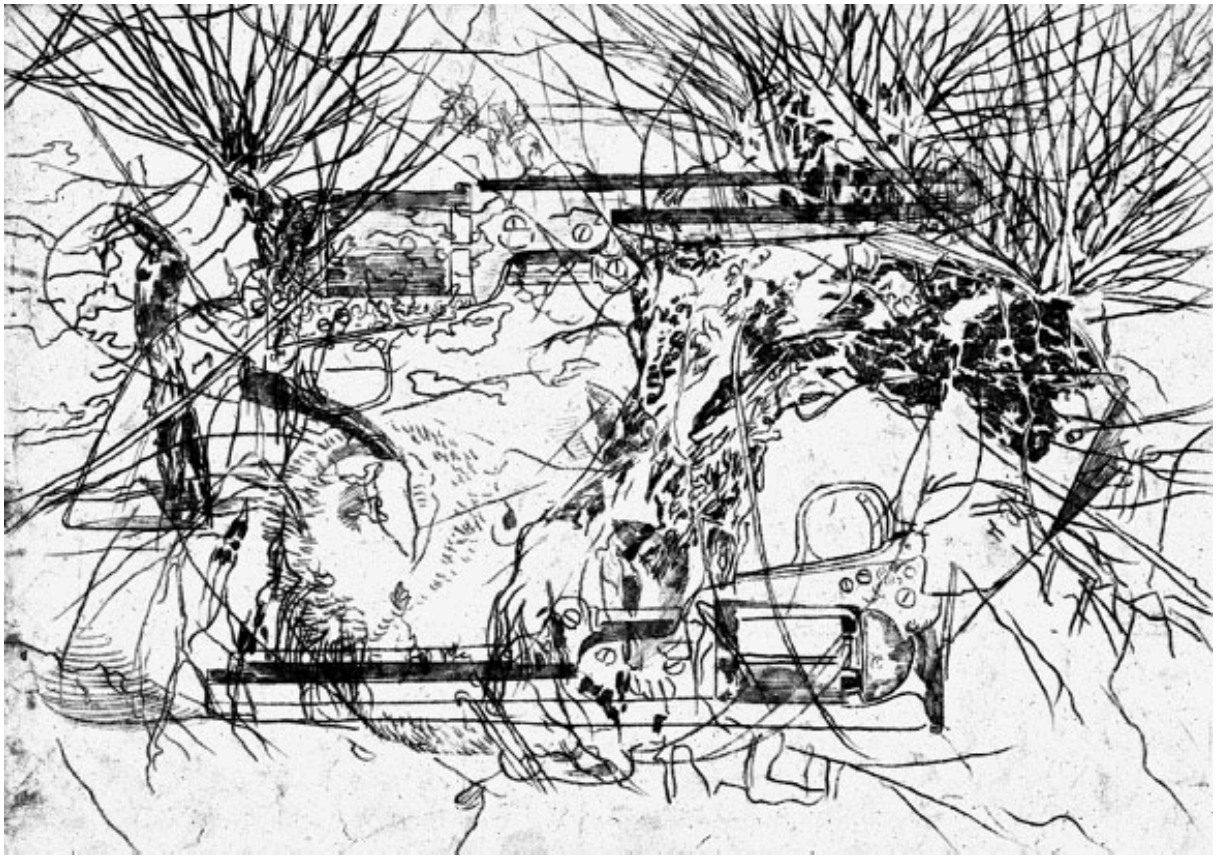

Pierwszego czerwca w niewielkiej odległości od lasku, w którym Rosjanie rozbili oddział Mystkowskiego, na wysokim nasypie kolejowym otoczonym olszyną kolejną zasadzkę urządził jeden z robotników kolejowych. Zamachowiec odkręcił szyny na nasypie, połączył je długą liną, której koniec trzymał ukryty w olszynie, i tak czekał na pociąg z wojskiem. Traf chciał, że w tym dniu miał tędy przejeżdżać transport z liczącymi sześciuset ludzi doborowymi oddziałami gwardii z Petersburga. Lokomotywa z wagonem rekonesansowym, którą dla pewności wysyłano zwykle dziesięć minut przed właściwym pociągiem, przetoczyła się po od-

kręconych szynach bez przeszkód. Po przejechaniu tego składu ukryty robotnik ściągnął linę z nasypu szyny, wskutek czego, gdy nadjechał pociąg z wojskiem, spadł nagle z nasypu, rozpadając się na kawałki – pozostała tylko masa z ciał dumy rosyjskiej armii i rozbitych wagonów. Bezimienny mściciel ludzi Mystkowskiego wycofał się niepostrzeżenie.

To raczej wykluczone, że wątły i chory Gierymski błąkający się za oddziałem powstańczym mógł być podobnym samotnym wilkiem, ale jest zupełnie prawdopodobne, że niejednokrotnie widział efekty takich akcji – krwawe kłębowiska ciał między kolejowym żelastwem, w których nie można było rozpoznać, kto wróg, a kto swój. Udział w wojnie partyzanckiej pozbawił go złudzeń nie tylko politycznych. Dzięki temu był też jednym z pierwszych artystów, którzy przedstawiali sceny batalistyczne bez fałszywego teatralnego patosu, co przyniosło mu sławę w europejskich galeriach i niezrozumienie, a nawet zgorszenie wśród publiczności na wystawach krajowych, gdzie sztuka miała być podporządkowana idei – „idei narodowej”. Już jeden z pierwszych batalistycznych obrazów Gierymskiego wywołał w Warszawie wielki skandal.

Po powrocie „z lasu” w 1864 roku Gierymski rozpoczął studia na wydziale prawnym Szkoły Głównej Warszawskiej, ale szybko je porzucił i w następnym roku uczęszczał już tylko na lekcje malarstwa do Klasy Rysunkowej. Tutaj spotkał też swych przyjaciół z Puław i powstania – jednonogiego Adama Chmielowskiego i pozbawionego przez granat rąk Ludomira Benedyktowicza, który mimo kalectwa nie wyrzekł się artystycznego powołania i malował za pomocą pędzla przytwierdzonego do ocalałego przedramienia. Klasa Rysunkowa jednak szybko rozczarowała zdolnego i pracowitego studenta; dalszej nauki trzeba było szukać za gra-

nicą – w słynnym wśród polskich artystów Monachium, ale skąd wziąć na to pieniądze?

Za sprawą życzliwych młodemu artyście wpływowych osobistości otrzymał on zamówienie na obraz od samego namiestnika Królestwa hrabiego Fiodora Fiodorowicza Berga. Maks, korzystając z rad starszego kolegi i już uznanego batalisty Juliusza Kossaka, namalował dynamiczną scenę *Czerkiesi pędzący do ataku*. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że formacja ta była jedną z najbardziej znienawidzonych w Warszawie. To czerkiesi, jeszcze przed wybuchem powstania, pacyfikowali ulice stolicy czy masakrowali szaszkami i nahajkami patriotyczne manifestacje. Salony i ulica warszawska były zgorszone, że weteran powstańczy tak się zaprzedaje! Jednak Maks, straciwszy zdrowie na polu chwały i zobaczywszy swych okaleczonych kolegów, postawił wszystko na jedną kartę – kartę sztuki. Za honorarium wypłacone przez zadowolonego z dzieła namiestnika wyjechał do Monachium, gdzie szybko stał się jednym z najwybitniejszych przedstawicieli licznej kolonii polskich artystów i zdobył uznanie europejskich miłośników malarstwa. Co istotne, mógł malować także sceny z powstania styczniowego, które do dziś wzbudzają emocje swym autentyzmem.

W tak burzliwej połowie XIX wieku rewolucja nie ominęła także sztuki. Krótko mówiąc, *Kamieniarze* Gustave'a Courbeta rozbili zmurszałe kanony sztuki europejskiej, wpuszczając na salony realizm. Gierymski stał się jednym z wielkich zwolenników tego prądu. Malował w tej manierze nie tylko pejzaże czy małe polskie miasteczka zaludnione przez żydowskich mieszkańców (te szczególnie lubili niemieccy odbiorcy), ale i sceny batalistyczne. Polak stał się jednym z prekursorów realizmu w malarstwie batalistycznym i paradoksem jest, że jego *Pochód ułanów polskich w 1830 r.*,

Pikieta powstańcza w 1863 roku czy *Alarm w obozie powstańczym* na europejskich wystawach wywoływały wielki rezonans, czego nie można powiedzieć o galeriach warszawskich, gdzie niezmiennie królował „teatr wojenny” Januarego Suchodolskiego i jemu podobnych. Zachwycony angielski krytyk tak pisał o *Pochodzie ułanów* w 1870 roku:

> Obraz ten przedstawia oddział kawalerii w marszu. Jeźdźcy jadą po śniegu w szyku niekoniecznie porządnym, postępują w głąb od widza, udając się na naznaczone w odległości stanowisko. Lecz jest jakiś dziwny urok w tej pracy, wskroś artystycznej i zarazem dramatycznej. Ani żołnierze, ani konie nie mają tego szykownego, wymusztrowanego pozoru, który tak przypada do smaku służbistom pułkowym. Na twarzach jeźdźców maluje się ostry i poważny wyraz, zapowiadający bliską walkę[2].

Za angielskim krytykiem można to samo powiedzieć również o pozostałych dwóch wymienionych dziełach Gierymskiego. Nie epatuje on w nich bitewnym okrucieństwem ani tym bardziej nie gloryfikuje wojny, odtwarza za to szamerunek galowych mundurów. W swojskich pejzażach mazowieckich piasków przedstawia ludzi „takich jak my”, na których miejscu za nic nie chcielibyśmy się znaleźć, nawet wobec świadomości, że spełniali oni przecież patriotyczny obowiązek. Kiedy patrzymy na przykład na powstańczą pikietę, rozsądek nam podpowiada, że zamiast błąkać się po ostępach bez szans na zwycięstwo niczym ścigana zwierzyna, której carscy oficerowie często tylko dlatego nie chwytali od razu, by przedłużyć niezbyt trudną kampanię i dzięki temu otrzymać pułkownikowskie lub generalskie szlify (a w Królestwie było o to znacznie łatwiej niż na Kaukazie), lepiej siedzieć w uniwersyteckiej ławie i zdobywać tytuły inżynierskie, prawnicze czy artystyczne. Podejście takie jest zbieżne z przekonaniami pozytywistycznymi, które stały się odtrutką na militarną klęskę powstania. Jednak realizm ba-

talistyczny Gierymskiego miał jeszcze jeden uniwersalny wydźwięk – był wymierzony w militaryzm i szowinizm, które za sprawą dążących do konfrontacji Bismarcka i Napoleona III szerzyły się coraz mocniej w Europie.

Bataliści w myśl państwowych zamówień mieli swymi dziełami wzbudzać w sercach rodaków ochotę do wojaczki i przekonywać, że ich armia jest ze wszystkich najświetniejsza. Taki malarz musiał perfekcyjnie znać nie tylko historię wojskowości, lecz także umundurowanie, wyposażenie i uzbrojenie poszczególnych formacji. W efekcie powstawały olbrzymie płótna, na których wojskowi w nienagannie odprasowanych mundurach zapiętych na ostatni guzik dokonywali bohaterskich czynów w kłębach armatnich dymów. Otaczające ich pejzaże były często – niczym zasłony teatralnej kurtyny – dodatkiem do przedstawienia. Słowem, malarstwo to miało wiele wspólnego z dzisiejszymi, także bardzo popularnymi, rekonstrukcjami historycznymi, których organizatorzy całymi godzinami potrafią spierać się o najdrobniejsze elementy wojskowego wyposażenia. I nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby nie stała za tym agresywna polityka. Gierymski dobrze to rozumiał.

Po francuskiej klęsce pod Sedanem 1 września 1870 roku artysta w drodze powrotnej z kraju do Monachium zauważył niepokojącą przemianę „dobrodusznych” Bawarczyków. Pisał w liście do rodziny:

> Po drodze w miastach spotykaliśmy wielu […] Francuzów, niewolników. […] Zapał w Niemczech wojenny nie do opisania. Bawarzy są zupełnymi Prusakami […]. Nieznośnie jest słuchać, jak językami pastwią się nad zwyciężonymi – wymyślają, wyszydzają ich i nienawidzą. Urągać się zwyciężonemu jest to ostatnia podłość[3].

List ten skończył zapewnieniem: „Ale dość już… nigdy nie obchodziła mnie zbyt wiele polityka, a teraz tym mniej jesz-

cze…”. On politykę zostawił za sobą w puławskich lasach w 1863 roku, lecz z demonami wojny walczył do końca swego zbyt krótkiego życia. Podobnie jak jego wielki poprzednik, Francisco Goya, demaskował je na papierze i płótnie. Za życia i jeszcze wiele lat po śmierci w ojczystym kraju, choć chwalony za kunszt malarski (a jeszcze częściej ganiony za jego „marnowanie na bezideowe dzieła”), Gierymski był niedoceniany. W narodzie bez państwa niewielu godziło się na oddzielenie sztuki od ideologii. Ona miała służyć interesom narodowym, choćby za cenę kłamstwa, jak na płótnach przywoływanego już Suchodolskiego, na których piękni i eleganccy polscy szwoleżerowie gwardii cesarza Napoleona sfruwają na koniach z górskich szczytów prosto w paszcze hiszpańskich armat ustawionych w wąwozie Somosierry. Tymczasem u Gierymskiego widzimy wysłaną na rekonesans pikietę powstańczą, która ma rozpoznać, czy będzie można przekroczyć niepostrzeżenie gościniec z jednego zagajnika do drugiego, by zaszyć się na kolejne głodne dni i wyczekiwać okazji do szarpnięcia nieporównanie potężniejszego przeciwnika. Gdyby nie ci niespokojni jeźdźcy na rozjeżdżonej piaszczystej drodze, wypytujący zatrzymanego wędrownego dziada, co słychać w okolicy, byłby to tylko pejzaż monotonnej równiny mazowieckiej w letni dzień ze światłem przesianym przez białawe niebo. Zwyczajny i wcale nie ostatni dzień lata, gdyby nie piekło wojny, w której partyzanci stają się „żołnierzami wyklętymi”, bo najczęściej przeklinają ich rodacy, gnębieni z ich powodu przez ekspedycje pacyfikacyjne wroga.

Maksymilian Gierymski zmarł na gruźlicę 16 września 1874 roku w wieku zaledwie dwudziestu ośmiu lat. Pochowany został na wiejskim cmentarzu w Reichenhall. Na jego pogrzebie zjawili się jedynie brat Aleksander i dwóch przyjaciół – jednym z nich był Adam Chmielowski. Przyszły Brat

Albert do końca nie opuścił swego przyjaciela – ateisty, który demaskował demony.

Rozdział IX

Potęga wizerunku

Wojna stała się tematem zdjęć niemal od początku pojawienia się tego medium. Pierwszy w historii fotoreportaż pochodzi z czasów wojny krymskiej, a rozpoczęta kilka lat później amerykańska wojna secesyjna spowodowała prawdziwy wysyp wojennych fotografii. Jednak pierwsze zdjęcia, które na niebywałą wcześniej skalę poruszyły ludzi do chwycenia za broń, zostały zrobione w jednym z warszawskich atelier.

Po tym, jak Louis Jacques Daguerre w 1839 roku przedstawił Akademii Francuskiej swoją pierwszą trwałą fotografię, wynalazek ten bardzo szybko trafił na ziemie polskie. Już na przełomie 1844 i 1845 roku otwarto w Warszawie Zakład Daguerrotypowy Karola Beyera. Stolicę Kongresówki zawojowała moda na fotografię, ale Karol Beyer nie poprzestał tylko na uwiecznianiu wizerunków warszawskiej socjety czy krajobrazów reprezentacyjnych ulic miasta. Jako jeden z pierwszych fotografów na świecie odkrył on, że zdjęcia mogą być potężnym narzędziem politycznym wywołującym znacznie silniejszy oddźwięk niż słowo pisane czy obrazy i grafiki. Kiedy w maju 1859 roku Włosi chwycili za broń przeciwko austriackiemu panowaniu, w całej Warszawie nie można było znaleźć map z tą częścią Półwyspu Apenińskiego, na której toczyły się walki. Beyer skopiował jakimś cu-

dem zdobytą mapę Włoch w kilkuset egzemplarzach odbitek fotograficznych. Zanim warszawscy księgarze zdążyli sprowadzić mapy, dziennikarze i wojskowi rozkupili cały nakład odbitek w zakładzie fotograficznym Beyera mieszczącym się przy placu Saskim.

To doświadczenie zainspirowało Beyera do działania w czasie patriotycznych demonstracji, które ogarnęły Warszawę po pogrzebie wdowy po generale Józefie Sowińskim w czerwcu 1860 roku. Od tego czasu wszystkie rocznice narodowe gromadziły na ulicach stolicy tysięczne tłumy. Podczas obchodów trzydziestej rocznicy bitwy o Olszynkę Grochowską, 25 lutego 1861 roku, doszło do szamotaniny z carską policją. Nazajutrz po zamieszkach zgłosił się do zakładu Beyera jeden z policmajstrów i kazał się obfotografować z obwiązaną głową jako ofiara rozruchów. Przedsiębiorczy fotograf natychmiast wypuścił na miasto specjalną edycję tego zdjęcia podpisanego dwuwierszem: „Przy wodotrysku dostał Trepow po pysku”. Jak można się domyślić, wizerunek pechowego policmajstra miał w Warszawie większe powodzenie niż portrety imperatora.

Dwa dni później, 27 lutego, wystąpienia demonstrantów przybrały na sile i Rosjanie otworzyli ogień do tłumu na Krakowskim Przedmieściu. Zginęło pięciu demonstrantów, a ich ciała przeniesiono do Hotelu Europejskiego. Tam Karol Beyer (lub – jak podaje część źródeł – jego asystent Marcin Olszyński) wykonał zdjęcia każdej z poległych osób, „z ranami widocznymi tak, by wywoływały grozę”, jak zaordynował sam Bayer. Z pięciu fotografii zamordowanych demonstrantów: Filipa Adamkiewicza, Michała Arcichiewicza, Karola Brendela, Marcelego Karczewskiego i Zdzisława Rutkowskiego złożono specjalne tableau, które stało się z miejsca hitem zakładu fotograficznego. Jak pisał Walery Przyborowski:

> Tysiące, setki tysięcy fotografii [pięciu – P.K.] poległych w najrozmaitszych formatach rozbiegło się po kraju, kupowanych skwapliwie, rozbudzając wszędzie widokiem ran odkrytych, żal, nienawiść i chęć pomsty na barbarzyńcy, który takiej zbrodni się dopuścił. Przyszło do tego, że wiele zakładów naukowych, szkół rządowych zakupywało od Beyera odpowiednią do liczby swych wychowanków ilość tych fotografii z ustępstwem 50%[1].

Niewątpliwie Beyer dzięki temu tableau i fotografiom wykonywanym w czasie kolejnych zamieszek w Warszawie osiągnął wielki rozgłos i sukces finansowy. *Pięciu poległych* uważa się za pierwsze w historii zdjęcie polityczne, które wywołało tak wielki rozgłos i przyczyniło się do rozbudzenia nastrojów powstańczych wśród Polaków. Stało się ono rozpoznawalne także za granicą, i to nie tylko wśród polskich emigrantów, lecz także w gronie francuskich, włoskich czy rosyjskich „postępowców". Sukces Beyera dostrzegły także władze carskie – w listopadzie 1861 roku został aresztowany i uwięziony w twierdzy modlińskiej do kwietnia 1862 roku. Po zwolnieniu niedługo cieszył się wolnością, gdyż w 1863 roku ponownie go aresztowano i osadzono w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Rosjanie oskarżyli Beyera, że swoimi dziełami doprowadził do „powstańczej ruchawki", i zesłali go na Syberię. Do Królestwa powrócił po półtora roku, ale w tym czasie wyrosła mu spora konkurencja i nie zdołał już odbudować świetności swego zakładu.

Po wybuchu powstania w styczniu 1863 roku zakłady fotograficzne w całym kraju zaczęły realizować „zamówienia patriotyczne". Na zdjęciach uwieńczano obywateli wyruszających w pole, w tym dowódców oddziałów, a szczególnie tych najważniejszych – powstańczych dyktatorów: generałów Ludwika Mierosławskiego, Mariana Langiewicza i Romualda Traugutta. Niektóre zakłady tak wyspecjalizowały się w powstańczej tematyce, że wypożyczały od powstań-

ców ich ekwipunek (jak na przykład Zeuschnerowie w Poznaniu).

Wielką popularnością cieszyły się zwłaszcza zdjęcia krakowskiego fotografa Walerego Rzewuskiego. On między innymi uwiecznił powstańczą elitę – żuawów śmierci ze swym charyzmatycznym dowódcą, generałem François de Rochebrune'em. Został też Rzewuski pierwszym polskim reporterem wojennym, który ze swym aparatem fotograficznym dotarł w marcu 1863 roku do obozu generała Mariana Langiewicza w Sosnówce. W oddziale Langiewicza służył brat fotografa, Bolesław. Tak pracę Rzewuskiego w powstańczym obozie zapamiętał jeden z weteranów, Romuald Makowski:

> Kiedy Walery na żądanie nasze gotował się do fotografowania oddziału, powstał alarm skutkiem napadnięcia przez nieprzyjaciela stojącej od strony Miechowa piechoty. Kozacy zemknęli, ale jeden z naszych padł ofiarą kuli. Wówczas śp. Walery widział pierwszy raz lejącą się krew biednego powstańca[2].

Do dziś trwają dyskusje znawców tematu, czy Rzewuski zdołał wykonać jakieś zdjęcia w obozie Langiewicza. Należy jednak docenić, że próbował robić zdjęcia bitewne w czasach, kiedy aparat fotograficzny był bardzo ciężkim i nieporęcznym urządzeniem rzadko jeszcze wynoszonym z atelier.

Moda na patriotyczne fotografie nie skończyła się po upadku powstania, wtedy to aresztowani i skazani na zesłanie fotografowali się często w towarzystwie konwojentów, zanim wyruszyli w długą drogę. Jak twierdził Aleksander Maciesza:

> Fotografie poległych lub rozstrzelanych stały się […] swego rodzaju relikwiami, przy których wspominano zmarłych i szeptano o zmartwychwstaniu Polski […]. W żadnym bodaj kraju fotografia nie odegrała tak wielkiej roli jako krzewicielka uczuć umiłowania Ojczyzny, jak w Polsce[3].

Rozdział X

Wolny jak taczanka na stepie…

W jednej z piosenek T.Love zatytułowanej *Wolny jak taczanka na stepie* Muniek Staszczyk śpiewa o tym wynalazku rewolucji w byłym imperium carów, który obok pociągu pancernego stał się symbolem wojny domowej w Rosji. Pędzące konie zaprzęgnięte do wozów z ustawionymi na nich kulomiotami Maxim w Konarmii Budionnego były nie lada problemem także dla polskich żołnierzy w czasie wojny w 1920 roku. Zostały zresztą szybko i z sukcesem przyjęte na wyposażenie naszej kawalerii. Jednak mało kto wie, że nie był to wynalazek czerwonoarmistów, lecz przywódcy ukraińskich anarchistów – Nestora Machny, który wokół swej rodzinnej wioski Hulajpołe stworzył tak zwane Wolne Terytorium. Ta anarchistyczna republika chłopska dysponowała bitną, a przede wszystkim świetnie zorganizowaną armią, która zadawała klęski zarówno czerwonym, jak i białym wojskom rosyjskim, a także Niemcom, Austriakom i petlurowcom. Jej wódz i organizator przeszedł jednocześnie do historii i legendy jako idol anarchistów, wybitny wojskowy taktyk, wynalazca taczanki i… pijak.

Jeśli chodzi o legendę, Nestor Machno tworzył ją sam już od najmłodszych lat. Nie wiedzieć czemu utrzymywał, że urodził się 28 października 1889 roku, podczas gdy w księgach parafialnych cerkwi w Hulajpolu jako data jego uro-

dzin stoi 26 października 1888 roku. To przekłamanie jest o tyle istotne, że później uratowało mu życie.

Ojciec Machny, Iwan Rodionowicz, zmarł z przepicia, gdy syn miał niespełna rok. Nestor od najmłodszych lat był zmuszony do ciężkiej pracy: najpierw jako parobek, a później niewykwalifikowany robotnik w hucie żelaza. Dodatkowo przez całe życie borykał się z kalectwem – nie miał od urodzenia jednego płuca. W czasie rewolucji 1905 roku wziął udział w strajkach, a jesienią tego roku przystąpił do działającej w Hulajpolu grupy anarchistów. Początkowo nie chciano go przyjąć z powodu jego pijaństwa i nadmiernej gadatliwości. Ale w końcu jego rewolucyjna żarliwość przeważyła nad ułomnościami charakteru i Machno stał się jednym z najskuteczniejszych wykonawców „eksów” (sprawiedliwych ekspropriacji), czyli grabieży bogatych. Za swą działalność był kilkakrotnie aresztowany, a w 1909 roku za zabójstwo naczelnika policji został skazany na śmierć. I tutaj przydało się jego fałszerstwo metryki, gdyż według podanej przez niego daty urodzin brakowało mu do dwudziestego pierwszego roku życia (pełnoletności) kilku miesięcy i ostatecznie karę śmierci zmieniono na dziesięć lat katorgi.

Wybuch rewolucji lutowej w 1917 roku był dla niego szczęśliwym zrządzeniem losu. Opuścił więzienie i wrócił do Hulajpola, gdzie utworzył oddział zbrojny. Na czele swych żołnierzy walczył z okupacyjną armią austro-węgierską, a następnie niemiecką. Z miejsca za swą hojność zyskał wśród okolicznych chłopów wielką popularność, lecz dla wrogów był nieprzejednany i okrutny. Wiosną 1917 roku Machno ożenił się ze swą ukochaną Nastią Wasiecką, która czekała na niego, gdy siedział w więzieniu. Jego miłość do Nastii była tak wielka, że jego współpracownicy i przyjacie-

le zaczęli się obawiać, czy nie porzuci dla niej pracy rewolucyjnej. W końcu zmusili jego młodą żonę do potajemnego wyjazdu z Hulajpola. Batko, jak nazywali go jego towarzysze, bardzo przeżył zniknięcie ukochanej i zaczął swoim zwyczajem pić na umór. Jednak po pewnym czasie rzucił się ponownie w wir polityki i wojny. Gdy w 1918 roku w wyniku układu brzeskiego Ukraińska Republika Ludowa znalazła się pod okupacją niemiecką, Machno rzucił się wraz z anarchistycznymi partyzantami do walki z Niemcami. W czerwcu wyjechał do Moskwy, gdzie spotkał się z „bogiem anarchistów", księciem Piotrem Kropotkinem, a następnie został przyjęty na audiencji przez Włodzimierza Lenina. Machno wspominał, że Lenin podczas tej wizyty wziął go po ojcowsku za rękę i posadził w fotelu, ale – jak się później okaże – nie oczarował do końca wodza Czarnej Gwardii.

W lipcu 1918 roku Machno wrócił do Hulajpola i ponownie stanął na czele antyniemieckiej partyzantki, która krążyła od Dniepru po Morze Azowskie. We wrześniu rozbił Austriaków w bitwie o wieś Dibriwki, a następnie rozgromił oddziały atamana Petlury w rejonie Dniepropietrowska. Wojsko Batki, zwane oficjalnie Rewolucyjną Powstańczą Armią Ukrainy (machnowców) – lub od swych anarchistycznych czarnych sztandarów Czarną Gwardią, z niewielkiego oddziału walczącego z Austriakami i Niemcami rozrosło się do wielotysięcznej armii. Machno pokonywał po kolei wszystkich wrogów i podporządkował sobie ogromne terytorium na południu Ukrainy i Rosji. W samym Hulajpolu powstały autonomiczne komuny rolnicze, które produkowały duże ilości pożywienia, wywożonego następnie do wielkich miast (najbardziej znana była komuna imienia Róży Luksemburg). Machno ściągnął do Hulajpola czołowych anarchistów, zaczął wydawać gazetę „Put k Swobodie" (Droga do wolności) i powołał Komisję Kulturalno-Oświatową. Planował także

otwarcie szkół wzorowanych na Escuela Moderna (Nowoczesna Szkoła) Francisca Ferrera. Machno nienawidził ziemiaństwa i fabrykantów, ale nie darzył też sympatią bolszewików. Jego hasła: „Precz z komisarzami!”, „Precz z Czeką – nową carską ochraną!” wzbudzały entuzjazm wśród wyzwolonych chłopów. W czasie działań zbrojnych kazał rozstrzeliwać bez pardonu zarówno białych, jak i czerwonych. Jednocześnie w jego sztabie rozdawano chłopom pieniądze bez żadnych pokwitowań, a Batko, mając w pamięci swoje trudne dzieciństwo, osobiście dbał o to, by w sierocińcach na terenie przez niego kontrolowanym nie brakowało jedzenia. Do tej mozaiki okrucieństwa i hojności dochodził jeszcze jeden element – alkohol. Machnowcy „bili i pili”, a przykładem świecił im ich wódz. Trzecia żona Machny (drugą była krótko w 1917 roku radiotelegrafistka Tina) Galina Kuźmienko zanotowała w dzienniku: „Batko i dzisiaj się upił. Włóczył się pijany po ulicy z harmoszką i tańczył… Co drugie słowo przeklinał. Jak się zmęczył, zasnął”. Znamienne jest to, że w armii Machny można było nie wykonać rozkazu wydanego pod wpływem alkoholu…

A jednak ten hulaka dzięki swemu niezwykłemu talentowi wojskowemu bił raz za razem armie białych, na czele których stali wykształceni w akademiach wojskowych generałowie, oraz Armię Czerwoną, w której także nie brakowało specjalistów od taktyki. Wyposażył swych żołnierzy w chłopskie furmanki, na których rozkazał ustawić karabiny maszynowe, dzięki czemu tak istotna na ukraińskich stepach mobilność połączona została z siłą ognia.

Nestor Machno nie prowadził żadnych pertraktacji z białymi. Ich parlamentariuszy rozstrzeliwał bez wyjątku. Inaczej miała się sprawa z bolszewikami. Trzykrotnie zawarł z nimi sojusz taktyczny: na przełomie 1918 i 1919 roku przeciwko Białej Gwardii generała Piotra Krasnowa, następnie jesienią

1919 roku przeciwko Antonowi Denikinowi, a pod koniec 1920 roku przeciwko Piotrowi Wranglowi. Wiosną 1919 roku machnowcy odparli wojska Denikina do Morza Azowskiego i na dowód zwycięstwa wysłali do Moskwy i Petersburga sto wagonów ze zbożem, które odebrali białym. Wtedy czerwoni dowódcy zaproponowali Machnie, aby jego Czarna Gwardia stała się częścią Armii Czerwonej. Sam Batko został odznaczony za bitwę pod Mariupolem Orderem Czerwonego Sztandaru i mianowany dowódcą brygady. Jesienią 1919 roku machnowcy uratowali bolszewików od totalnej klęski z rąk Denikina. Biali zdobyli wtedy Orzeł i zagrozili Moskwie. Jednak na tyłach Denikina Czarna Gwardia wycinała w pień jego najlepsze oficerskie pułki i przez to wyhamowała jego ofensywę. Z kolei w październiku 1920 roku bolszewicy poprosili Machnę o pomoc w walce z armią Wrangla. Na początku listopada machnowcy zdobyli Sewastopol i była to ostatnia wspólna akcja czarnych z czerwonymi. Bolszewicy postanowili definitywnie rozprawić się ze swym niewygodnym i coraz bardziej niebezpiecznym sojusznikiem.

25 listopada 1920 roku podczas sojuszniczej uroczystości bolszewików i machnowców na Krymie sztab anarchistów został zdradziecko pojmany i rozstrzelany. Następnego dnia Armia Czerwona otoczyła Hulajpołe, w którym Nestor Machno przebywał jedynie z dwustoma uzbrojonymi ludźmi. Z tymi siłami Machno zdołał wyrwać się z okrążenia. Ścigany przez bolszewików, przebił się do Galicji, doszedł do Kijowa, pomaszerował na Połtawę i Charków, a następnie ruszył na północ, w okolice Kurska. Osaczony tam przez przeważające siły czerwonych, 28 sierpnia 1921 roku przeszedł Dniestr i znalazł się na terytorium Rumunii.

Po przekroczeniu granicy rumuńskiej przy rannym w nogę Machnie pozostało siedemdziesięciu siedmiu ludzi. Władze

rumuńskie internowały machnowców, a bolszewicy zaczęli od razu żądać ich wydania. Rumuni nie bardzo wiedzieli, co z nimi zrobić, i zwlekali z decyzją. W końcu większość żołnierzy ostatniego oddziału Batki oddała się w ręce bolszewików. Natomiast Machnie z żoną Galiną Kuźmienko i kilkoma najbliższymi współpracownikami Rumuni pozwolili wyjechać do Polski.

Małżeństwo zamieszkało w Toruniu, ale i tutaj nie zmieniło swojego trybu życia. Batką interesowały się przeróżne siły polityczne i oczywiście wywiad. Galina w imieniu męża próbowała prowadzić pertraktacje z sowieckim przedstawicielstwem dyplomatycznym w Warszawie w sprawie wywołania w Galicji antypolskiego powstania chłopskiego. Jednak polski kontrwywiad wpadł na trop tych negocjacji, w wyniku czego w 1922 roku Machno wraz z żoną zostali aresztowani. Jeszcze w tym samym roku Galina urodziła w więzieniu córkę Jelenę. Przed sądem nie udało się udowodnić Machnie winy i małżeństwo wypuszczono na wolność.

Na przełomie 1923 i 1924 roku Machno wyjechał z rodziną do Paryża. Tutaj początkowo klepali biedę. Machno jeszcze w czasie wojny domowej na terenach przez siebie kontrolowanych zakopał kilka skrzyń ze zrabowaną białym biżuterią i złotem „na czarną godzinę i dla sprawy”, ale Sowieci zdołali aresztować wszystkich jego emisariuszy, którzy przedzierali się z zagranicy z zadaniem przewiezienia skarbów do Francji. Skrzynie bez wyjątku zostały zarekwirowane. Batko musiał więc wrócić do pracy fizycznej i zarabiał na życie między innymi jako stolarz w studiu filmowym. Nie porzucił też pracy w ruchu anarchistycznym – działał w jego Czarnej Międzynarodówce i pisał artykuły do prasy anarchistycznej. Do końca, mimo prób zdyskredytowania go przez sowieckie służby bezpieczeństwa, był otoczony wianuszkiem oddanych zwolenników. Głośna była między innymi

sprawa opublikowania w 1926 roku opowiadania Joshepa Kessela *Machno i jego Żydówka*. Autor, bazując na pamflecie bolszewickiego agenta Nikołaja Gierasimowa, przedstawiał przywódcę ukraińskich anarchistów jako antysemickiego psychopatę, który zmusił młodą Żydówkę do wzięcia z nim ślubu w cerkwi. Machno w odpowiedzi na oszczerczy tekst Kessela spotkał się z nim w klubie przy Rue du Faubourg Saint-Honoré w Paryżu i publicznie obalił jego kłamstwa.

Nestor Machno zmarł 6 lipca 1934 roku i został pochowany na cmentarzu Père-Lachaise w Paryżu. Żona Machny, Galina, po wkroczeniu Niemców do Francji w 1940 roku została wywieziona do Niemiec. I tutaj pod koniec wojny wpadła w ręce Smierszu. Udało jej się przeżyć więzienie i do swej śmierci w 1978 roku mieszkała w Dżambule w Związku Radzieckim. W 1976 roku pozwolono jej odwiedzić Hulajpołe.

Ironiczny refren cytowanej na początku piosenki T.Love brzmi:

> Każdy z żołnierzem podzieli się chlebem.
> Starszyzna wioski zajmie się pogrzebem.

W wypadku machnowców tak w istocie było. Chłopi ukraińscy kochali swego Batkę, jak ci meksykańscy Emiliano Zapatę. I nie można przy tym zapominać, że machnowcy byli potomkami Kozaków zaporoskich, w których Nestor Machno dosłownie przebudził „siczowe geny”.

Rozdział XI

Osobliwy przyjaciel Żeromskiego

Autor *Przedwiośnia* i *Ludzi bezdomnych* portretował własne pokolenie targane wielkimi ideami przełomu XIX i XX wieku oraz walczące o niepodległą Polskę. Pośród ludzi, którzy posłużyli mu za wzorce literackie, znalazł się jego bliski przyjaciel Jan Wacław Machajski. Za życia obwołano go heretykiem socjalizmu, ale to on dokładnie przewidział, czym zakończy się rewolucja bolszewicka.

Czemu więc historia o nim milczy? Czemu nie analizuje się jego myśli? Najprościej jest odpowiedzieć parafrazą ewangelicznego zdania, że nigdy nie jest się prorokiem we własnym kraju. Ale w wypadku Jana Wacława Machajskiego problem jest głębszy, gdyż należał on do tej kategorii ludzi, którzy nie bali się kalać swojego gniazda, ośmielili się wystąpić przeciw własnemu środowisku i wytykać błędy bliskim przyjaciołom. Dzięki temu Machajski zdobył miano „antyinteligenckiego inteligenta”. Nie można w Polsce wymyślić cięższej obelgi. Stefan Żeromski był jednym z nielicznych, którzy się Machajskiego nie wyrzekli, i pomimo coraz głębszych różnic i sporów mógł on zawsze liczyć na jego pomoc. Żeromski nigdy nie zapomniał, że to właśnie z Machajskim wszedł w dorosłe życie, że obaj, nie zważając na głód i chłód, rozprawiali o wielkich ideach i przyszłej Polsce, wreszcie – że był on protoplastą kilku jego bohate-

rów literackich. Janek ze *Źródła*, Karol Radek z *Syzyfowych prac* czy Zagozda z *Róży* byli stworzeni na podobieństwo jego przyjaciela ze szkolnej ławy. Żeromski pisał o nim w jednym z artykułów:

> Jana Wacława Machajskiego znam niemal od dzieciństwa. Przez całe lata szkolne siedziałem z nim na jednej ławce, później w ciągu wielu lat mieszkałem z nim w jednej izbie studenckiej. Łączyła nas zawsze najściślejsza przyjaźń. Był to w szkołach złoty uczeń, prymus medalista, niezwykła i wszechstronna zdolność, umysł lotny i badawczy, a nadto dusza czysta, ofiarna, prawa, charakter niezłomny i żelazna wola. Już w dzieciństwie i młodości cechował go nieokiełznany fanatyzm. Początkowo było to wielkie uwielbienie dla poezji Słowackiego, dla sztuki, później fanatyzm materialistyczny, patriotyczny, społeczny…[1]

Przytoczona charakterystyka pasuje do wielu przedstawicieli młodego pokolenia przełomu XIX i XX wieku. Równie dobrze mógłby on dotyczyć młodego Józefa Piłsudskiego (fanatyka Słowackiego) czy młodego Feliksa Dzierżyńskiego (fanatyka Mickiewicza) – dalekich kuzynów, których drogi życiowe podążyły w przeciwnych kierunkach. Machajski nie był pod tym względem wyjątkiem. Także jego pochodzenie było typowe dla wielu antenatów ówczesnej inteligencji. Urodził się prawdopodobnie 27 grudnia 1866 lub 1867 roku jako syn Konstantego Machajskiego i Karoliny z domu Gotlańskiej mieszkających w Busku. Ojciec, jeden z wielu zdeklasowanych po powstaniu styczniowym szlachciców, dzierżył posadę urzędnika najpierw w Busku, a następnie w Pińczowie, gdzie niedługo po narodzinach Jana Wacława przeniosła się cała rodzina. W domu się nie przelewało i chłopak od pierwszych lat edukacji, podobnie zresztą jak jego towarzysz ze szkolnej ławy – Stefan Żeromski, musiał dorabiać korepetycjami. Jednak w przeciwieństwie do niego zdał z wyróżnieniem maturę i dostał się na wymarzoną uczelnię.

W 1886 roku rozpoczął studia przyrodnicze na Uniwersytecie Warszawskim, a po dwóch latach przeniósł się na medycynę. Niestety, w 1891 roku zmuszony był przerwać studia z braku funduszy. To traumatyczne doświadczenie odcisnęło wyraźne piętno na jego późniejszych poglądach na temat powszechnego dostępu do edukacji.

Okres studiów w Warszawie nie rozdzielił przyjaciół z gimnazjalnej ławy. Wręcz przeciwnie. Żeromski brak matury obszedł, podjąwszy naukę w półwyższym Instytucie Wetery-

narii w Warszawie, i zamieszkał na stancji razem z Machajskim, gdzie obaj dzielili się swymi skromnymi zapasami jedzenia i tytoniu. Obaj też, jak na ideowych społeczników przystało, udzielali darmowych korepetycji w biednych robotniczych dzielnicach Warszawy. Oskarżany później o antypaństwowość i zaliczany w poczet anarchistów Machajski uczył wówczas robotników historii i geografii Polski. Żeromski wspomina:

> Gdy jako student podjął się wykładu historii porozbiorowej dla robotników, czynił to w sposób niebywały; przynosił na wykłady plany bitew pod Grochowem lub Iganiami złożone z pojedynczych tablic, rysowanych nocami, z których układał wyborne obrazy tych zdarzeń wojennych wielkości ściany tej izby, gdzie wykład się odbywał. Jeżeli wykładał geografię w stowarzyszeniu szwaczek, to również wykonywał własnymi sposoby mapy i wszelkie pomoce naukowe, znakomicie zastosowane do poziomu uczennic[2].

Wtedy też Machajski ku radości Żeromskiego uznał się za socjalistę-patriotę i wstąpił do Związku Młodzieży Polskiej „Zet". Na listach tej organizacji figurował jako brat obok Romana Dmowskiego, o czym przyszły przywódca endecji będzie pamiętał i da temu kilka lat później wyraz.

W feralnym dla dalszej kariery naukowej Machajskiego 1891 roku znikł on nagle z Warszawy. Oprócz kłopotów materialnych związane musiało to być również z coraz większym zainteresowaniem carskiej policji jego osobą. Kiedy policjanci przeprowadzali rewizję jego pokoju i znaleźli notatki świadczące o przygotowaniach byłego studenta medycyny do napisania książki o wojnie polsko-rosyjskiej w 1831 roku, Machajski był już w Galicji. W Krakowie włączył się w prace tamtejszego Zetu, ale tym razem nie miał szczęścia i wpadł w ręce austriackiej policji. Został aresztowany 2 kwietnia 1891 roku podczas próby przejścia do Królestwa z nielegalną bibułą pod paltem. 19 lipca skazano go

na osiem dni aresztu i wydalono z Austro-Węgier. Machajski wyjechał do Szwajcarii i w Zurychu starał się podjąć przerwane studia na tamtejszym uniwersytecie, jednocześnie utrzymując się z pracy malarza pokojowego. Na uniwersytecie wstąpił do kółka studenckiego powiązanego z II Proletariatem. Pod wpływem lektury Marksa i dyskusji na temat jego dzieł Machajski szybko porzucił swe patriotyczne poglądy i stał się internacjonalistą. W styczniu 1892 roku do Zurychu przyjechał Żeromski i z przykrością pisał o przemianie przyjaciela: „Rzadko się widujemy, a widząc się, mało mamy sobie do powiedzenia. Łudziłem się, że to umysł i serce, a to jeden z wielu postępowców wyśmiewających dziś to, za co wczoraj gardło dawał. Śmiech bierze patrzeć na to wszystko". A jednak nić przyjaźni nie zostaje zerwana: „Czasem razem pijemy piwo i palimy jedne cygara, uczestniczymy w jednej rozmowie koleżeńskiej. Jest to szlachetny chłopiec, dobry doktryner, ale ani podobny do dawnego Wacka".

W Zurychu świeży marksista Machajski był w swoim żywiole. Podkreślał, że otrząsnął się z „narodowego prowincjonalizmu", ale na wieść o robotniczych strajkach i krwawych rozruchach w Łodzi i Żyrardowie od razu postanowił wrócić do kraju, by być bliżej wyczekiwanej rewolucji. Niedoszły rewolucjonista objuczony tym razem bibułą firmowaną przez II Proletariat 3 czerwca 1892 roku w drodze do Łodzi wpadł w ręce carskich żandarmów. Stawiał opór i nie chciał wyjawić swego nazwiska. Z tej szamotaniny z żandarmami narodziła się legenda, że Machajski zabił jednego z nich. Jego nazwisko zdradziła w końcu Rosjanom kobieta, u której wcześniej wynajmował mieszkanie. Cała ta awantura skończyła się aresztem i sądem. Ironia losu spowodowała, że sądzony był razem z byłymi towarzyszami z Zetu i Ligi Polskiej, aresztowanymi wcześniej za publiczne świę-

towanie w 1891 roku 3 Maja. W grudniu 1892 roku Machajskiego skazano na trzy lata więzienia i pięć lat zesłania do Wilujska w Jakucji. Tam właśnie, na antypodach carskiego imperium, Machajski przemienił się w politycznego outsidera krytykującego zarówno socjaldemokrację, jak i marksizm. Jego poglądy wyrażane w dyskusjach i broszurach rezonowały w środowisku tamtejszych zesłańców. Jednym z nich był Lew Trocki, który w *Moim życiu* wspominał, jak zaskoczyły go tezy Machajskiego prowadzące do „niespodziewanego wniosku, że socjalizm jest ustrojem społecznym, opartym na eksploatacji robotników przez inteligencję". Przyszły twórca Armii Czerwonej w 1902 roku uciekł z Syberii i po dotarciu do Londynu pierwszy raz spotkał się z Leninem. Już wtedy nie omieszkał wspomnieć mu o niebezpiecznym heretyku, który głosił, że socjaliści niewiele różnią się od swych kapitalistycznych przeciwników i po zdobyciu przez nich władzy robotnicy nadal będą klasą uciśnioną.

W 1900 roku Machajski wydał w niewielkim nakładzie źle wydrukowaną broszurę zatytułowaną *Naukowy socjalizm*, w której powtórzył swą tezę o rozbieżności interesów robotników i inteligencji. W tymże też roku wypełnił się czas jego zesłania, ale powrót do zachodnich guberni nie był wcale łatwą sprawą. Po wielu perypetiach, między innymi po omyłkowym aresztowaniu, trafił w 1901 roku do Irkucka, gdzie wraz z grupą zwolenników założył swą pierwszą organizację o nazwie Zmowa Robotnicza i uruchomił drukarnię. Niedługo musiał czekać na reakcję władzy, gdyż w maju 1903 roku został znowu aresztowany i na sześć lat zesłany do Sriedniekołymska. Na szczęście w czerwcu udało mu się uciec przez okno z więzienia w Aleksandrowsku i przy pomocy przyjaciół wyjechał za granicę. Machajski znowu znalazł się w Szwajcarii, ale biedę klepał tym razem w Genewie

i nie sam, gdyż jego życiową partnerką została jedna z członkiń Zmowy Robotniczej – Róża Lewin posługująca się pseudonimem Wiera. Brak pieniędzy zmusił Machajskiego w maju 1904 roku do napisania listu z prośbą o pomoc do starego przyjaciela Żeromskiego, który wyrastał już na literacką gwiazdę. Pisarz, mimo trzynastoletniej przerwy w kontaktach, nie zawiódł – przysłał Machajskiemu 500 franków i zaczął regularnie wspierać go finansowo.

W 1905 roku w Rosji wybuchła rewolucja, a jednocześnie ogłoszona została amnestia dla więźniów politycznych. Machajski powtórzył scenariusz sprzed kilku lat i wrócił do ogarniętego rewolucyjnym wrzeniem kraju. Tym razem jednak nie został aresztowany i zamieszkał z żoną w Petersburgu. Szybko zebrał wokół siebie starych i nowych zwolenników oraz reaktywował Zmowę Robotniczą. Zobaczył też wreszcie szansę wcielenia w życie swej najważniejszej idei, od której jego organizacja przyjęła nazwę. Idea zmowy robotniczej to nic innego jak permanentna akcja strajkowa, która miała zmusić kapitalistów i ich rządy do przyjęcia robotniczych postulatów. Miało się to odbyć bez udziału jakiejkolwiek „inteligenckiej partii", która zdaniem Machajskiego po zdobyciu władzy szybko weszłaby na pozycję starej władzy. W jego myśleniu tkwiła jednak zasadnicza słabość, bo nie przyjmując do organizacji ludzi wykształconych, skazywał ją na marginalizację. Jak celnie zauważył Zygmunt Zaremba:

> Machajski z góry wykluczał z udziału w swej Zmowie inteligentów, zawsze podejrzanych o szkodliwe tendencje, pogardzał „przyuczonymi" robotnikami, a wśród bezrobotnych i wykolejeńców było zupełną utopią szukać ludzi rozumiejących sprawy publiczne, umiejących propagować określone idee, nawet mogących chociażby oddawać się bezinteresownie jakiejkolwiek pracy politycznej[3].

Co gorsza, nielicznych członków Zmowy zaczęła szybko wyłapywać ochrana i Machajski znowu musiał uciekać za granicę. Przez Finlandię i Niemcy dostał się do Galicji i zatrzymał się w Krakowie. Zrządzeniem losu znowu powtarzał swą starą konspiracyjną trasę. Na krótko wyjechał nawet do Zurychu, gdzie poznał Maksa Nachta (znanego później jako Max Nomad), który został jego prawą ręką w organizowaniu Zmowy Robotniczej w Galicji i Królestwie.

Po powrocie do Galicji Machajski, pod zmienionym nazwiskiem Jan Kiżło, wraz z Różą Lewin osiedli w podkrakowskich Grzegórzkach. Musiał uważać na policję, gdyż nadal obowiązywał go zakaz osiedlania się w krajach CK Monarchii. Kaptowaniem nowych członków do Zmowy Robotniczej zajął się Max Nacht i udało mu się przyciągnąć kilku działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego. Natomiast całkowitym fiaskiem okazała się podobna próba w Królestwie. Tutaj nazwę Zmowa Robotnicza przejęli byli członkowie Organizacji Bojowej PPS, którzy tak zasmakowali w akcjach terrorystycznych, że zorganizowali własną grupę parającą się zwykłym rabunkiem. Szybko zostali rozbici i skazani w większości na śmierć, ale ich działalność powiązano z nazwiskiem Machajskiego. Co gorsza, podobna grupa zaczęła działać również w Krakowie. Jak podkreśla Stanisław Pigoń, ludzie ci „własne chęci skombinowali z niektórymi frazesami machajowców i utworzyli własną «filozofię», nietzscheańskiego, pogardzającego pokorną masą: *vivere pericolosamente*, na dziesięć lat przed Mussolinim”[4]. To wszystko spowodowało, że atmosfera wokół Machajskiego zaczęła się w Krakowie niebezpiecznie zagęszczać i ostatecznie postanowił on wraz z żoną przenieść się do Zakopanego. Wybór nie był przypadkowy, gdyż w tym słynnym już górskim kurorcie ustosunkowaną personą był Stefan Że-

romski. Machajski liczył, że przyjaciel załatwi dla niego i żony spokojną przystań i pracę. I kolejny raz się nie zawiódł. Żeromski polecił Jana Kiżłę i jego żonę państwu Dłuskim, administratorom uzdrowiska w Dolinie Kościeliskiej.

Kiedy wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze, w Zakopanem doszło do napadu na bankiera, a do doktora Kazimierza Dłuskiego w tym czasie przyszedł z Paryża list, który go przeraził. Nadawcą był mieszkający w stolicy Francji kolega po piórze Żeromskiego, Wacław Sieroszewski. Doniósł on Dłuskiemu, że pod nazwiskiem Kiżło ukrywa się zawodowy rewolucjonista i przywódca „organizacji bandyckich" Machajski, który najpewniej planuje napad na sanatorium. Machajski został natychmiast aresztowany przez policję 11 stycznia 1911 roku. Jednak rewizja jego mieszkania przy ulicy Kasprusie 52 niczego nie wykazała. Róża Lewin natychmiast napisała do Żeromskiego. Ten w liście do Dłuskich przekonywał ich, że to jakieś nieporozumienie i ręczy za przyjaciela, który nie byłby zdolny do żadnego rabunku, a Sieroszewskiemu zarzucił jednocześnie konfabulację. W efekcie tej interwencji zarzuty o planowanie napadu oddalono, ale władze austriackie przypomniały sobie o wyroku sprzed lat, który ciążył na Machajskim, oraz o pogłoskach, jakoby zamordował on rosyjskiego żandarma. To groziło wydaniem aresztanta władzom carskim. Paradoksalnie środowisko inteligenckie, z którym Machajski walczył przez całe życie, w tym momencie zjednoczyło się w jego obronie. Prasa galicyjska i królewiecka przedrukowywała petycje w sprawie Machajskiego pióra Żeromskiego i Stanisława Trusiewicza. W „Gazecie Warszawskiej" ukazał się apel Romana Dmowskiego, w którym podkreślał, że jego dawny „zetowski brat" to raczej literat niż rewolucjonista, marzyciel i człowiek bez poczucia rzeczywistości. Wreszcie głos

zabrał skruszony Sieroszewski, który podkreślał, że wysyłając list, nie wziął pod uwagę „wrażliwości Dłuskiego”.

Dzięki tej akcji Machajski został przez Sąd Odwoławczy w Nowym Sączu skazany jedynie na dwa tygodnie aresztu za niedozwolony pobyt i zameldowanie pod fałszywym nazwiskiem. Jednocześnie nie pozwolono Machajskiemu i jego żonie na dalsze mieszkanie w Zakopanem. Małżonkowie na koszt Dłuskiego, który w ten sposób chciał zrekompensować nieprzyjemności, jakie z jego powodu ich spotkały, wyjechali do Paryża. Znowu wiązało się to z ich dobroczyńcą Żeromskim, który tam wówczas mieszkał. Machajski w 1912 roku został bibliotekarzem w Bibliotece Polskiej i tłumaczył na rosyjski dzieła swego przyjaciela, między innymi *Popioły*. Po pięciu latach niemalże pustelniczego życia pod dachami Paryża w Machajskim znowu odezwał się zew buntownika. Na wieść o rewolucji lutowej wyjechał w 1917 roku do Rosji. Swoją decyzję miał skwitować krótko: „To nie moja jeszcze rewolucja, ale rewolucja, więc jadę do niej”[5]. Dzięki temu stał się naocznym świadkiem upadku carskiego imperium i narodzin pierwszego proletariackiego państwa, w którym ziściły się jego proroctwa co do charakteru bolszewickiej dyktatury proletariatu. Gorzka to była satysfakcja, gdyż w Kraju Rad był całkowicie izolowany, a na jego nazwisko bolszewicy reagowali alergicznie. Jan Wacław Machajski zmarł w osamotnieniu 19 lutego 1926 roku w Moskwie. Stefan Żeromski w 1920 roku pisał we wspomnieniach *Wybieg instynktu*:

> Jan Wacław nie przypuszczał, że wypadnie mu zagrać wielką rolę na scenie sto razy większej, niż ją zakreślała młodzieńcza wyobraźnia, na olbrzymiej arenie Sybiru, Rosji, Francji – że to on, […] stanie się społecznym herezjarchą. […] Osiemnastoletnie serce ani wiedziało wówczas, ile ta rola kosztować będzie, gdzie poniesie i pogoni ciało człowiecze, na jakie skaże je *vincula, vulnera,*

exilium, jak je z granic ojczyzny wypędzi i nękać będzie, zaiste, gorzej niż sama krótka śmierć[6].

Rozdział XII

W polu, czyli w błocie i we krwi

Moja wojna jest taka, jaka jest rzeczywiście.
Stanisław Rembek[1]

We mnie, w świecie – grób: dwa słowa!
Umiem trzecie…
Grabarzowa
Dłoń żelazem je dokończy.
Cyprian Kamil Norwid[2]

Stanisław Rembek w wojnie polsko-bolszewickiej był kanonierem w pierwszej baterii 10 Pułku Kaniowskiego Artylerii Polowej. Walczył nad Dźwiną, pod Warszawą i Zamościem. Na kanwie swych przeżyć stworzył dzieło do dziś niedoścignione – powieść *W polu*.

Wejdźmy w sam środek opisywanej przez Stanisława Rembeka bitwy:

> Nagle wśród tej obustronnej wrzawy buchnął karabinowy wystrzał. Paprosiński obejrzał się instynktownie i zobaczył Piesika. Klęczał on na lewym kolanie ze swym zwykłym uśmiechem roztargnienia na twarzy i palił raz po raz.
>
> Dwóch biegnących bolszewików wywróciło się jeden po drugim, jakby się potknęli niespodzianie. Reszta skłębiła się niby dym ogniska, kiedy wiatr w nie dmuchnie.
>
> – Stój! Stój!… waszu mać! – wrzasnął dobiegający właśnie do pierwszego szeregu komisarz czy oficer.

Natknąwszy się na odwracającego się właśnie krasnoarmiejca, strzelił mu niespodzianie prosto w twarz. Żołnierz wrzasnął nieludzko i chwyciwszy się oburącz za głowę, potoczył mu się pod nogi niby spadający z wysoka tobół.

Paprosińskiemu na ten widok zęby ścierpły z nienawiści. Nie wiedząc nawet kiedy, wypalił ze swego parabellum, aż mu rękę szarpnęło.

Czerwony oficer obejrzał się w jego stronę. Miał silnie opaloną twarz o niezwykle regularnych i drobnych rysach, wielkie błyszczące oczy i olśniewająco białe zęby. Paprosiński przypomniał sobie natychmiast ten pełen wdzięku skurcz warg tak pożądanych przez kobiety, nerwowych i zarazem jak gdyby zmęczonych. Poznał Horbaczewskiego.

Ten poznał go również i roześmiał się jednym z najczarowniejszych swoich uśmiechów.

– Çava, monsieur? – zawołał jasnym, wesołym głosem.

Jego nagan zadrgał przy tym szybko i trzy rude języczki zamigotały w wylocie.

Paprosiński roześmiał się również z całego serca. Śmieszne wydało mu się to niespodziane odnowienie paryskiej znajomości, jak również okoliczności, że od pierwszego wejrzenia wzięli się na muszki.

– Çaira! – odkrzyknął radośnie i szarpnął dwukrotnie za język spustowy.

Horbaczewski prasnął swoim naganem, jakby to był kawał rozpalonego żelaza, zwinął się w jakiś skomplikowany kłąb i trzepnął całym swym ciężarem o ziemię, aż się zakurzyło[3].

Gdyby opis tego pojedynku został udanie przetłumaczony na język angielski i jakimś cudem dostał się w ręce Sama Peckinpaha lub Sergia Leone, to z pewnością na podstawie *W polu* stworzyliby swoje kolejne arcydzieło, równie głośne jak *Dzika banda* czy *Dobry, zły, brzydki* i cały świat dowiedziałby się wtedy o tej wyjątkowej wojnie 1920 roku. Nieprzypadkowo wymieniam tutaj reżyserów parających się westernem, gdyż książka Rembeka jest napisana w iście westernowym stylu, a przy tym to arcydzieło literatury wojennej klasy światowej. Przesada? Kiedy w 1937 roku po-

wieść pojawiła się w księgarniach, Maria Dąbrowska z miejsca zgłosiła ją do nagrody „Wiadomości Literackich”, twierdząc, że jest ona lepsza od *Na zachodzie bez zmian* Ericha Marii Remarque’a. Pisarka argumentowała:

> *W polu* wydaje się pod niejednym względem lepsze od Remarque’a. Rembek ustrzegł się szczęśliwie „stylu” reportażowego oraz sztucznej, często formalnej prostoty. Dał w przeżyciach jednej kompanii obraz wojny wręcz wstrząsający i bardzo serdecznie polecam go uwadze, sercu i myśli sędziów[4].

Ostatecznie Rembek otrzymał w tym konkursie drugą nagrodę, ale za to w sierpniu 1939 roku jego powieści przyznano ustanowioną przez Henryka Sienkiewicza nagrodę Kasy Literackiej z funduszu im. Franciszka Salezego Lewentala. Książkę uznano za najlepszą powieść ostatniego pięciolecia. Niestety wybuch II wojny światowej zahamował jej należyte rozpropagowanie wśród czytelników, a po 1945 roku z wiadomych przyczyn nie można było o niej zbyt wiele mówić ani jej wznawiać. Książka wprawdzie ukazała się w 1958 roku w paryskim Instytucie Literackim Jerzego Giedroycia, ale to tylko spowodowało, że Rembekowi ostatecznie zamknięto możliwość publikowania w kraju. Ten niezłomny pisarz pozostał wierny swym przekonaniom aż do śmierci w 1985 roku.

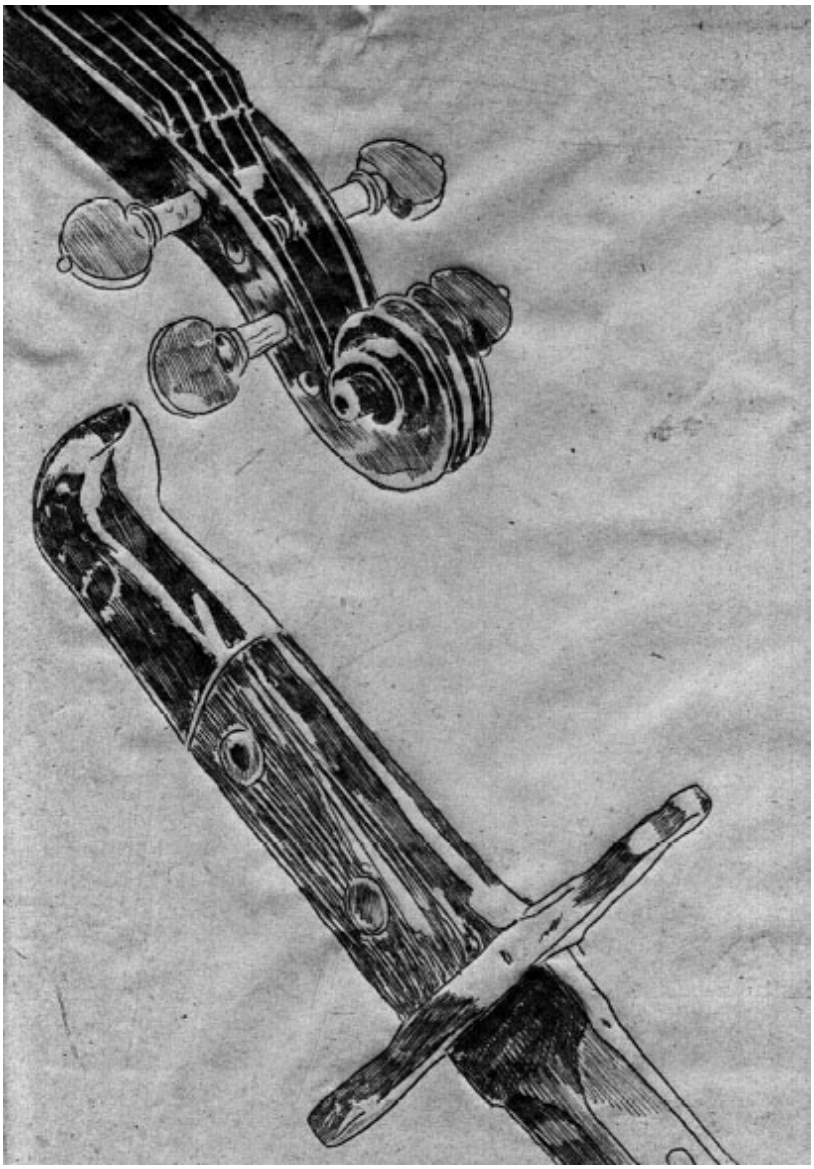

Wydawałoby się, że po 1989 roku arcydzieło Stanisława Rembeka powinno odzyskać swą zasłużoną pozycję. Jednak mimo kilku wznowień powieści tak się nie stało. Także polska kinematografia niezbyt zainteresowała się historią walki i zagłady kompanii porucznika Fidelisa Paprosińskiego, choć to właściwie gotowy materiał na scenariusz. Nie wszystko można tłumaczyć brakiem funduszy na kino batalistyczne z prawdziwego zdarzenia. Wszak wysilono się na na film *1920 Bitwa warszawska* Jerzego Hoffmana, która byłaby dziełem o niebo lepszym, gdyby reżyser i jego scena-

rzyści sięgneli po książkę Rembeka. Być może chodzi tutaj o zawarty w utworze bezkompromisowy obraz zmagań polsko-bolszewickich zainspirowany przeżyciami pisarza. Nie ma w nim miejsca na patos i pomniki z brązu. Nie znajdzie się na jego kartach pięknych obrazków z polskimi ułanami szarżującymi na obdartych czerwonoarmistów z uśmiechem na twarzach i w nienagannie odprasowanych mundurach. W opisie Rembeka obie strony są równie obdarte, głodne i taplają się w tym samym błocie. Różnią się jedynie znaczkami na sfatygowanych czapkach: na jednych są orzełki, na drugich – czerwone gwiazdy. Rembek odsłania nie dość i dziś oczywistą prawdę, że w istocie stanęły naprzeciw siebie dwie w swej przeważającej masie chłopskie armie. Zarówno w Wojsku Polskim, jak i w Armii Czerwonej wielu żołnierzy charakteryzowało się słabą świadomością narodową czy ideową, a prowadzeni byli do boju często, jak to widać w cytowanym na początku fragmencie, przez byłych kolegów z paryskich studiów, antycarskiej konspiracji czy wręcz z carskiej armii, którzy za swą ojczyznę obrali Polskę lub czerwoną Rosję. Z jakiego powodu więc chłopi, robotnicy i studenci z Wojska Polskiego pobili chłopów, robotników i studentów z chłopsko-robotniczej Armii Czerwonej? Rembek daje jasną odpowiedź. Nie zdecydował o tym geniusz tego czy innego wodza lub nadprzyrodzone moce, którym przypisywano później Cud nad Wisłą, lecz obiecanie chłopom ziemi i strach, że bolszewicy im tę ziemię odbiorą. Za to żołnierz polski gotów był się bić do ostatniej kropli krwi, znosić najgorsze trudy i głód w okopach. Zdolny był podnosić się po każdej klęsce do kolejnej bitwy. Porucznik Paprosiński, główny bohater powieści, szlachcic po studiach w Paryżu, z coraz większym szacunkiem odnosił się do swych żołnierzy – prostych chłopów. Kiedy zobaczył swą

kompanię pierwszy raz, przypomniał sobie słynne zdanie z *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego:

> „Myśmy wszystko zapomnieli! Mego ojca piłą rżnęli…”. Piłą? Jezus, Maria! Jakie jest uczucie człowieka rżniętego piłą?... Wzdrygnął się. Obok niego Kamasiński obwiązywał rękę Paprotce. Ten rozglądał się na wszystkie strony w podnieceniu bojowym, a spotkawszy wzrok Paprosińskiego, zawołał zuchowato:
>
> – Dwa palce mi urwali, te kozie syny! Ale i jeszcze tak mogę strzelać i swojego nie daruję!
>
> Radość brzmiała w jego głosie. Widać było jednak, że mimo okazywanej brawury cieszył się na myśl, iż okaże się już niezdolny do służby liniowej i odejdzie na tyły, do cudownego świata, w którym nigdy prawie nie strzela się do człowieka[5].

Tacy są oficerowie i żołnierze w powieści Rembeka, ale kiedy przychodzi do prawdziwej bitwy:

> Polskich strzelców ogarnęło przerażenie. Oglądali się niepewnie na Paprosińskiego i na siebie. Dzieliło ich najwyżej sto kroków od rozjuszonych, rwących się do walki na bagnety wrogów.
>
> Naraz jeden ze szturmujących potoczył się w dół niby silnie kopnięty kamień. Reszta zawahała się widocznie. Kilku zatrzymało się nawet niepewnie.
>
> Wtedy okop ryknął. Był to ryk zamkniętych w klatkach drapieżców, do których niesforna gawiedź przysunęła się zbyt blisko. […]
>
> [Paprosiński] ujrzał wokół szerokie zamachy strzelców, rzucających ręczne granaty, usłyszał głuche wybuchy, potem trysnęły słupki błota i trawy i bolszewicy zaczęli walić się na ziemię, zrywać i uciekać[6].

Prozę Stanisława Rembeka należy przyrównać jeszcze do jednego klasyka światowej literatury wojennej. Mianowicie do Izaaka Babla. Ten słynny rosyjski pisarz w 1920 roku jako Kirył Wasyliewicz Lutow zaciągnął się w Odessie do osławionej 1 Armii Konnej Siemiona Budionnego. Pełnił w niej funkcję korespondenta wojennego, ale jeśli Budionny liczył, że Babel będzie opiewał bohaterstwo jego kozaków, a zachowa w milczeniu ich okrucieństwa na polskim fron-

cie, to się srodze zawiódł. Babel w swej *Armii konnej* nie ukrywał niczego: ani rabunków, ani gwałtów, ani mordów dokonywanych pod płaszczem niesienia idei rewolucji. W swym *Dzienniku* 1920 pod datą 2 sierpnia zapisał krótko: „Nienawidzę wojny”[7]. Opublikowanie *Armii konnej* wywołało protesty Budionnego i jego towarzyszy. Izaak Babel w 1939 roku został aresztowany, a w styczniu następnego roku stracony. Jak trafnie zauważył Wojciech Chmielewski: „Wstrząsający opis rzezi na jeńcach, jakich dopuszczali się bolszewicy u Babla, okrucieństwa dnia codziennego w prozie Rembeka w zupełności świadczą o stosunku obu autorów do wzajemnego zabijania się. Dodajmy, że ani jeden, ani drugi nigdy nie deklarował się jako pacyfista”[8]. Trafna uwaga. Stanisław Rembek w istocie pokazał *W polu*, jak w błocie i krwi rodzi się autentyczna miłość do ojczyzny. To jest to ostatnie Norwidowskie słowo, które „grabarzowa dłoń żelazem dokończy”. Ten cytat otwiera również powieść.

Na koniec przywołane zostanie osobiste wspomnienie żołnierza 1920 roku – prawdziwego zwycięzcy tej wojny. Podobnie jak bohaterowie Rembeka, pochodził on ze wsi i niewiele miał polskiej świadomości narodowej. Do końca życia twierdził, jak go wyuczono w CK szkole, że jest polskojęzycznym Austriakiem. W 1920 roku ze swej podkarpackiej wsi, która swego czasu znajdowała się w epicentrum rabacji, został wzięty do wojska i wysłany na front przeciw Moskalom. Nie bardzo nawet zdążył sobie uświadomić, że znalazł się w Wojsku Polskim, ale Moskali nienawidził szczerze za ich krótką, lecz brutalną okupację wsi w czasie bitwy pod Gorlicami w 1915 roku. Dali wtedy Kozacy parafii Rozembark, jak się z niemiecka zwała, mocno do wiwatu! Bił się więc z Moskalem dzielnie (nie utożsamiając ich z bolszewizmem), aż został ranny w wielkiej wrześniowej bitwie nad

Niemnem. Niedaleko ujechał w pociągu sanitarnym, bo doszło do katastrofy. Jego pociąg zderzył się z innym pociągiem sanitarnym, co zawsze podkreślał jako szczęśliwy traf, gdyż jeśliby sanitarka zderzyła się z pociągiem amunicyjnym, nikt by już z tego żywy nie wyszedł. A tak, słabując z upływu krwi, na bosaka, zarośnięty i obdarty, jak sienkiewiczowski Bartek zwycięzca, wrócił do swej galicyjskiej nędzy, którą odziedziczyła po CK Monarchii wolna Polska. A jednak po tej wojnie z Moskalem w 1920 roku coś w jego sercu kołatało się nowego, bo zawsze ze łzami w oczach wspominał swych frontowych towarzyszy – „takie same nyndze jak jo”. Ten weteran nazywał się Alfons Fugiel, miał stopień strzelca i był dziadkiem autora tego tekstu. Wypisz, wymaluj bohater *W polu* Stanisława Rembeka.

Rozdział XIII

Zredukowany

Wczesnym popołudniem 26 kwietnia 1932 roku w centrum Warszawy przed popularną kawiarnią Ziemiańska, w której przesiadywała śmietanka towarzyska i artystyczna stolicy, uwagę niektórych przechodniów zwrócił dziwnie zachowujący się człowiek. Krępy, o atletycznej budowie ciała, ze sterczącą czupryną nad czołem, nerwowym krokiem przemierzał w kółko wciąż ten sam odcinek na skraju chodnika – dwadzieścia metrów przed lokalem i tyleż za nim. Wybił kwadrans do czternastej, gdy z Ziemiańskiej wyszedł elegancko ubrany wysoki mężczyzna. Był nim Gaston Koehler-Badin – dyrektor generalny Zakładów Żyrardowskich, największej fabryki lniarskiej w Europie. Krążący mężczyzna przystanął i śledził go wzrokiem. Koehler wszedł na ulicę Mazowiecką i zatrzymał się przed jedną z witryn sklepowych pod numerem 11. W tej chwili człowiek sprzed Ziemiańskiej podszedł do niego. Opanował zdenerwowanie i spokojnym, choć drżącym lekko głosem powiedział:

– Panie dyrektorze, nazywam się Blachowski, Julian Blachowski, pan dyrektor powinien pamiętać moją sprawę…

Koehler wyczuł od mówiącego woń alkoholu i popatrzył na niego z pogardą zza okularów w rogowych oprawach.

– Uprzejmie proszę pana dyrektora o wstrzymanie w Żyrardowie eksmisji mojej żony z mieszkania służbowego przy

fabryce.

Dyrektor nie zareagował, więc Blachowski powtórzył swoją prośbę po francusku. To wywołało u Koehlera niespodziewany wybuch wściekłości, po czym rzucił w twarz mężczyzny krótkie:

– Weg!

Ten błyskawicznie wyciągnął spod płaszcza browninga i strzelił dwa razy do dyrektora. Koehler zrobił kilka kroków i padł martwy na chodnik – jedna z kul przeszyła jego serce.

Blachowski rzucił rewolwer na bruk i zastygł bez ruchu nad ciałem dyrektora. Podbiegł do niego rotmistrz Paweł Romocki, który – przechodząc przypadkiem w pobliżu – usłyszał strzały. Wymierzył do zabójcy ze swego rewolweru i krzyknął, by podniósł ręce do góry. Desperat spełnił posłusznie żądanie i blady wyrzucił z siebie:

– Zabiłem drania! To był Koehler, dyrektor Zakładów Żyrardowskich… Musiałem to zrobić… Możecie mnie aresztować, nazywam się Blachowski, uciekać nie będę…

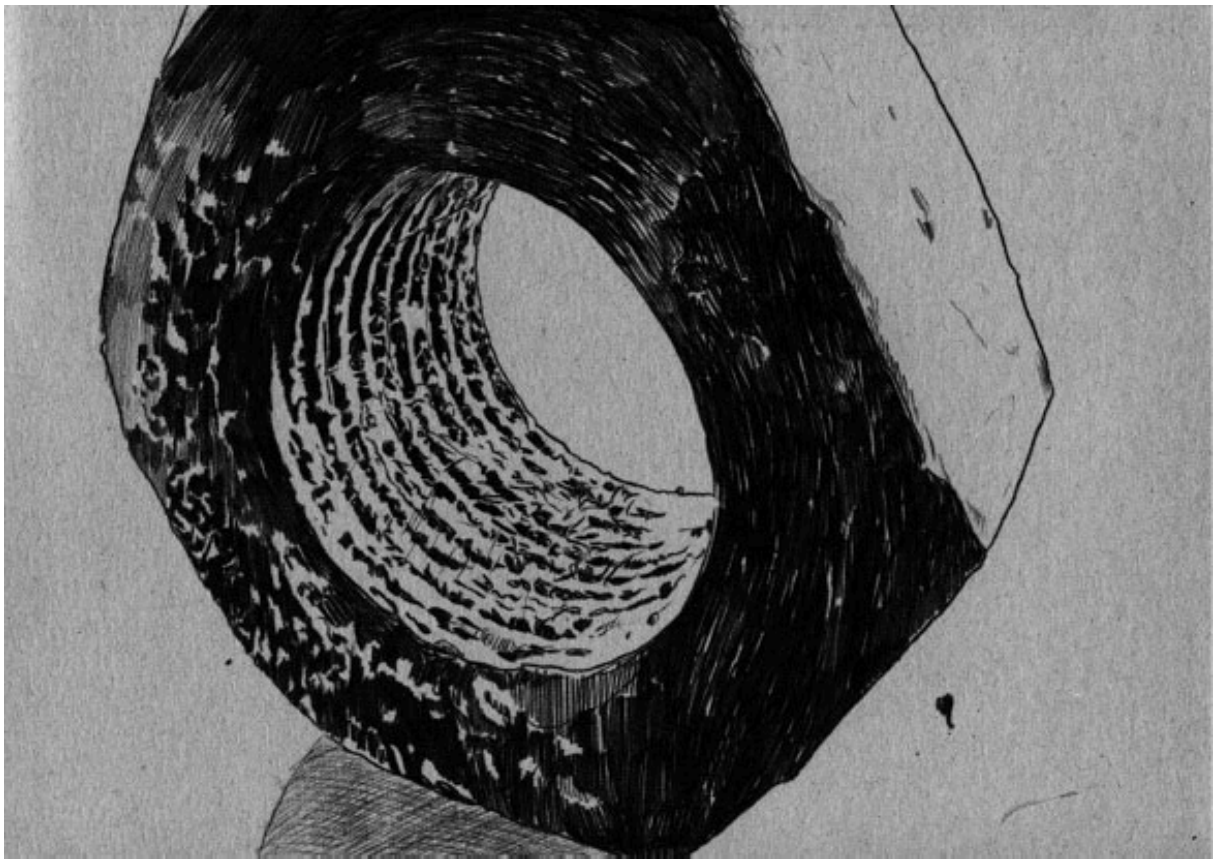

Do rotmistrza dołączyli kolejni przechodnie, którzy wcześniej ukryli się w bramach. Jakiś mężczyzna zebrał łuski po nabojach i oznajmił, że jest funkcjonariuszem policji śledczej. Inni przenieśli ciało Koehlera pod aptekę doktora Sklepińskiego. W tym czasie przyjechała karetka pogotowia. Lekarz stwierdził zgon w wyniku rany postrzałowej serca. Od strony ulicy Królewskiej nadbiegł posterunkowy Zygmunt Grochal, powiadomiony przez przechodniów o morderstwie. Widząc dwóch mężczyzn prowadzących słaniającego się na nogach zabójcę, zatrzymał taksówkę. Pomógł umieścić w niej wyraźnie słabnącego sprawcę i siadł obok niego. Taksówkarzowi polecił jechać do I Komisariatu. Po chwili Blachowski doszedł nieco do siebie i głosem pełnym rozpaczy powtarzał:

– Musiałem to zrobić, nie sypiałem… Zredukował mnie… Nerwy mi nie wytrzymały. Między nami innego rozwiązania nie było…

Tak rozpoczęła się sprawa Blachowskiego, która obnażyła jeden z większych kryzysów społecznych i politycznych w II Rzeczypospolitej.

Zabójca dyrektora Koehlera Julian Blachowski był postacią nietuzinkową. Urodził się 18 grudnia 1890 roku w Warszawie w rodzinie robotniczej. Od najmłodszych lat angażował się w działalność patriotyczną i konspiracyjną. Na początku 1906 roku wstąpił do Narodowego Związku Robotniczego, przybudówki Narodowej Demokracji. Jednak szybko rozczarował się zbyt zachowawczym jego zdaniem programem partii. Przed przystąpieniem do PPS-Frakcji Rewolucyjnej powstrzymała go radykalizacja Narodowego Związku Robotniczego, który podejmował intensywniejsze działania wymierzone w administrację carską w Warszawie. Blachowski wyrósł na czołowego konspiratora w organizacji stołecznej. Przechowywał w swoim mieszkaniu sprowadzaną z zagranicy broń i przewoził ją do wyznaczonych punktów. W tym czasie pierwszy raz trafił do Żyrardowa, gdzie próbował nawiązać kontakty wśród załogi miejscowej fabryki lniarskiej. Był także wykonawcą wyroku śmierci na prowokatorze carskiej ochrany o przezwisku Garbaty – dokonał tego na ulicy Leszczyńskiej w Warszawie. Od tego momentu zaczęła się nim bliżej interesować ochrana i Blachowski wyjechał na pewien czas do Pułtuska.

Został aresztowany 15 sierpnia 1908 roku na ulicy Karowej w Warszawie wraz ze swoim towarzyszem Józefem Zawiślakiem „Tunguzem”. Przy zatrzymanych konspiratorach carscy agenci zarekwirowali pakiet bibuły i rewolwer. Blachowski został przewieziony do cyrkułu na ulicę Daniłowiczowską, gdzie do niczego się nie przyznał. Odmówił także

współpracy w charakterze szpicla. Zaczął być torturowany, policjanci wyrwali mu paznokcie u rąk, ale Blachowski nadal milczał. Z ulicy Daniłowiczowskiej przewieziono go do aresztu kryminalnego przy ulicy Spokojnej. Tutaj został zamknięty w celi z działaczami Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy oraz PPS-u, którzy początkowo odnosili się do niego wrogo, jako członka NZR-u – organizacji potępiającej niedawne wystąpienia rewolucyjne 1905 roku. Jednak po pewnym czasie animozje wygasły i Blachowski zaprzyjaźnił się nawet z jednym z działaczy SDKPiL, Baranieckim, który jak się okazało, miał na wolności za zadanie zlikwidować członka NZR-u… Blachowskiego.

Wkrótce Blachowski trafił na Pawiak do celi numer 52, do której dziwnym zrządzeniem losu trafił także w wolnej Polsce… Tutaj oczekiwał rozprawy i wyroku. Wyrokiem Izby Sądowej Warszawskiej 5 maja 1909 roku został skazany na cztery lata katorgi i do końca życia pozostał na Syberii. Mimo błagań matki nie złożył prośby o ułaskawienie do cara. Katorgę odbył w więzieniu gubernialnym w Orle, w którym panowały bardzo ciężkie warunki. Mimo to Blachowski nie pozostał bierny wobec losu; wziął udział w buncie więźniów oraz próbie grupowej ucieczki z więzienia. Dostał za to dodatkowe dwa lata katorgi, w czasie których nabawił się choroby wrzodowej żołądka.

W lipcu 1915 roku przybywa na zsyłkę do guberni irkuckiej. Początkowo pracował przy wyrębie lasu, ale choroba wrzodowa nie pozwalała mu na tak ciężką pracę. Został palaczem na statku rzecznym, a później pomocnikiem farmaceuty. Jednocześnie starał się dokształcić, dużo czytał – zwłaszcza dzieła przyrodnicze i filozoficzne. Studiował także Biblię, ale nie zmieniło to jego światopoglądu, bo pozostał ateistą. Obserwował jak wśród zesłańców szerzy się demoralizacja, zwłaszcza alkoholizm. Obiecał sobie abstynen-

cję i w tym przyrzeczeniu wytrzymał bardzo długo, aż do swej działalności w wolnej Polsce. 10 grudnia 1915 roku ożenił się w Irkucku z Ksawerą Kurowską, córką zesłańca Michała Kurowskiego.

Po wybuchu rewolucji bolszewickiej w 1917 roku postanowił wrócić do Polski. Wprawdzie początkowo wziął udział w działaniach rewolucyjnych, między innymi w przejmowaniu prywatnych fabryk na Syberii, ale szybko zraził się do krwawych działań bolszewików. Nagabywany, by się zdeklarował, czy jest bolszewikiem, czy mieńszewikiem, odpowiedział, że jest przede wszystkim Polakiem.

Przed powrotem do Polski Blachowski zatrzymał się wraz z żoną i synkiem w Moskwie, gdzie zamieszkali wśród miejscowej Polonii. Po powrocie do kraju zatrzymali się w Warszawie, w jego domu rodzinnym na ulicy Furmańskiej. Okazało się, że zarówno ojciec, jak i rodzeństwo Blachowskiego już nie żyją – brat i siostra zginęli gdzieś w Rosji w niewyjaśnionych okolicznościach. Pierwsze lata dla młodego małżeństwa Blachowskich były więc bardzo ciężkie. Julian nie mógł znaleźć pracy, przez pewien czas handlował obwarzankami na ulicy. W drodze było drugie dziecko. Z tego powodu Blachowscy przenieśli się z Warszawy do Żyrardowa. Tutaj od grudnia 1918 do kwietnia 1920 roku Blachowski był kierownikiem Biura Lokalnego wypłat zapomóg bezrobotnym, a także sekretarzem Komitetu Niesienia Pomocy Bezrobotnym. Od 15 kwietnia do 1 sierpnia 1920 roku pełnił funkcję referenta Urzędu do Walki z Lichwą i Spekulacją. Na tym stanowisku pierwszy raz doszło do zatargu Blachowskiego z polskim wymiarem sprawiedliwości. Wezwany do sądu w charakterze świadka, odmówił złożenia przysięgi, oświadczając, że nie wierzy w jej wartość, gdyż nie jest „oficjalnym” katolikiem. Sąd pokoju[1], biorąc pod uwagę, że Blachowski był urzędnikiem państwowym, ukarał go

grzywną dwustu marek. Blachowski odwołał się do Sądu Okręgowego w Warszawie, który uchylił wyrok poprzedniej instancji, ale mimo to Blachowski stracił posadę sekretarza. W tym czasie do swoich szeregów starali się go pozyskać komuniści, jednak ten odmówił współpracy, zarzucając im obojętność wobec spraw narodowych. W czasie ofensywy bolszewickiej w sierpniu 1920 roku zgłosił się do wojska, ale wobec meldunków wywiadu wojskowego o jego niejasnej działalności w czasie rewolucji i obawie przed agitacją probolszewicką z jego strony profilaktycznie został skierowany do służby tyłowej, gdzie rozdzielał sorty mundurowe.

Po demobilizacji znalazł zatrudnienie w Robotniczym Stowarzyszeniu „Praca” – spółdzielni założonej przez byłych członków Narodowego Związku Robotniczego. Dawni towarzysze z konspiracji próbowali namówić Blachowskiego, by przystąpił do ich nowej organizacji, Narodowej Partii Robotniczej, ale ten odmówił i pod koniec 1920 roku wraz z żoną wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej. W spółdzielni „Praca” Blachowski zarabiał bardzo marnie, ledwo starczało na utrzymanie czteroosobowej rodziny (Blachowscy mieli syna Stefana i córkę Marię). Z tego powodu jego żona podjęła pracę w Zakładach Żyrardowskich jako robotnica w najcięższym dziale fabryki – na „prządkach mokrych”.

Jednak ich sytuacja materialna była nadal bardzo ciężka, więc Blachowski zdecydował się na początku 1923 roku wyjechać zarobkowo do Francji. Tutaj znalazł zatrudnienie w kopalni węgla. Zaoszczędzone pieniądze wysyłał żonie do Żyrardowa. Niestety, po ośmiu miesiącach ciężkiej pracy odnowiła się jego choroba wrzodowa żołądka i musiał wracać do kraju. 1 października 1923 roku Blachowski został robotnikiem w fabryce żyrardowskiej. Nadal zarabiał bardzo mało, ale jednocześnie dzięki katorżniczej przeszłości

i niedawnej działalności społecznej zdobywał w Żyrardowie coraz większą popularność. Wraz z miejscowym społecznikiem i pisarzem Pawłem Hulką-Laskowskim organizował kursy oświatowe dla robotników. Współpracował także między innymi z sekretarzem „Robotnika” Stanisławem Dubois i bratem generała Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego publicystą Tadeuszem Wieniawą-Długoszowskim.

Jego wpływy w Żyrardowie wciąż rosły. Nie dziwi więc, że miejscowa PPS wystawiła go jako kandydata do Rady Miejskiej. W tajnym głosowaniu wygrał miażdżącą większością głosów i 1 grudnia 1924 roku został przewodniczącym Rady Miejskiej Żyrardowa. Jednocześnie otrzymał w fabryce stanowisko urzędnika w biurze obrachunkowym. Wydawało się, że Blachowski wreszcie nabrał wiatru w żagle i sytuacja jego rodziny ulegnie poprawie. Jednak awans ten dopełnił tragedii jego życia.

W roku 1924 właścicielem Zakładów Żyrardowskich zostało francuskie konsorcjum Comptoir de l’Industrie Cotonniére należące do Marcela Boussaca nazywanego królem bawełny. Jak się miało szybko okazać, dla Boussaca rozwój polskiego przemysłu włókienniczego nie był priorytetem, a lniane tkaniny z Żyrardowa, cenione na całym świecie (zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych), miały szybko pod nowym zarządem stracić na swej jakości.

Boussac przejął pakiet większościowy akcji Zakładów Żyrardowskich w kwietniu 1920 roku. Jednakże z powodu wojny polsko-bolszewickiej francuskie konsorcjum nie kwapiło się do inwestycji w fabryce. Skłoniło to rząd polski do przejęcia Żyrardowa w zarząd państwowy, który wydał kilka milionów na odbudowę zakładu po zniszczeniach jeszcze z czasów I wojny światowej, i uruchomienia produkcji. W tym czasie w fabryce znalazło zatrudnienie blisko dziesięć tysięcy ludzi. Po podpisaniu pokoju ryskiego kończące-

go wojnę z Rosją sowiecką Francuzi przystąpili do ofensywy przejęcia Żyrardowa, który był dużą konkurencją dla ich fabryk płótna. Początkowo władze polskie nie chciały przystać na całkowite oddanie fabryki Francuzom, tym bardziej że zaczęli się oni domagać pozwolenia na przywóz z Francji płócien za 120 milionów franków francuskich, co spowodowałoby zalanie materiałami rynku polskiego. Ponadto Francuzi nie chcieli dopuścić, by rząd polski przejął akcje fabryki (około dziesięć tysięcy), które zostały zniszczone w Rosji, a ich właściciele w większości wymordowani w czasie rewolucji. Rząd polski opierał się długo – do 28 maja 1923 roku, czyli do czasu, gdy ministrem przemysłu i handlu w gabinecie Chjeno-Piasta został Władysław Kucharski. Po osobiście prowadzonych pertraktacjach minister Kucharski oddał francuskiemu konsorcjum fabrykę w Żyrardowie 30 października 1923 roku, za zwrotem 3580 dolarów amerykańskich do skarbu państwa (0,73% wkładu państwowego), „nie zabezpieczywszy ludności i państwu rozmiarów wytwórczości fabryki”[2]. O tym, jakie niosło to konsekwencje, niedługo przekonał się cały Żyrardów pozostający, podobnie jak na przykład przemysłowa Łódź, w ścisłej symbiozie z fabryką. W dalszej przyszłości sprawa Zakładów Żyrardowskich miała położyć się cieniem na stosunkach polsko-francuskich. W kuluarach sejmowych szeptano, że minister Kucharski otrzymał od Francuzów za tę decyzję milion franków szwajcarskich, a oficjalnie opozycja poselska złożyła wniosek o postawienie go przed trybunałem stanu. Został on jednak odrzucony, bo – jak dowodzili obrońcy Kucharskiego – „minister działał zgodnie z przepisami, tyle że te przepisy okazały się dla Polski niekorzystne”[3].

Po przejęciu fabryki przez konsorcjum Boussaca szybko doszło do pierwszych zwolnień wśród załogi. Zaczęto też demontować część maszyn fabrycznych. Okazało się, że Bo-

ussac jako potentat bawełniany jest niespecjalnie zainteresowany produkcją płótna lnianego. A właśnie ono było największym atutem fabryki! Żyrardowskie tkaniny były doskonałej jakości, jak podkreślano, „bliskie rzemiosłu artystycznemu”, i wciąż nagradzano je na wystawach międzynarodowych, a zamówienia płynęły wartkim strumieniem z całego świata. Doszło do tego, że Francuzi po przejęciu zakładów zaczęli przywozić swoją o wiele gorszą jakościowo produkcję do Żyrardowa i tutaj, po opieczętowaniu jej znakami firmowymi zakładu, była ona wypuszczana na rynki jako wyrób żyrardowski. Szybko odbiło się to niekorzystnie na opinii zakładu za granicami Polski. Ponadto Marcel Boussac jako właściciel dwóch przedsiębiorstw – Societé Comptoir de l’Industrie Cotonniére i Manufactures de Senones zawarł umowy z zarządem Zakładów Żyrardowskich na dostawę bawełny na zasadach kredytowych. Oprocentowanie tych kredytów było niezwykle wysokie i sięgało nawet ponad 18%, podczas gdy kredyt na bawełnę sięgał przeciętnie 7%. W ten sposób Boussac przechwytywał zyski Zakładów Żyrardowskich.

W takiej to sytuacji Julian Blachowski rozpoczął pracę na stanowisku przewodniczącego Rady Miejskiej Żyrardowa. W jej skład wchodzili ludzie z różnych opcji politycznych i od tego uzależniali najczęściej swą postawę wobec Boussaca. Chadecy chcieli z nim ugody, pepeesowcy proponowali umiarkowanie i atak w odpowiedniej chwili, endecy wietrzyli spisek niemiecko-żydowski, na co wskazywać miało pochodzenie większości akcjonariuszy i personelu dyrekcji. Także zakładowe związki zawodowe, bardzo rozdrobnione i skłócone, różnie widziały charakter walki o zachowanie praw pracowniczych. Najradykalniejsi komuniści (których nie było w Radzie Miejskiej) nawoływali do akcji strajkowych, które raz za razem wybuchały. Jednak szybko okazało

się, że strajki są na rękę nowej dyrekcji, która mogła zwalniać strajkujących bez odszkodowania. Doszło do tego, że dyrekcja przekupiła wśród załogi prowokatorów, którzy mieli zachęcać do strajków.

Blachowski dostrzegał, jak w mieście coraz bardziej rośnie bezrobocie, jak demontowane są maszyny poszczególnych działów fabryki, a produkcja przestawiana jest na bawełnę z Górnej Wolty [dzisiaj Burkina Faso] w Afryce, gdzie Boussac posiadał plantacje. Starał się robić, co tylko mógł; słał monity do redakcji „Robotnika", by na jego łamach alarmować o trudnej sytuacji Żyrardowa. Na niewiele się to jednak zdało. Na początku kwietnia 1926 roku nowym dyrektorem generalnym Zakładów Żyrardowskich został Gaston Koehler-Badin. Ten Alzatczyk ze szwajcarskim paszportem (farbowany Szwajcar – jak mówili o nim złośliwie Polacy) szybko stał się symbolem wszystkich niekorzystnych zmian w Żyrardowie. Od początku swoich rządów intensyfikował opisane praktyki. W tym samym roku, w którym został dyrektorem zakładów, przeprowadził w nich lokaut, w wyniku którego pracę straciło trzy tysiące robotników. Ich miejsce zajęli nieletni uczniowie, którzy byli przyjmowani rzekomo na okres przeszkolenia, następnie zwalniani po kilku miesiącach, a na ich miejsce przyjmowano kolejnych. Masowo byli także zwalniani specjaliści narodowości polskiej i czeskiej, na rzecz niemieckich, co rodziło podejrzenia, że nowemu dyrektorowi jako Alzatczykowi bliżej jest do Berlina niż Paryża. Koehler ponadto był „estetą", nie życzył sobie w fabryce ludzi starych i grubych kobiet – pracownicy o nieodpowiednim wyglądzie byli zwalniani lub w czasie inspekcji dyrektora w zakładzie kryli się po toaletach. Nowością za rządów Koehlera było zaprzestanie demontażu maszyn; sprowadzano nowe, gdyż dyrektor był także fanatycznym zwolennikiem postępu technicznego – według niego załoga

powinna zostać zredukowana do minimum na rzecz nowoczesnych urządzeń. Człowiek ten budził przerażenie nawet wśród najbliższych współpracowników, z chorobliwą zaciętością tropił wciąż przejawy niesubordynacji i terroryzował otoczenie gwałtownymi wybuchami wściekłości. Jego zausznikiem w fabryce był Jan Ważkiewicz. I to on najczęściej przekazywał załodze nowe dyrektywy swego pryncypała.

Następowały kolejne redukcje zatrudnienia. Blachowski był coraz bardziej świadomy nieczystych machinacji w zakładzie i postanowił interweniować w tej sprawie u władz państwowych. Jako przewodniczący Rady Miejskiej wysłał memoriały do rządu, zabiegał o audiencje u samego marszałka Piłsudskiego, jeździł do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Razem z prezydentem miasta Edmundem Orlikiem, Aleksandrem Albrechtem z PPS-u i Pawłem Hulką-Laskowskim opublikował na łamach „Robotnika" memoriał *Przyczyny i skutki obecnego upadku Żyrardowa.* Na niewiele się to zdało. Jednocześnie coraz częściej było słychać oskarżenia pod jego adresem: że jako przewodniczący Rady Miejskiej otrzymał nowe mieszkanie przy ulicy Szkolnej, że dostał w fabryce podwyżkę w wysokości 150 złotych, co najpewniej oznacza, że został „kupiony" przez zarząd. Nikt nie chciał wierzyć jego zapewnieniom, że zarabia tyle samo, co inni pracownicy biura obrachunkowego, że miał propozycje przekupstwa, ale nie przyjął żadnej z wsuwanych mu kopert. Wreszcie Blachowski wytrzymał i złamał swoje przyrzeczenie z katorgi – zaczął pić. Znowu odezwała się choroba wrzodowa żołądka, którą starał się uśmierzyć alkoholem. Zdarzało się, że nie przychodził do pracy, atmosfera w domu też bardzo się popsuła. Krążyły pogłoski, że przewodniczący Rady Miejskiej stara się wódką uśmierzyć sumienie po tym, jak zaprzedał się Koehlerowi. Wszystko to spowodowało, że PPS nie wystawiło jego kandydatury

w wyborach do Rady Miejskiej na lata 1928–1931. Blachowski był zdruzgotany. Dzięki prostym i jakże klasycznym zabiegom na polskim gruncie – szczucia i plotek – zarząd fabryki pozbył się groźnego przeciwnika. W niedługim czasie okazało się, że pozbył się go zupełnie także z fabryki.

Blachowski – rozczarowany postępowaniem wobec niego swojego towarzyszy PPS-u – przeszedł do rozłamowej frakcji Rajmunda Jaworowskiego – PPS dawna Frakcja Rewolucyjna, chociaż wcześniej wielokrotnie wyrażał swoją dezaprobatę wobec tej inicjatywy. Rok 1929 upłynął pod znakiem coraz gwałtowniejszego staczania się Blachowskiego. Nie mógł on znieść atmosfery w biurze, coraz częściej zdarzały mu się nieusprawiedliwione nieobecności i powodowane tym zatargi z dyrektorem Ważkiewiczem. W domu dochodziło do awantur z żoną, pił coraz więcej i coraz częściej też uskarżał się na bóle żołądka. Jednocześnie starał się działać na niwie kombatanckiej, co było dla niego odskocznią od problemów dnia codziennego. Brał udział w zjazdach byłych bojowników z okazji 25-lecia walki z caratem. Spotykał się wtedy często z ludźmi z pierwszych szeregów władzy. Starał się o posadę w Centralnym Komitecie Robotniczym PPS dawna Frakcja Rewolucyjna, dzięki czemu mógłby się oderwać od spraw żyrardowskich. Nic z tego jednak nie wyszło.

Rok 1930 przyniósł dalsze pogorszenie zdrowia. Blachowski przeżył załamanie nerwowe. Leczył się krótko w sanatorium, ale na dłuższą metę nie poprawiło to jego sytuacji. Blachowski czuł, że nie wytrzyma dłużej w Żyrardowie. Z tego powodu nie protestował zbytnio, gdy dyrektor Ważkiewicz poinformował go o „redukcji” jego stanowiska 1 grudnia 1931 roku. Po zwolnieniu z pracy w marcu 1932 roku Blachowski przeniósł się wraz z dziećmi do Warszawy i zamieszkiwał lokal przy ulicy Kępnej na Pradze.

Żona do nich dojeżdżała, gdyż nadal pracowała w Zakładach Żyrardowskich i mieszkała w służbowym przyfabrycznym mieszkaniu. Blachowski mimo kłopotów zdrowotnych kolejny raz próbował szukać pracy w Warszawie, ale czuł, że wszyscy się od niego odsunęli, znikąd nie dostawał pomocy. I w tym momencie otrzymał kolejny cios: żona powiadomiła go, że mają ją eksmitować ze służbowego mieszkania w Żyrardowie.

Feralnego dnia, 26 kwietnia 1932 roku, Blachowski po kolejnej nieprzespanej nocy włożył płaszcz, w którego kieszeni trzymał browninga i wyszedł z mieszkania. Pożegnał wcześniej córkę, która szykowała się do szkoły, i syna, który w tym dniu miał wolne, oprócz popołudniowych zajęć w szkolnym teatrzyku. Syna na pożegnanie pocałował w czoło, co mu się zdarzyło pierwszy raz w życiu, i powiedział:

– Wiesz, Stefku… Nie, jak wrócę, to ci powiem…

Służącej przekazał, że idzie załatwić dzieciom kolonie letnie, które obiecała mu koleżanka partyjna Zofia Praussowa. Tramwajem przyjechał z Pragi do Śródmieścia. Na Marszałkowskiej zaszedł do ambulatorium Kasy Chorych, gdzie leczył załamanie nerwowe. Lekarz przepisał mu zastrzyk. Po wizycie lekarskiej udał się do prywatnego mieszkania premiera Aleksandra Prystora przy ulicy Marszałkowskiej 42, starego znajomego z czasów katorgi. Agenci ochrony nie wpuścili go, więc skierował się ku Alejom Jerozolimskim. Tutaj zaszedł do Biura Pośrednictwa Pracy, lecz tak jak poprzednim razem przeczytał tylko informację wywieszoną na tablicy: „Miejsc wolnych brak”. Z pośredniaka poszedł do Rady Szkolnej, gdzie chciał omówić z Zofią Praussową kwestię obiecanych kolonii, jednak nie zastał jej w pracy. Przysiadł na chwilę na ławce w ogrodzie na Saskiej Kępie. Nagle zerwał się i szybkim krokiem poszedł w kierunku Kra-

kowskiego Przedmieścia. Przed Hotelem Europejskim kupił od gazeciarza „Robotnika”, z którego dowiedział się, że dzień wcześniej doszło w Żyrardowie do rozruchów z udziałem bezrobotnych. Przeszedł pod gmach Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich, znowu bezskutecznie poprosił o audiencję u premiera Prystora lub jego żony, która przy gmachu miała służbowe mieszkanie. Odszedł i skręcił w ulicę Traugutta. Zatrzymał się przed narożnym secesyjnym budynkiem – siedzibą zarządu Zakładów Żyrardowskich. Przez moment się zawahał, ale wszedł. Spytał woźnego o możliwość spotkania z kolegą Frankowskim. Woźny odpowiedział, że dzisiaj go nie ma, więc Blachowski spytał o Kaplińskiego. Ten był obecny, ale woźny bał się iść na górę, mówiąc, że Koehler miał wyjątkowo zły dzień i właśnie tam szaleje. Blachowski usiadł na kanapie i czekał. Tymczasem Kapliński przeszedł przez poczekalnię i zauważył kolegę. Blachowski zapytał go o możliwość widzenia z dyrektorem. Kapliński odpowiedział, że dziś to wykluczone. Umówili się więc na rozmowę w czasie przerwy obiadowej. Blachowski wyszedł i nagle dostał ataku bólu żołądka. Przeszedł w kierunku kościoła Świętego Krzyża, przystając co chwilę, by pomasować bolący brzuch. Przed świątynią przeszedł ulicą na drugą stronę, w kierunku Oboźnej, gdzie znajdowała się restauracja Lijewskiego. W lokalu wypił ćwiartkę wódki i butelkę piwa. Ból powoli mijał. Blachowski wrócił więc na Krakowskie Przedmieście. Tutaj ponownie skręcił na ulicę Traugutta i znowu wszedł do budynku zarządu fabryki. Jak gdyby nigdy nic, zapytał woźnego o dyrektora Koehlera. Ten powtórzył, że spotkanie nie jest możliwe. Podobnie powiedziała przechodząca urzędniczka. Wrócił się więc na Krakowskie Przedmieście. W tym momencie swoje biuro opuścił dyrektor Koehler i szedł w kierunku Ziemiańskiej. Blachowski wrócił na ulicę Traugutta i czekał na Kapliń-

skiego. Zbliżało się wpół do pierwszej, o tej godzinie urzędnicy biur dyrekcji Zakładów Żyrardowskich zaczynali godzinną przerwę obiadową. Gdy Kapliński wyszedł, Blachowski spytał go, czy nie słyszał o jakieś wolnej posadzie. Kapliński odpowiedział, że niestety nie. Blachowski odprowadził go w kierunku Krakowskiego Przedmieścia i zapytał, gdzie teraz jest Koehler. Kapliński odparł, że w Ziemiańskiej. Blachowski pożegnał się z kolegą i umówił się z nim na kieliszek wódki po pracy. Następnie udał się w stronę Ziemiańskiej.

Śmierć Koehlera odbiła się w kraju szerokim echem. Większość opinii publicznej i prasy była po stronie mordercy. Podkreślano, że zabójstwa dokonał z pobudek ideowych. W Żyrardowie kierownictwo fabryki wpadło w popłoch, a ulica triumfowała. Na ścianach budynków pojawiły się napisy w rodzaju: „Dyrektor Koehler siedzi w niebie i woła Ważkiewicza do siebie!”. W samych zakładach nastąpiła odwilż – wstrzymano kolejne zwolnienia, skończyły się też szykany, których inicjatorem był Koehler. Jednocześnie zabójstwo Alzatczyka zaczęło mieć reperkusje międzynarodowe. Ostro zaprotestował ambasador francuski w Polsce Jules Laroche. Wprawdzie Koehler był obywatelem Szwajcarii, ale piastował stanowisko z ramienia francuskiego konsorcjum. Ponadto był mężem zaufania kapitału francuskiego w Polsce. Protest złożyła również ambasada szwajcarska.

W czasie przesłuchania Blachowski – pytany o motywy zabójstwa – powtarzał za każdym razem, że zabił Koehlera, ponieważ ten pozbawił go pracy i chciał wyrzucić ze służbowego mieszkania jego żonę. Ponadto okropnie traktował swoich pracowników, chociaż – co podkreślił Blachowski – jego nigdy osobiście nie obraził. Na jego czyn miała też wpłynąć świadomość, że przez decyzje Koehlera w Żyrardowie zapanowały nędza i bezrobocie. Blachowski został prze-

wieziony z więzienia na Mokotowie na Pawiak 29 kwietnia. Zamknięto go tam w tej samej celi numer 52, w której siedział za czasów carskich. 30 kwietnia odbyły się uroczystości pogrzebowe w Warszawie Gastona Koehler-Badina – trumnę z ciałem przewieziono do specjalnie przygotowanego składu kolejowego, który odjechał do Berlina. Nowym dyrektorem Zakładów Żyrardowskich został dotychczasowy zastępca Koehlera – Joseph Vermeersch.

W Sądzie Okręgowym w Warszawie rozpoczął się 24 października 1932 roku proces Juliana Blachowskiego. Zainteresowanie tą sprawą było ogromne. Sala pękała w szwach od tłumu reporterów i publiczności, wśród której znalazła sie liczna delegacja żyrardowskiej załogi. Obrońcami Blachowskiego zostali sławny z procesów politycznych mecenas Leon Berenson i socjalista, mecenas Henryk Gacki. Oskarżycielem był młody prokurator Józef Fürstenberg. Przewodniczącym gremium sędziowskiego został znany ze skrupulatności wiceprezes Sądu Okręgowego, sędzia Jan Duda. Powodów cywilnych reprezentował dziekan Jan Nowodworski. W trakcie procesu świadkowie przedstawili skomplikowaną sytuację Blachowskiego, która była ściśle związana z warunkami panującymi w Żyrardowie. Mimo starań prokuratury, by wątek fabryki żyrardowskiej nie zdominował rozprawy, to właśnie on stał się głównym motorem procesu. Po kolei wychodziły na jaw machinacje zarządu niekorzystne nie tylko dla miasta, lecz także dla gospodarki całego kraju.

Sąd wysłuchał mów końcowych prokuratury i obrony 31 października. Prokurator Fürstenberg podkreślał, że Blachowski mimo swojej pięknej karty niepodległościowej wykoleił się, popadł w alkoholizm i neurastenię. Ponadto wcale nie był w aż tak złej sytuacji finansowej. Prokurator wyliczył, że po zwolnieniu otrzymał pokaźną odprawę w wyso-

kości 2200 złotych, cały czas pobierał też rentę niepodległościową. Żona prócz pensji w fabryce była wynagradzana jako higienistka szkolna. Po przeprowadzeniu się do Warszawy stać ich było na wynajęcie służącej. Na koniec mowy Fürstenberg powiedział, że motywów zbrodni należy szukać nie na zewnątrz, czyli w złej sytuacji Żyrardowa, lecz we wnętrzu oskarżonego – w jego chorej psychice. Czyn Blachowskiego nie miał żadnego moralnego uzasadnienia, był krwawą zbrodnią chorego człowieka.

Po oskarżycielu przemawiali przedstawiciele powództwa cywilnego. Podkreślali, że Blachowski, jak sam przyznał, nigdy nie został osobiście obrażony przez Koehlera, że dyrektor poniósł niewinną śmierć, że był to samosąd nad człowiekiem bezbronnym w samym sercu stolicy. Trzeba też pamiętać, że Blachowski w młodości należał do partii o rodowodzie endeckim, że przeszedł w niej szkołę zbrodni, walcząc nie z caratem, lecz ze zwolennikami rewolucji 1905 roku, że nie ma dowodów, iż istotnie przebył katorgę… Na te słowa gwałtownie zaprotestował mecenas Berenson. Sędzia Duda zgodził się z protestem obrony i podkreślił, że przeszłość Blachowskiego jest niepodważalna, o czym świadczą nawet akta sądów carskich.

W mowie obrony pierwszy głos zabrał mecenas Henryk Gacki. Przyznał, że Blachowski to człowiek chory, ale na jego stanie zaciążyła katorżnicza przeszłość. W Żyrardowie przeżył wielkie rozczarowanie. Żyjąc wśród robotników, uległ tej samej co oni psychozie, a wszystkiemu winien był dyrektor Koehler. Wprawdzie osobistej do niego urazy nie żywił, ale nienawidził go jak cały Żyrardów. Swą bezsilność Blachowski topił w alkoholu, co pogłębiło jego chorobę. Sąd powinien więc rozstrzygnąć, czy Blachowski popełnił mord z premedytacją, czy też zrobił to pod wpływem silnych emocji. Gacki przeszedł dalej do sytuacji w Żyrardowie. Nie

zgodził się z prokuratorem, który bagatelizował ten problem. Podkreślił, że o straszliwych stosunkach społecznych w tym mieście mówili na tej sali nie tylko robotnicy, ale także byli ministrowie i starostowie (między innymi Władysław Sołtan – minister spraw wewnętrznych, Józef Ołpiński – zastępca komisarza rządu na Warszawę, Edmund Orlik – prezydent Żyrardowa i Aleksander Klotz – starosta powiatowy w Płocku). Fakt na poły mafijnych rządów dyrekcji w zakładach i w mieście był zdaniem obrońcy bezsporny i takie były główne przyczyny strzałów na ulicy Mazowieckiej. Gacki zakończył swą mowę:

> Koehler traktował Polskę jak kolonię afrykańską. Zrodziło to powszechną nienawiść do sprawcy nieszczęść ludności Żyrardowa. Miało też wpływ na czyn oskarżonego. Dlatego też wnoszę o zmianę kwalifikacji zabójstwa ze zwykłego na zabójstwo pod wpływem silnego wzburzenia[4].

Głos przejął mecenas Berenson. Podkreślił, że według niego sprawa Żyrardowa jest tutaj aspektem podstawowym. Bez Żyrardowa nie można rozwikłać zagadki tego morderstwa. Zaznaczył, że nie można zapomnieć słów jednego ze świadków, iż po śmierci dyrektora Koehlera ten nieszczęsny Żyrardów odetchnął. Jeżeli do tego doszło, że po śmierci jednego człowieka z ulgą się oddycha, to trzeba zadać sobie pytanie, co tam się działo za jego życia. Berenson przypomniał, że Żyrardów był królestwem lnu, a został sprzedany potentatowi bawełnianemu: „Jeśli więc król bawełny Boussac opiekował się lnem, to można śmiało powiedzieć, że wilk sprawował pieczę nad owczarnią”. Następnie Berenson analizował raz jeszcze stan psychiczny oskarżonego i doszedł do wniosku, że moment decydujący o zabójstwie dyrektora pozostanie tajemnicą. Obrońca przypomniał też, że Blachowski w ostatnich dniach przed morderstwem był niezmiernie ugrzeczniony, nikomu nie czynił żadnych wy-

mówek, nikogo nie atakował. Dopiero brutalne „Weg!” Koehlera wywołało jego agresję. Na koniec Berenson dowodził, że czyn oskarżonego został poprzedzony przez klasyczny zbieg okoliczności łagodzących, a żadnych obciążających.

Po mowie obrony sąd pozwolił oskarżonemu na ostatnie słowo. Blachowski mówił, że ma świadomość, iż w żadnym wypadku nie miał prawa zabić człowieka. Wcześniej nie zdołały go złamać ani carska ochrana, ani ciężkie warunki na katordze. Poddał się dopiero wobec nagonki w Żyrardowie, która była zwykłą potwarzą. Podkreślił, że kuszono go łapówkami, by przeszedł na stronę dyrekcji, lecz nigdy nie dał się przkupić. Czarę goryczy przelała decyzja Ważkiewicza o odebraniu żonie mieszkania służbowego. Chciano, by i ona wyniosła się z Żyrardowa, a on zerwał z miastem wszystkie związki i kontakty. Blachowski podkreślił, że wie, iż karę musi otrzymać, i w głębi duszy jej pragnie. Na koniec wyznał:

> Słowo „weg” brzmiało w moich uszach inaczej niż w uszach innych ludzi. Kiedym przejeżdżał polską granicę w osiemnastym roku, wracając z wygnania do kraju ojczystego, byłem świadkiem, jak oficer niemiecki bił polskie dzieci z rodziny uciekinierskiej i krzyczał „Weg!”. Stąd też, kiedym usłyszał ten sam wyraz w ustach dyrektora Koehlera, nerwy moje nie wytrzymały[5].

Blachowski zakończył swoje przemówienie deklaracją: „Jestem i pozostanę socjalistą!”[6]. O godzinie 17:30, po półgodzinnej naradzie, sąd ogłosił swój wyrok. Blachowski dostał pięć lat więzienia. Sąd przychylił się do zdania obrony, że oskarżony „działał pod wpływem silnego wzruszenia duchowego”. Blachowski został osadzony najpierw w Arsenale, warszawskim więzieniu przy ulicy Długiej. Zaraz na początku odsiadki dowiedział się, że bezpodstawnie cofnięto mu rentę niepodległościową. Jego obrońcy złożyli apelację od

wyroku. Sąd apelacyjny 17 marca 1933 roku przychylił się do wniosku obrony i obniżył karę Blachowskiemu do czterech lat. Przywrócono mu także rentę niepodległościową. W tym też czasie z inicjatywy prezydenta Żyrardowa Edmunda Orlika ambasador ZSRR Władimir Antonow-Owsiejenko za wiedzą władz polskich złożył żonie Blachowskiego propozycję uwolnienia męża, które miałoby polegać na wymianie więźniów i wyjeździe do Związku Radzieckiego. Ksawera Blachowska po przemyśleniu sprawy odmówiła, a męża w ogóle o tym nie poinformowała.

Julian Blachowski po pewnym czasie odzyskał równowagę psychiczną. Zdobył też mir wśród więźniów i strażników więziennych, za pośrednictwem których kontaktował się nieoficjalnie i poza cenzurą więzienną z przyjaciółmi. Wśród władz więziennych miał opinię człowieka wciąż niebezpiecznego, o cechach przywódczych. Został przeniesiony do więzienia w Białej Podlaskiej. Tutaj szybko popadł w konflikt z administracją więzienną, pisał skargi do Ministerstwa Sprawiedliwości i Związku Byłych Więźniów Politycznych. Jednak w więzieniu przechwycono nielegalną korespondencję Blachowskiego i w listopadzie 1933 roku został przeniesiony karnie do więzienia o zaostrzonym rygorze we Wronkach.

Jednocześnie mieszkańcy Żyrardowa zawiązali komitet, który zaczął zbierać podpisy pod petycją do prezydenta Rzeczypospolitej o przedterminowe zwolnienie Blachowskiego. Pod petycją zebrano siedem tysięcy podpisów żyrardowian, z przedstawicielami władz miasta włącznie. Dokument został 9 listopada 1933 roku przekazany do Ministerstwa Sprawiedliwości. W tym samym czasie prośbę o ułaskawienie Blachowskiego wysłała do prezydenta Ignacego Mościckiego także żona więźnia. Prezydent Mościcki 13 lutego 1934 roku swoim reskryptem ułaskawił Juliana Bla-

chowskiego i zawiesił połowę jego kary. Blachowski był wolny.

Jego czyn wpłynął również na sytuację Zakładów Żyrardowskich, a co za tym idzie – samego miasta. Rozgłos, jakiego nabrał proces zabójcy dyrektora Koehlera, pozwolił rządowi polskiemu na przystąpienie do ofensywy przeciwko francuskiemu konsorcjum. Tym bardziej że wyszło na jaw, iż Boussac zalegał skarbowi państwa przeszło dwa miliony złotych niezapłaconych podatków. „Król bawełny" starał się we Francji przedstawić jako ofiara polskiej polityki antyfrancuskiej i nie zamierzał łatwo oddawać zdobyczy. Wreszcie 29 listopada 1936 roku doszło do porozumienia i rząd polski wykupił Zakłady Żyrardowskie. Do fabryki wrócił inżynier Władysław Srzednicki, który jako zarządca państwowy odbudował zakłady po zniszczeniach I wojny światowej. Pod jego zarządem fabryka szybko odzyskała dawną renomę i jej produkty znowu zaczęły być cenione w świecie. Żyrardów odetchnął.

Ostatni rozdział w tragicznym życiu Juliana Blachowskiego dopisał wybuch wojny. Po wyjściu z więzienia Blachowski wyjechał z rodziną do Pińska, a następnie do Wilna, gdzie znalazł zatrudnienie w biurze pośrednictwa pracy. Jego stan zdrowia znacznie się poprawił po tym, jak przeszedł operację żołądka przeprowadzoną przez doktora Tadeusza Micheja, powstańca śląskiego, działacza plebiscytowego i senatora.

W przeddzień wybuchu II wojny światowej Blachowski wrócił do Żyrardowa. 12 września 1939 roku miejscowość zajęli Niemcy, a jej mieszkańcy służyli im jako żywa tarcza w czasie szturmu na Warszawę. W mieście dochodziło do pierwszych egzekucji, a Blachowski znalazł się na liście gestapo. Udało mu się uciec do Warszawy, jednak Niemcy aresztowali jego dzieci. Syna wywieźli do obozu w Rzeszy,

córkę, ciężko chorą na serce, zwolnili do domu. Po dwóch latach ukrywania się w Warszawie Blachowski wpadł w czasie łapanki. Po przesłuchaniu na Szucha został przewieziony na Pawiak – trafił tu po raz trzeci w swoim życiu. Julian Blachowski został rozstrzelany w masowej egzekucji 23 stycznia 1943 roku. Do dziś nie wiadomo, gdzie jest pochowany. Najczęściej wskazuje się masową mogiłę w Palmirach.

Sprawa Blachowskiego była jedną z głośniejszych rozpraw sądowych w II Rzeczypospolitej. I chyba jedyną z tak dramatycznym aspektem społecznym. Podkreślano wtedy, że strzały Blachowskiego odebrały życie człowiekowi, ale jednocześnie zahamowały śmierć miasta. Czesław Miłosz pisał w jednym ze swoich ówczesnych wierszy pt. *Przeciw nim*:

> Mocno w rękach 23-go roku
> trzyma Zakłady „Comptoir de l'Industrie Cotonniére"
> W 26-tym lokaut, 3000 ludzi wyrzuconych –
> Niech zdycha polskie bydło
> – Miliony panom Boussac![7]

Rozdział XIV

Operacja *Ku wolności*

Dziś może to zdumiewać, ale dwa lata przed wybuchem II wojny światowej w niemieckich kinach wielką popularnością cieszył się film o bohaterskim polskim rotmistrzu z czasów powstania listopadowego. Gazety opatrzyły jego recenzję tytułem: *Herr Rittmeister – zuerst das Vaterland!* (Panie rotmistrzu – najpierw ojczyzna!)

Film Karla Hartla *Ku wolności* (*Ritt in die Freiheit*) to melodramat, w którym na tle wojny polsko-rosyjskiej w 1830 roku ukazano miłość polskiego oficera ułanów do siostry rosyjskiego gubernatora Grodna. Rotmistrz Julek Staniewski (Willy Birgel) musi wybierać między miłością do pięknej Kateriny Tschernikoff (Ursula Grabley) a walką o ojczyznę. Decyzja nie przychodzi mu łatwo. Kiedy do Grodna dociera wiadomość, że w Warszawie wybucha antyrosyjskie powstanie, nie wykonuje rozkazu wymarszu ze swoim szwadronem w kierunku stolicy. Zrywa nawet kontakty ze swym przyjacielem, kapitanem Janem Wolskim (Viktor Staal), który zarzuca mu zdradę. Gdy jednak do Grodna wkraczają wojska rosyjskie, rotmistrz Staniewski staje do nierównej walki z przeważającymi siłami nieprzyjaciela i ginie ze wszystkimi swymi ułanami w ogniu rosyjskiej artylerii.

Po premierze *Ku wolności* w 1937 roku niemieccy recenzenci nie mogli się nachwalić realizatorów filmu. W jednym

z opisów można było przeczytać: „W dramatycznych akordach rozbrzmiewa pieśń bohaterów polskich walk wolnościowych przeciwko rosyjskiemu panowaniu i łączy się w upajającą symfonię ludzkiej namiętności i wielkości”[1]. Sam Joseph Goebbels podkreślał, że to „niezwykle udane dzieło”[2]. Jak się miało okazać, minister propagandy III Rzeszy zadowolony był nie tylko z walorów artystycznych tego obrazu…

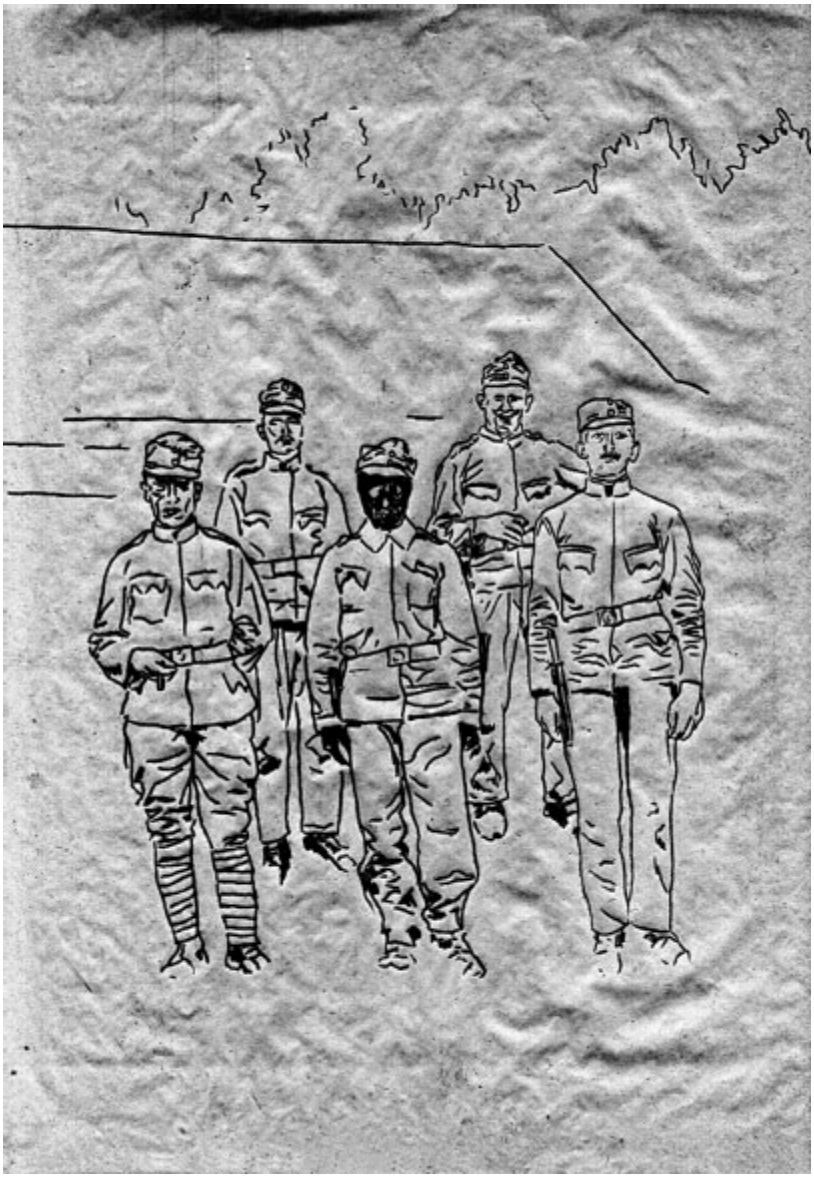

Ku wolności nie był pierwszym filmem niemieckim, który w pozytywnym świetle przedstawiał historię Polski. Kiedy wojsko niemieckie wespół z wojskiem austro-węgierskim w 1915 roku zajęły Królestwo Polskie, a rok później władcy obu państw wydali akt 5 listopada ogłaszający utworzenie samodzielnego Królestwa Polskiego, znalazło to odzwierciedlenie i w sztuce filmowej. Już w 1916 roku Franz Porten nakręcił *Tyrannenherrschaft* (*Pod jarzmem tyranów*). Film składa się z czterech aktów, z których pierwsze trzy rozgrywają się w czasach insurekcji kościuszkowskiej, a czwarty przenosi akcję w czasy I wojny światowej, kiedy „spadkobiercy Naczelnika" – polscy legioniści – walczą z Rosjanami. W filmie przemilczano oczywiście fakt, że prócz Rosji do tłumienia powstania i rozbiorów przyczyniły się także Austria i Prusy, do dziś jednak zdumiewa rozmach jego realizacji. Wzięło w nim udział dziesięć tysięcy statystów, wykorzystano oryginalne kostiumy i rekwizyty z Muzeum Narodowego w Krakowie, a ujęcia kręcono w historycznych miejscach. Po raz pierwszy na tak wielką skalę na ekranie została przedstawiona polska historia. W rzeczywistości ten film i jeszcze kilka kolejnych (między innymi *Der 10. Pavillon der Zitadelle* [*Tajemnica X pawilonu*, 1916], *Das Tagebuch des Dr. Hart* [*Dziennik doktora Harta*, 1916] czy *Nocturno der Liebe* [*Nokturn miłości*, 1919]) miały wykorzystać antyrosyjskie nastroje w polskim społeczeństwie, pozyskać rekruta na front i związać ambicje narodowe Polaków z polityką Berlina i Wiednia. Kiedy po klęsce państw centralnych Polska stała się nagle konkurentem dla Śląska i Pomorza, jej obraz w kinie niemieckim diametralnie się zmienił. Do klimatu z okresu 1915–1918 powrócono dopiero w połowie lat trzydziestych.

Po dojściu Hitlera do władzy w 1933 roku nastąpił niespodziewany zwrot w napiętych dotychczas stosunkach między

Polską a Niemcami. 26 stycznia 1934 roku została podpisana w Berlinie deklaracja o niestosowaniu przemocy. Według wielu historyków Hitler liczył wtedy, że Polska stanie się satelitą III Rzeszy, z którą w przyszłości będzie można uderzyć na Rosję. Dla Warszawy była antidotum na widoczne we Francji i w Anglii tendencje ugodowe wobec Niemiec. Polsko-niemiecka deklaracja obejmowała również kilka umów o współpracy gospodarczej (między innymi zakończono wojnę celną) i kulturalnej. Odtąd radio, teatr, film i prasa obu krajów miały pracować na rzecz „budzenia obopólnego zrozumienia i zapewnienia dzięki temu przyjaznej atmosfery”[3].

Ta „era pojednania” trwała do kwietnia 1939 roku, kiedy Hitler uznał, że polsko-brytyjskie i polsko-francuskie porozumienia o gwarancji wzajemnej pomocy to pogwałcenie deklaracji z 1934 roku, która niniejszym z inicjatywy polskiej przestała obowiązywać. Jednak deklaracji od samego początku towarzyszyła nieufność obu stron. Pod hasłami o obopólnej przyjaźni kryły się często operacje wywiadowcze i przygotowania do nowego konfliktu. Tego właśnie przykładem jest film *Ku wolności*.

Na plakatach reklamujących film można przeczytać podziękowania niemieckiej ekipy następującej treści: *Ku wolności* został wykonany przy łaskawej pomocy Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego i przy współudziale 5 Pułku Ułanów Zasławskich w Ostrołęce”. Istotnie, Ostrołęka w filmie grała Grodno, a stacjonujący w mieście ułani 5 Pułku Ułanów Zasławskich wystąpili w scenach batalistycznych w mundurach 5 Pułku Ułanów Imienia Zamoyskich z 1831 roku, którego notabene tradycje kultywowali. Także Ostrołęka nie była miejscem przypadkowym, gdyż akcja filmu luźno nawiązywała do wydarzeń, które poprzedziły bi-

twę pod Ostrołęką, stoczoną z wojskami rosyjskimi 26 maja 1831 roku.

Lokalizacja filmu, jak się okazało po latach, miała też inny, tajny i niestety groźny dla Polski, cel. To właśnie z Mazur niemieccy sztabowcy zamierzali w planach przyszłej wojny uderzyć na Warszawę i odciąć ją w ten sposób od wschodniego zaplecza. Dlatego bardzo ważne było wywiadowcze zbadanie linii rzek Narwi i Biebrzy z mostami i węzłami kolejowymi w Ostrołęce. Członkowie ekipy filmowej, wśród których było kilku agentów abwery, bez większych problemów zbierali te informacje, chociażby pod pretekstem robienia zdjęć próbnych czy plenerowych. Nie bez znaczenia było także zapoznanie się z organizacją i uzbrojeniem stacjonującego w Ostrołęce wojska, a zwłaszcza elitarnego pułku kawalerii.

Podstęp udał się Niemcom, ale i sam film okazał się wartościową produkcją. Odniósł wielki sukces nie tylko w Niemczech, lecz także w Polsce. Publiczność kinowa w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu z wypiekami na twarzy śledziła losy przystojnego rotmistrza i rosyjskiej księżniczki. Tym bardziej że kreujący ich role – Willy Birgel i Ursula Grabley – mieli status gwiazd i amantów niemieckiego, a wręcz europejskiego kina. Juliusz Kulesza, powstaniec warszawski i badacz dziejów polskiej konspiracji, wspomina, że z okresu międzywojennego największe wrażenie zrobiły na nim dwa seanse kinowe: *Kościuszko pod Racławicami* – polska megaprodukcja z 1938 roku w reżyserii Józefa Lejtesa, i właśnie niemiecki *Ku wolności*. „Ten film siedział w mojej pamięci nawet w mrocznych latach okupacji”[4] – podkreśla Kulesza. Można więc stwierdzić, że sugestywność i siła *Ku wolności* obróciły się przeciwko jego twórcom. Polacy w walce z najeźdźcą dobrze pamiętali płynące z niego przesłanie: „Panie rotmistrzu – najpierw ojczyzna!”.

Rozdział XV

Autobus Linkego

Zardzewiała wiata przystanku autobusowego w jednej z podkarpackich wsi. Od dawna nie zatrzymuje się przed nią żaden autobus, a walające się wokół puszki po piwie świadczą o jej obecnym przeznaczeniu. Można w niej usiąść i pomyśleć, że człowiek czeka na autobus, ale nie pierwszy lepszy autosan czy jelcz, które kiedyś były tutaj łącznikami z gminną i powiatową mieściną. Jest to czekanie na autobus z obrazu Bronisława Wojciecha Linkego. Można wyobrazić sobie, jak zatrzymuje się przed nami ta puszka Pandory i szofer manekin zaprasza nas do środka, wskazując wolne miejsce między upiorami połączonymi z pojazdem w jeden organizm. Siadamy wygodnie i wsłuchujemy się w opowieści z polskiego piekła. A pod tym względem to okolica wyjątkowo bogata, nie da się zapomnieć, iż nigdzie indziej nie zorganizowano ziemiaństwu tak „krwawych zapustów" jak tutaj w 1846 roku. „Ha! temperamenta grają! / Temperament gra, zwycięża: / tylko im przystawić oręża, / zapalni jak sucha słoma; / tylko im zabłysnąć nożem, / a zapomną o imieniu Bożem – / taki rok czterdziesty szósty – / przecież to chłop polski także"[1] – przestrzega Gospodarz Pana Młodego w *Weselu* Stanisława Wyspiańskiego. Na co odpowiada Pan Młody, przecząc sam sobie: „Myśmy wszystko za-

pomnieli; / mego dziadka piłą rżnęli… / Myśmy wszystko zapomnieli”.

„Jak się wszystko dziwnie plecie”… Patrzymy na wyrastającą z dachu autobusu głowę upiora żydowskiego przechrzty, którego dla żartu ochrzcili jego katoliccy koledzy. W 1937 roku jakiś ludowy poeta, podpisany inicjałami A.W., uwiecznił to nieoczekiwane „zwycięstwo naszej wiary” w wierszu *Chrzest Hesia*. Warto go zacytować w całości:

W tydzień oktawy Bożego Ciała
zeszła się chłopców gromadka mała.
A znów dziewczęta jak zwyczaj każe
stroiły w ten czas pięknie ołtarze.
Małego Hesia ciekawość zdjęła,
przyszedł oglądać i on te dzieła,
a wszystko mu się tak podobało,
że się mu stamtąd odejść nie chciało.
Chłopcy mu mówią: ty idź stąd Żydzie,
wiesz, do kościoła to Żyd nie idzie;
chyba że chcesz być jak my ochrzczony.
Chcę! Woła Hesiu zadowolony.
W waszym kościele tak ładnie głoszą,
czerwone chustki na drążkach noszą.
Więc Staszek Czyżyk za przewodnika,
mówi: pożyczcie mi flakonika.
Jaś Grębski chrzestny, a chrzestna matka
Wszołek Eugenia – Hesia sąsiadka.
Idą z powagą, tak jak przystoi.
W babińcu woda święcona stoi.
Nabiera wody, leje po głowie,
mówi uważnie słowo po słowie.
Już jest ochrzczony, dobra nowina
Już mamy Hesia chrześcijanina!
Głos z pola słychać: Gdzie jest Hesiu?
A chłopcy mówią: to już jest Jasiu!
Myśmy waszego Hesia ochrzcili
w chrześcijanina go zmienili.
Aj waj! To gwałt! Tak Surka woła;

Ja powiem księdzu, co to za szkoła.
Przyszła do księdza taka zła strasznie.
Patrzcie! To wasze chłopaki właśnie
naszego Hesia po głowie zlali,
mówią, że mu chrzest i imię dali,
Co ten chrzest jest? – Ha, trudna rada.
Prawda, tak Żydków chrzcić nie wypada.
Tak Proboszcz mówi: W chrzcie jest moc taka,
W chrześcijanina zmienił chłopaka!
Aj waj! W te pędy więc do Rabina:
Panie Rabinie, przykra nowina.
Hesia zmienili w chrześcijanina!
Chłopcy naszego Hesia ochrzcili.
Aj waj! Rabinie, co my zrobimy?
Aj waj! Umyjcie go w spirytusu,
a dolejcie tak trochę lapisu.
Niechaj go ten chrzest prędko wypali,
pomszczeni będą te goje mali!
Bardzo prosimy Panie Rabinie
niechaj te chłopcy kara nie minie.
Na rabinowską karę czekają;
chłopcy na Hesia Jasiu wołają”[2].

Ciekawe, czy któryś z „chrzestnych” po klęsce Polski we wrześniu 1939 roku wspomniał Hesia, gdy Niemcy zamykali go z rodziną w miejscowym getcie, a następnie prawdopodobnie zamordowali w jednym z okolicznych lasów.

MOJE KOŚCI NIE BYŁY ZAKRYTE PRZED TOBĄ,
CHOĆ BYŁEM STWORZONY U UKRYCIU,
UKSZTAŁTOWANY U GŁĘBOKOŚCIACH ZIEMI.*
* KSIĘGA PSALMÓW 139,15

Czar *Autobusu* Linkego nie słabnie – zwłaszcza dziś, gdy naród podzielił się na wyznawców i adwersarzy „religii smoleńskiej”. Bronisław Wojciech Linke, jak mało który artysta polski, tworzył wizje równe w wyrazie *Kaprysom* i *Demonom wojny* Francisca Goi. I także podobnie do swego wielkiego hiszpańskiego poprzednika czerpał natchnienie z własnych dramatycznych przeżyć. Urodził się 23 kwietnia 1906 roku w Dorpacie. Był synem notariusza i znanego działacza polonijnego Juliusza Ferdynanda Linkego i Marii ze Starorypińskich. Już jego pierwsze, jeszcze dziecinne szkice przedstawiały dramatyczne sceny z ulic Dorpatu ogarniętych rewolucyjnymi zamieszkami lub walkami o odzyskanie przez Estonię niepodległości. W 1919 roku rodzina Linkego została repatriowana do Polski. Wszyscy zamieszkali w Kaliszu, który bardzo ucierpiał z rąk Niemców na początku wojny.

Sytuacja repatriantów z Estonii była tak zła, że Bronisław musiał dzielić czas między naukę a pracę zarobkową. Pracował w fabryce i tartaku, a następnie w Toruńskich Zakładach Graficznych „Sztuka”, jednocześnie studiował w Państwowej Szkole Przemysłu Artystycznego w Bydgoszczy. W latach 1924–1926 uzupełnił swą artystyczną edukację w Szkole Przemysłu Artystycznego w Krakowie i w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie. W stolicy z racji swych doświadczeń i lewicowych przekonań zbliżył się do Warszawskiej Grupy Plastyków „Czapka Frygijska” stworzonej przez komunizujących i zaangażowanych społecznie artystów. Od 1936 roku zaczął karierę rysownika, współpracował między innymi ze „Szpilkami”, „Tygodnikiem Robotnika”, „Sygnałami” i „Nowym Życiem”, a po wojnie z „Polityką” i „Trybuną Ludu”. Jednocześnie zaczął tworzyć cykle rysunkowe, które mówiąc najprościej, były graficznym odpowiednikiem pisarstwa Franza Kafki. W cyklach *Wojna* (1931–1932) i *Miasto* (1931–1935) odczuwalna była ta sama groza, która proroczo zapowiadała zwycięstwo faszyzmu, wybuch wojny totalnej i ludobójstwo. Linke nie podzielał przekonania swych wielu lewicowych przyjaciół, że rozwój techniki i przemysłu automatycznie uszczęśliwi robotników. Dał temu wyraz w kolejnym swym cyklu zatytułowanym *Śląsk*, który wykonał po podróży do tej najbardziej uprzemysłowionej części Rzeczypospolitej w 1936 roku. Na Śląsk wyjechał wraz z przyjacielem Stanisławem Ignacym Witkiewiczem zaraz po śmierci swej pierwszej żony, Haliny Marii z domu Skarżyńskiej. Była to jedna z artystycznych peregrynacji finansowanych przez rząd, by artyści swym pędzlem czy piórem sławili cywilizacyjne dokonania młodego państwa. Jednak w wypadku prac Linkego efekt okazał się odwrotny do zamierzonego. Jego wizje podziemnych labiryntów śląskich kopalń były tak okrutne i przerażające, iż wystawę tych

prac w Instytucie Propagandy Sztuki szybko zamknięto ze względu na „potencjalną szkodliwość społeczną”[3].

W 1939 roku artysta ożenił się ponownie, a jego wybranką była Anna Maria Zajdenmann. Po wybuchu wojny Linke musiał uciekać z Warszawy, gdyż jego nazwisko figurowało na nazistowskich listach proskrypcyjnych za serię karykatur Hitlera. Wraz z żoną i jej rodzicami wyjechał najpierw do Lwowa, a następnie w głąb Związku Radzieckiego. Od 1942 roku mieszkali w Orsku na Uralu, skąd powrócili do Polski w 1946 roku. Na podstawie szkiców wykonanych w Rosji autor planował stworzyć cykl graficzny pod wiele mówiącym tytułem *Wszy*, lecz nie zrealizował tego pomysłu. Po powrocie do kraju przez pewien czas mieszkał wraz z żoną w domu Marii Dąbrowskiej. Wkrótce przenieśli się do własnego mieszkania na Żoliborzu, a w 1954 roku zamieszkali na Starym Mieście. W tym też czasie powstał najsłynniejszy cykl Linkego – *Kamienie krzyczą* przedstawiający zrujnowaną Warszawę. W 1956 roku wydano go w albumie, do którego słowo wstępne napisała Maria Dąbrowska.

Kolejne lata, wbrew temu, czego mogłaby się spodziewać komunistyczna władza po lewicowym artyście, nie wniosły do jego grafik i obrazów więcej optymizmu. W 1952 roku namalował obraz *Morze przelanej krwi*. Krwawe wody wyrzucają na brzeg trupy i oporządzenie jakiejś pokonanej armii. Jeden z zabitych żołnierzy dzierży w rozkładającej się dłoni sztandar. Równie przygnębiający jest cykl *Atom* będący wizją wojny nuklearnej bez zwycięzców. W latach 1959–1961 Linke maluje *Autobus* – obraz, na którym tytułowy pojazd – propagandową zapowiedź zmian – zajęły stare polskie upiory, ślepe w swym sobiepaństwie, pysze i pozostałych grzechach głównych. Na jednym z ostatnich miejsc w całkowitej symbiozie z Polakami siedzi Józef Stalin. Ten piekielny wehikuł prowadzi drewniany manekin lub kukła

utożsamiana z chochołem Wyspiańskiego. Nie dziwi więc, że Linke prawie nie wystawiał. Przed śmiercią zdążył jeszcze spełnić swe wielkie marzenie z młodości: wraz z żoną spędził dwa miesiące w Paryżu. Bronisław Wojciech Linke zmarł na raka 6 października 1962 roku w Warszawie. Ceniony krytyk sztuki Ignacy Witz tak pisał o tym wyjątkowym artyście w swych *Obrazach malarskiej wyobraźni*:

> Linke budował prawie przez całe swe życie paszkwil na świat. Odzierał z nimbu wszystkie „świętości”, nie czyniąc tego jednak dłonią bluźniercy. Nicował rzeczy wydające się godnymi szacunku, lecz równocześnie odważnie przywracał wartości ludzkie pojęciom, które zdążyły stać się już tylko liczmanami sloganów[4].

Rozdział XVI

Belki z Birkenau

W listopadzie 1970 roku amerykański artysta, jeden z pionierów sztuki happeningu, Allan Kaprow zrealizował w Kolonii projekt *Sawdust* (Trociny). W ciągu trzech dni – soboty, niedzieli i poniedziałku – w trzech miejscowych stolarniach długie drewniane belki zostały całkowicie przetarte na trociny. Następnie trociny te wymieniono między stolarniami, gdzie zmieszano je z klejem. Uzyskaną w ten sposób masą wypełniono nieckowate formy; dzięki temu po stężeniu kleju z trocin na nowo powstały „belki". Całą tę akcję można sprowadzić do słów zaczerpniętych z wiersza Marcina Świetlickiego *Przed wyborami*:

> (…) Forma ocalała i wychodzi z podziemia.
> Wszystko się układa w jeden wyraźny doskonały kształt:
> OGRÓD KONCENTRACYJNY[1]

Nieprzypadkowo happening Kaprowa odbył się w ówczesnych Niemczech Zachodnich, w których wielu artystów łączyło nowoczesną sztukę z rozrachunkiem z nazizmem. Do artystów tych należał między innymi Wolf Vostell – twórca wielkich happeningów z cyklu *Cityrama*. Jedną z jego najgłośniejszych akcji był happening przeprowadzony 7 listopada 1964 roku zatytułowany *In Ulm um Ulm und um Ulm herum*. Impreza odbyła się w samym Ulm i jego okolicach

w wyznaczonych specjalnie miejscach: lotnisku wojskowym, myjni samochodowej, podziemnym garażu, pływalni, klasztorze, wysypisku śmieci, rzeźni, saunie, oborze i lesie. Happening zaczynał się w Ulmer Theater, z którego uczestników przewieziono autobusem na lotnisko Leipheim, gdzie wysłuchali koncertu silników samolotów odrzutowych. Z lotniska przejechano do myjni samochodowej. Tutaj mycie pojazdów nazwano *Zwrotem do hedonizmu przez przypadek*, a w pobliskich garażach dokonano ich przeglądu, czyli *Życia z nieograniczonymi wymaganiami*. Z garażów udano się na pływalnię, gdzie doświadczono *Najjaśniejszej bieli naszego życia.* Kolejnym przystankiem był klasztor Wiblingen. Na poświęconej ziemi zastanawiano się nad *Chronicznym apetytem po dobrach konsumpcyjnych*. Z klasztoru autobus przywiózł uczestników na podmiejskie łąki w Grimmelfinger. Po zmroku, o godzinie 19:00 szukano na nich *500 miejsc w słońcu*. Po ich wskazaniu odwiedzono pobliskie wysypisko śmieci. Nastąpiło tam wejście w *Dym wielkiego małego świata*. Z wysypiska przejechano do rzeźni – między półtuszami na hakach wysłuchano wykładu *Autyzm w propagandzie i wprowadzanie zamieszania za pomocą środków masowego przekazu*. O godzinie 21:00 sześć taksówek rozwiozło dwadzieścia cztery osoby do oddalonych od siebie miejsc. Potem zawieziono je do sauny, z której skorzystały pod hasłem *Zakwestionowanie wewnętrznej przytulności – lub gdzie byliście przed 24 laty*. Z sauny uczestników przewieziono do punktu wyjścia – teatru, a powrót ten nazwano *Ciszą*. Nie był to jeszcze koniec, gdyż przed północą przetransportowano ludzi do dwóch różnych gospodarstw rolnych, co nazwano *Likwidacją indolencji poprzez aleatorykę*. Ostatecznie wielki happening skończył się nad ranem i wszyscy uczestnicy rozjechali się do różnych miejsc w Ulm.

Vostell zorganizował „wycieczkę” po Ulm i okolicach w taki sposób, że zmusił jej uczestników do wejścia w jądro ciemności totalitaryzmu i wojny: szlak od lotniska wojskowego poprzez klasztor doprowadził „turystów” do rzeźni i sauny, które jednoznacznie kojarzono z komorami gazowymi obozów zagłady. Wszystko rozpoczęło się w teatrze i pod koniec powrócono do niego, co nazwano *Ciszą*. Artysta dał tym do zrozumienia, że lepiej milczeć, niż wciąż pytać o istnienie Boga po Holokauście. W innym happeningu Vostell zażądał od nowojorskiej publiczności, aby utworzyła złożoną z ludzkich ciał żywą górę, która miała przypominać masowy grób po egzekucji…

Naziści, by zamaskować przed ofiarami swoje zbrodnicze zamiary, otaczali obozy koncentracyjne niby-stacjami kolejowymi z kwietnymi rabatami i parkami, a komory gazowe

imitowały łaźnie. Vostell nawiązał do tej mistyfikacji. Obwożąc i oprowadzając swych widzów po punktach infrastruktury współczesnego miasta, udowadniał, że na przykład sauna odgrywająca rolę komory gazowej bardzo łatwo może zostać zmieniona w prawdziwą komorę gazową. Oto jedna z najistotniejszych właściwości naszej cywilizacji.

Czy belka Kaprowa może zastąpić prawdziwą belkę?

86. **Pl. amerykański**
Marta ...trzy...
87. **Półzbliżenie**
Twarz Marty ...krótkie...
88. **Zbliżenie**
Twarz Marty bliżej ...strzały...
89. **Total**
Marta zamyka oczy.

Przedstawiony fragment pochodzi ze scenopisu *Pasażerki* – ostatniego filmu tragicznie zmarłego 20 września 1961 roku Andrzeja Munka. Współpracownik reżysera, Andrzej Brzozowski, wspomina:

> Przyjeżdżamy na zdjęcia do Oświęcimia. W pierwszym obozie ekspozycja muzealna, ślady tamtego uporządkowane, za szkłem, dużo cyfr, wykresów. Osobno głód, uśmiercanie i tortury. Pytam Andrzeja, jakie to robi na nim wrażenie. Odpowiada, że nie robi żadnego. Później widzę go na terenie drugiego obozu, jak chodzi sam między barakami, są takie jak wtedy, deski i cement, na których leżeli ludzie, zarosłe trawą ławy obozowych latryn, między którymi pasą się krowy. Brzezinki jeszcze nie skatalogowano[2].

Munk w kolejnych dniach pracy dokumentacyjnej unikał rozmów o obozie, manifestował obojętność. Jednocześnie rozbudował obozową część filmu – dołożył nowe sceny, jednak miał coraz większy problem z jego współczesną częścią. *Pasażerka* jest retrospekcją byłej esesmanki Lizy (Aleksandra Śląska) służącej w Auschwitz. Koszmarne

wspomnienia wywołało w niej niespodziewane spotkanie na pokładzie statku pasażerskiego byłej więźniarki z podlegającego jej komanda – Marty (Anna Ciepielewska). Reżyser miał wątpliwości, czy sceny z kajuty z esesmanką w cywilu, która potrafiła zamknąć tamten straszny okres swego życia i normalnie funkcjonować w małżeństwie i społeczeństwie, będą współmierne do tych z obozu.

Nie dowiemy się, jak Andrzej Munk rozwiązałby te dylematy. Tragiczny wypadek nie pozwolił mu na to, a zrealizowany materiał został zmontowany przez jego współpracowników i przyjaciół. Munk zdążył nakręcić całość oświęcimskiej retrospekcji – tysiąc siedemset metrów taśmy i fragmenty współczesnych partii filmu – paręset metrów. Ponadto pozostał scenariusz autorstwa Zofii Posmysz-Piaseckiej i scenopis. Dwa lata po śmierci reżysera 20 września 1963 roku odbyła się premiera dokończonej *Pasażerki* (reżyseria: Witold Lesiewicz, autor komentarza do filmu: Wiktor Woroszylski, montaż: Zofia Dwornik). Wiktor Woroszylski, wspominając pracę nad filmem, zanotował:

> Oświęcim nakręcony przez Munka przerósł scenopis, nie odchodząc od niego, jeśli chodzi o akcję, ale przez swą wizualność, niemal namacalność, poprzez intensywny realizm drugiego planu i doskonałe aktorstwo głównych postaci […], stwarzając nowy wymiar tej części filmu. Sceny współczesne (statek) do wymiaru tego nie dorastają[3].

Dalej Woroszylski dywaguje, że być może Munk zredukowałby współczesną część filmu do niezbędnego minimum, a być może znalazłby trzecie wyjście. To znaki zapytania dotyczące szkicu, który zapowiadał arcydzieło. Japońscy mistrzowie malarstwa mawiali, że niezamalowana biel papieru także jest gestem malarskim. Zmagania Munka, jak uchwycić przemianę zbrodniarza w „zwykłego” człowieka, pozostały nierozstrzygnięte. Gdyby dane mu było żyć dłużej,

mógłby zobaczyć zakończenie procesu Adolfa Eichmanna i przeczytać słynną rozprawę Hannah Arendt o banalności zła. I jako człowiek, który podczas spaceru po byłym obozie uchwycił granicę między muzeum a jeszcze nieskatalogowaną Brzezinką, pewnie by tej banalności zaprzeczył.

* * *

19 marca 1946 roku Rudolfowi Hössowi stłukła się ampułka z cyjankiem. Zaniepokoił się. Czy to dobry znak, czy wręcz przeciwnie? Odpowiedź przyszła dwa dni później. W nocy angielscy żandarmi wyrwali go ze snu i przewieźli do koszar, z których osiem miesięcy wcześniej został zwolniony pod fałszywym nazwiskiem Lang jako szeregowy marynarz. Pozwolono mu podjąć pracę w gospodarstwie rolnym pod Flensburgiem.

Na przywitanie dostał raz pejczem:

– Poznajesz go? – spytał żandarm, pokazując pejcz.
– Tak – odpowiedział pokornie Höss.
– Biłeś nim?
– Konia prawie nigdy.
– Pytam o ludzi! – krzyknął Anglik.
– Rzadziej[4].

Forma ocalała i wyszła z podziemia. Wióry, paździerze, drzazgi, popiół i rdza sklejane w belki i wkładane w oczy… w sumienia.

Rozdział XVII

Milczący prorok z Wożuczyna

Gdy był dzieckiem, czytając legendy o ludziach zmieniających się lub zmienianych w drzewa, wodę czy kamienie, bał się takich czarów. W dorosłym życiu, w czasie wojny, odwrotnie – marzył, aby stać się wierzbą, strumieniem lub głazem, aby wreszcie skończył się ten koszmar. Zamiast tego usłyszał głos Boga i zaczął Go rysować.

Edmund Monsiel urodził się 12 listopada 1897 roku we wsi Wożuczyn na Zamojszczyźnie jako piąte dziecko Mikołaja i Karoliny z Dutkowskich. Ojciec był cenionym w okolicy stolarzem, a matka prowadziła mały sklepik galanteryjny w Łaszczowie, gdzie cała rodzina przeniosła się z Wożuczyna. W tradycji rodzinnej nazwisko ojca miało się wywodzić od żołnierza francuskiego, który został tutaj po klęsce Wielkiej Armii w Rosji w 1812 roku.

Mimo wysokiego statusu materialnego (jak na ówczesne realia polskiej wsi) Monsielowie zmuszeni byli prosić o pomoc w wychowaniu dziewięciorga dzieci dalszą rodzinę i znajomych. Mały Edmund trafił na pewien czas do domu wieloletniego przyjaciela ojca Władysława Chmielewskiego, organisty kościelnego zaangażowanego w „antycarską robotę”, patrioty, który między innymi we wsi Dzierążnia prowadził tajne nauczanie. Atmosfera domu Chmielewskich od-

cisnęła piętno na całym życiu Edmunda i znalazła odbicie w jego twórczości.

Wrażliwy i nieśmiały chłopiec po lekcjach w gimnazjum w Dzierążni często zachodził do kościoła parafialnego w Wożuczynie. Rzeźby i polichromie wiejskiego kościółka zainspirowały go do pierwszych prób rysunkowych; dzięki Chmielewskiemu zetknął się też z fotografią. W 1919 roku wyjechał na stancję do Chełma i rozpoczął naukę w tamtejszym Męskim Seminarium Nauczycielskim. Szkoły tej jed-

nak nie skończył i po trzech latach wrócił do domu. Podjął pracę w rodzinnym sklepie przy ulicy 3 Maja w Łaszczowie, uczył się też księgowości u zarządcy pałacu Starowieyskich. Wyrósł na eleganckiego, ale niezwykle nieśmiałego młodzieńca. Lekturę książek przekładał nad kontakty z ludźmi. Te ulubione własnoręcznie ilustrował, jak na przykład wydaną w 1910 roku w Krakowie książkę ojca Gabriela Paláu *Katolik. Uczynkiem i Prawdą*, którą będzie miał przy sobie do końca życia.

Po wybuchu wojny sklep został zamknięty, a część domu Monsielów zajął na kwatery Wehrmacht. Łaszczów stał się nagle jedną z miejscowości na granicy międzyokupacyjnej – niedaleko stąd było do Bugu, za którym panowali Sowieci. Jednak do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w miasteczku był względny spokój. Dopiero wzmożenie działań partyzanckich i antypartyzanckich po 1941 roku przyniosło na te tereny prawdziwą grozę wojny.

Zimą 1942 roku po napadzie partyzantów na jeden z posterunków żandarmerii Niemcy w odwecie rozkazali mieszkańcom Łaszczowa zebrać się przed kościołem w pierwszy dzień Bożego Narodzenia – 25 grudnia. Edmund przebywał w tym czasie w domu swej siostry Anieli. Siostra prosiła brata oraz swego męża Józefa Wyrostkiewicza, by pozostali w domu i się ukryli. Edmund posłuchał rady, ale jego szwagier wziął na ręce dwuletnią córeczkę Marię i poszedł w wyznaczone miejsce – liczył, że z dzieckiem nie zostanie wybrany do egzekucji. Niestety, ta „tarcza” nie przeszkodziła Niemcom i Wyrostkiewicz znalazł się wśród siedemdziesięciu sześciu osób rozstrzelanych na Sosenkach, jak nazywano wzgórza za miastem. Przerażony Edmund uciekł do swego starszego brata Kazimierza Monsiela, który mieszkał w robotniczej kolonii Wożuczyn-Cukrownia, oddalonej od Wożuczyna o dwa kilometry. Tutaj Edmund ukrył się na

strychu i prawie go nie opuszczał do końca wojny. Tylko w nocy schodził na krótko, by się pożywić i umyć. A co robił całymi dniami? Rysował i pisał. Twardym stolarskim ołówkiem na kawałkach papieru kreślił głowy – tysiące głów, które – jak mu się wydawało – patrzyły na niego i wypowiadały słowa ostrzeżeń: „Ściągniecie w krótkim czasie na siebie deszcz krwawy. Jak jest Bóg na niebie, tak za złe uczynki ściągniecie Jego wyrok na siebie. Przypominam, jako Ojciec dzieciom – że ziemia i niebo przeminą, a Słowa Moje nie przeminą”[1]. Jednak nie przekazywał tych proroctw dalej, nawet bratu. Swoje rysunki i notatki skrzętnie ukrywał, jedynie głowy przemawiających doń „starców” mnożyły się na nich coraz liczniej, tworząc jeden wielki organizm – ciało Boga. Wojnę traktował nadal jak realne zagrożenie, bał się, ale od wiadomości z frontu miał ważniejsze: „Pan Jezus objawił się w Wielki Piątek 1943 roku”[2]. Wszystkie rysunki skrzętnie datował i oznaczał ozdobną sygnaturą „EM”.

Po wojnie przeniósł się do opuszczonego młyna, gdzie zajął małą pakamerę. Brat załatwił mu pracę w pobliskiej cukrowni w charakterze wagowego. Nieźle tam zarabiał, znowu elegancko się ubierał – pozornie wszystko wróciło do normy. Choć samotnik i odludek, ludzie go lubili – był grzeczny i sympatyczny. Koledzy odwiedzali go czasami w młynie i słuchali razem radia, które Monsiel zakupił za jedną z wypłat. Ale pod pozorem tego spokojnego, wręcz bezbarwnego życia wagowego z cukrowni Edmund nadal był zanurzony w innej rzeczywistości – wciąż rosła sterta rysunków z proroctwami. „Ciało Boga” rozrastało się na przypadkowych skrawkach papieru, opakowaniach po papierosach i blankietach z cukrowni. W kłębiące się głowy artysta wpisywał każdą rzecz, która przykuwała jego uwagę – łącznie z zaobserwowanymi na niebie samolotami. Rysował między nimi nawet samego diabła pod postacią Hitlera

i swego zamordowanego przez Niemców szwagra – czuwała nad nim głowa Jezusa Chrystusa.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Edmund Monsiel podupadł na zdrowiu i jeździł na kuracje do uzdrowisk w Dusznikach, Krynicy i Żegiestowie. Zawsze miał przy sobie nieodłączny stolarski ołówek, którym „pisał swoje ikony". Po powrocie z jednego z sanatoriów zmienił miejsce zamieszkania – wynajął pokoik u Tomasza Pieprzowskiego w kolonii Zastaw i myślał o własnym domu. Kupił działkę w Michałowie, ale nie zdążył rozpocząć budowy. Edmund Monsiel zmarł 8 kwietnia 1962 roku w szpitalu w Tomaszowie Lubelskim w wyniku powikłań pogrypowych.

Wraz ze śmiercią „proroka z Wożuczyna" zaczęła się – jak to często bywa w takich wypadkach – jego kariera artystyczna. Porządkując rzeczy po zmarłym, rodzina natrafiła na kufer zamknięty aż trzema kłódkami. Po sforsowaniu zamków okazało się, że kufer jest szczelnie wypełniony rysunkami; jeszcze jeden rulon rysunków znaleziono ukryty pod parapetem okna – łącznie było to ponad pięćset prac. Część rysunków po pewnym czasie trafiła do spokrewnionego z Monsielami Edwarda Żaka, który otrzymał zadanie rozeznania się, ile warte są prace zmarłego. Żak wysłał prośbę o ocenę do najpopularniejszego wówczas tygodnika kulturalnego w Polsce – „Przekroju". Rysunki Monsiela wzbudziły w redakcji zainteresowanie i w marcu 1964 roku na łamach czasopisma ukazał się artykuł ilustrowany dwiema reprodukcjami. I znowu, niczym w scenariuszu żywota artysty wyklętego, pierwszymi, którzy odpowiedzieli zainteresowaniem na publikację, byli psychiatrzy. Do, Wożuczyna przyjechał znakomity psychiatra i znawca sztuki Jan Mitarski ze swym kolegą po fachu, Jerzym Pomorskim. Zakupili oni od rodziny prace, które według doktora Mitarskiego były dowodem postępującej schizofrenii. Pisał on we wstę-

pie do katalogu wystawy *Świat samotnych wizji Edmunda Monsiela* między innymi: „Twórczość Monsiela to kapitalny przykład inspiracji twórczej pod wpływem choroby psychicznej. Sama choroba talentu nie tworzy, lecz może go ujawnić, spotęgować siły kreacyjne, nadać piętno niepowtarzalnej oryginalności…”[3]. Oczywiście doktorowi Janowi Mitarskiemu należy przypisywać zasługę odkrycia dzieł Edmunda Monsiela, ale wyrokowanie choroby psychicznej na podstawie dzieł zmarłego artysty można skomentować przykładem innego wielkiego „malarza wyklętego” – Vincenta van Gogha. Jak pisał Henri Perruchot w biografii tego artysty:

> Przypadek van Gogha nie jest wyłącznie przypadkiem medycznym; tak samo, jak nie jest wyłącznie przypadkiem z dziedziny estetyki. Jest przypadkiem człowieka porwanego przez potężny zew mistyki, który chce przekroczyć – i przekracza – granice zwykłego człowieka. Jego przypadek to przypadek wszystkich wielkich mistyków, wszystkich bohaterów Poznawania. I jako taki nie mieści się – i mieścić nie może – w granicach zwykłych pojęć[4].

Słowa te pasują doskonale również do Edmunda Monsiela. Nie można podkreślać jedynie walorów plastycznych jego dzieł w oderwaniu od ich kontekstu mistycznego – ich twórca, „słysząc Boga”, starał się zapisać Go w ikonie. I udało mu się!

Pierwszy raz publiczność zobaczyła rysunki Edmunda Monsiela w kwietniu 1963 roku na Wystawie Problemowej Plastyki Amatorskiej zorganizowanej w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Wystawa indywidualna zatytułowana *Świat samotnych wizji Edmunda Monsiela z Wożuczyna* została otwarta 19 listopada 1963 roku w siedzibie krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Historyków Sztuki na Rynku Głównym. W Warszawie wystawę pod tym samym tytułem można było oglądać rok później. Tak zaczęła się pośmiertna popularność samotnego proroka z Wożu-

czyna – jego prace znalazły się w wielu prywatnych i muzealnych kolekcjach na całym świecie; organizowane były kolejne wystawy zbiorowe i indywidualne. Edmund Monsiel został jednym z klasyków art brutu.

Zgodzić się trzeba z doktorem Mitarskim, który pisał o artyście na końcu cytowanego już wstępu do katalogu:

> Rzeczywistość […] była dla niego nikłym cieniem. Prawdziwe życie zaczynało się, gdy w mrocznej izdebce wysłuchiwał przemawiającego do niego głosu Boga, ukazującego mu przedziwne wizje i nakazującego rysować i pisać dla nawrócenia ludzkości[5].

Na koniec warto dodać, że jego wizja „planktonu” stworzonego z głów patrzących na nas niezliczonymi oczami, które bez przerwy wysyłają do nas informacje, w naszych czasach coraz wyraźniej staje się rzeczywistością.

Rozdział XVIII

Zarażony śmiercią

Rola porucznika Kosseckiego w *Popiele i diamencie* Andrzeja Wajdy jest najsłynniejszą kreacją Adama Pawlikowskiego. Świetnie zagrany porucznik Andrzej Kossecki nie miał złudzeń. Nie wierzył w III wojnę światową ani w to, że siła ideałów Polskiego Państwa Podziemnego skruszy pancerze czołgów Armii Czerwonej (miał przecież świadomość, do czego takie myślenie doprowadziło w sierpniu 1944 roku w Warszawie). Jego „zarażenie śmiercią" nie pozwalało mu też wierzyć w jakiekolwiek kompromisy. Zauważywszy wahanie swego przyjaciela i zarazem podwładnego, Maćka Chełmickiego, który pod wpływem uczucia do dziewczyny zaczął wątpić w sens ich walki, szybko przywołał go do porządku. Któż nie zna tej sceny, w której Maciek Chełmicki i Andrzej Kossecki zapalają spirytus w szklankach, by wspominać towarzyszy broni poległych i szczęśliwszych od tych, którzy przeżyli i zmuszeni są podejmować decyzje w czasach nieheroicznych!

Adam Pawlikowski w kinie był naturszczykiem, ale potrafił zmieniać w sztukę swoje życiowe doświadczenia. Ranny w pierwszych dniach powstania żołnierz AK dostał się do niewoli i został wywieziony do obozu jenieckiego w Murnau. Wyzwolony przez Amerykanów pod koniec kwietnia 1945 roku, trafił do 2 Korpusu Polskiego generała Andersa

i rozpoczął studia medyczne. Jednak w 1947 roku zrezygnował z medycyny i wrócił do kraju. W Warszawie studiował muzykologię; grał i komponował na rzadkim instrumencie – okarynie. Jego utwory wykorzystał między innymi Andrzej Wajda w *Kanale* oraz *Popiele i diamencie*, a także Tadeusz Konwicki w *Ostatnim dniu lata*. Pawlikowski szybko z kompozytora zmienił się w aktora: jego pierwsza rola to niemiecki oficer w *Kanale* – aktor zagrał swojego wroga. Zagrał tak sugestywnie, że bez wahania Andrzej Wajda obsadził go w swym kolejnym filmie, który okazał się arcydziełem.

WITAJŻE, MA JASKINIO — NA WIEKI ZAMKNIĘCI,
NAUCZMY SIĘ UJĘŹNIAMI STAĆ SIĘ Z UŁAŚNEJ CHĘCI —
CZYŻ NIE ZNAJDZIEM ZATRUDNIEŃ Z MĘDRCE DAWNYCH WIEKÓW
ZAMYKALI SIĘ SZUKAĆ SKARBÓW ALBO LEKÓW
I TRUCIZN — MY NIEJUNNI MŁODZI CZARODZIEJE
SZUKAJMY ICH, BY OTRUĆ UŁAŚNE SWE NADZIEJE*
*ADAM MICKIEWICZ

Ta „pierwsza drugoplanowa rola” w *Popiele i diamencie* jest niezwykle ważna, może o wiele ważniejsza od kreacji Zbigniewa Cybulskiego – młodzieńca, który pod wpływem miłości zaczyna rozumieć, że świat nie jest jednowymiaro-

wy i podzielony na „my – oni”. „Na wojnie liczy się tylko instynkt” i porucznik Kossecki, stłumiwszy własne wątpliwości po rozmowie z majorem, natychmiast przypomina wahającemu się Maćkowi o zadaniu egzekutora. Wie, że obaj są na straconych pozycjach, ale przez to jeszcze mocniej muszą pokazać determinację żołnierzy oddziału specjalnego Armii Krajowej (choć formalnie AK już nie istnieje – została rozwiązana przez jej ostatniego komendanta 19 stycznia 1945 roku).

Dobitniej artykułuje tę kwestię porucznik Kossecki z powieści Jerzego Andrzejewskiego, która stała się podstawą dla scenariusza filmu: „Z wielkich szlachetnych celów pozostał gnój tylko, wielkie gnojowisko. Tyle oto znaczył strzęp żałosnej solidarności…”[1]. Mimo to (albo właśnie dzięki temu) Kossecki nie porzuca swych ideałów, idzie do lasu, by objąć dowództwo nad rozbitym przez Urząd Bezpieczeństwa oddziałem partyzanckim. A wojna partyzancka to wojna najokrutniejsza z możliwych. Wystarczy spojrzeć na cykl graficzny Goi *Okrucieństwa wojny,* by zrozumieć, że w walce pozbawionej linii frontu nie ma bohaterów – dziś jesteś żołnierzem, a jutro, jak głód przyciśnie, będziesz bandytą. Czy porucznik Kossecki, pozostając wierny swym ideałom, nie zmienił się przypadkiem w potwora, jak pułkownik Kurtz w *Czasie Apokalipsy*? Czy dzisiejsze bezkrytyczne gloryfikowanie żołnierzy wyklętych” nie jest ostatecznym odebraniem im człowieczeństwa na rzecz jednowymiarowych bohaterów popkultury? Pułkownik Kurtz czytał *Wydrążonych ludzi* T.S. Eliota, sam będąc wydrążonym człowiekiem. Czy porucznik Kossecki nie doszedł do tej samej ściany?

To pytania, na które nie ma odpowiedzi lub na które można przewrotnie odpowiedzieć inną wielką rolą Adama Pawlikowskiego: kabalisty Don Pedra Uzedy z *Rękopisu znale-*

zionego w Saragossie Wojciecha Hasa. Uzeda to bohater, który jako jedyny wie, gdzie tak naprawdę zmierza młody oficer Gwardii Walońskiej Alfons van Worden (Zbigniew Cybulski), i ukrywa przed nim rękopis z wielką ryciną raka, który chodzi do tyłu…

Numer jeniecki młodego powstańca Adama Pawlikowskiego to 102125. Cóż by powiedział na to kabalista Don Pedro Uzeda? Być może wyczytałby z tych cyfr, że tragizm kreowanych przez niego bohaterów filmowych będzie jego udziałem także w rzeczywistości. Pawlikowski został w 1967 roku, w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach, wmieszany jako świadek w proces Janusza Szpotańskiego, autora *Cichych i Gęgaczy*, pamfletu wymierzonego w Gomułkę. Bronił się przed tym, uciekł do szpitala psychiatrycznego; dowieziony z niego na salę rozpraw, zeznawał niechętnie i ze wszystkiego chciał się wycofać. Mimo to dosięgnął go środowiskowy ostracyzm; wzięto go za ubecką wtyczkę, tym bardziej że taką właśnie informację podało Radio Wolna Europa. Pawlikowski praktycznie został pozbawiony środków do życia, pogłębiła się też jego choroba psychiczna – cyklofrenia. Zginął śmiercią samobójczą 17 stycznia 1976 roku, wyskoczywszy z okna swego warszawskiego mieszkania na ósmym piętrze.

W filmie Andrzeja Wajdy *Wszystko na sprzedaż* (1968) do baru, w którym siedzi grany przez Adama Pawlikowskiego bohater, wchodzi dwóch mężczyzn. Po chwili rozlewają do szklanek spirytus i podpalają. Pawlikowski zaczyna im się przyglądać, ale szybko się odwraca. Nadal nie ma odwrotu – żadnych kompromisów. Samotność. „Trzeba nauczyć się chodzić do tyłu” – odpowiedziałby Don Pedro Uzeda, kabalista.

Rozdział XIX

Lubieżny Pingwin z Branic

Najgroźniejszym po Jokerze przeciwnikiem Batmana w Gotham City jest karzeł o przydomku Pingwin – odrażający władca piwnic i kanałów ściekowych tego mrocznego miasta. Pingwin niedługo po urodzeniu został przez swych przerażonych jego wyglądem i kalectwem rodziców wrzucony do kanału ściekowego. Cudem przeżył, aby szerzyć destrukcję i śmierć na ulicach znienawidzonego miasta. Jednocześnie ten arcyłotr uważał się za artystę, którego narzędziami do tworzenia sztuki były pistolety maszynowe i dynamit.

Pingwin z komiksu miał w rzeczywistości swoje alter ego – skrzywdzonego przez los i ludzi karła socjopatę, który jednak w odróżnieniu od komiksowego Pingwina tworzył prawdziwe dzieła sztuki. Większość życia spędził w piwnicach Państwowego Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Branicach, gdzie tworzył gobeliny zadziwiające kunsztem wykonania, barwami i tematyką, oraz prowadził krwawe wojny ze szczurami.

Marian Henel urodził się 6 września 1926 roku w Przystajni (województwo śląskie). Ojca nigdy nie poznał, a matka zmarła, gdy miał sześć lat. Gminni urzędnicy oddali go rodzinie, w której był regularnie bity i obciążony pracą ponad siły. Uciekł po siedmiu latach i trafił do gospodarzy, którzy

okazali mu więcej ludzkich uczuć. W szkole uczył się źle, rówieśnicy wyśmiewali się z jego fizjonomii – niskiego wzrostu i otyłości. Henel od najmłodszych lat był niezwykle pracowity i pobudliwy. Interesował się kobietami. Najchętniej podglądał je, gdy kąpały się w rzece. Pierwszy kontakt seksualny miał z kobietą, która przypominała mu matkę – w średnim wieku i grubą. Takie też „matrony" będą dominować w jego późniejszych rysunkach i gobelinach; w taką również będzie się „zamieniał" w swoich performansach.

Zaraz po zakończeniu II wojny światowej Henel stanął do poboru i by uniknąć powołania do wojska, zgłosił się do służby w Urzędzie Bezpieczeństwa. Najpierw został wartownikiem, a potem palaczem w kotłowni w placówce UB w Kluczborku. Traktował to jako niesłychany awans społeczny. Jako wartownik pilnował aresztantów; czasami „dla rozrywki" śledczy pozwalali mu asystować w przesłuchaniach. Po latach Henel wspominał, że w czasie całej swej służby w UB nigdy nie spotkał takich bohaterów, jakich pokazują w filmach, którzy nie załamaliby się straszeni torturami i nie powiedzieli tego, co chcieli usłyszeć śledczy. Tym bardziej że szef kluczborskiego UB okazał się zbyt wielkim sadystą nawet jak na standardy UB i po wewnętrznym śledztwie został skazany na śmierć, a jego oddział rozwiązano. Henel po zwolnieniu z UB trafił do pegeeru położonego w sąsiednim powiecie.

Czas w pegeerze upływał mu początkowo na ciężkiej pracy i piciu. Henel szybko stał się „maskotką” traktorzystów i dojarek – obiektem kpin i okrutnych żartów. W czasie jednej z balang alkoholowych traktorzyści „ożenili” Henela z kompletnie pijaną dojarką i zmusili go, by odbył z nią stosunek seksualny. Związek ten następnie został zalegalizowany, ale nie trwał długo. Dojarka nie chciała przebywać pod jednym dachem z „odmieńcem” i „pokraką”. Szybko otrzymali rozwód. Henel po tych upokorzeniach przestał pić i odsunął się od towarzystwa robotników rolnych. U kierow-

nictwa pegeeru wystarał się o funkcję stróża. Otrzymał mieszkanie służbowe w budynku, który sąsiadował z publicznym szaletem. Henel kupił wtedy swój pierwszy aparat fotograficzny i wiercił dziury w ścianie odgradzającej jego mieszkanie od szaletu. Podglądał przez nie kobiety. Czuł się jak „czarownik z bajki", który widzi poprzez ściany, a sam pozostaje niewidzialny. Traktował to też jako odwet za wcześniejsze poniżenia.

Jego „szczęście" nie trwało jednak długo. Kierownictwo pegeeru zdecydowało, że jesienią po żniwach przeprowadzi remont budynku, w którym mieszkał Henel, a on sam miał się przeprowadzić na czas remontu do lokalu zastępczego. Na myśl, że skończą się jego „seanse", wpadł w rozpacz i postanowił wszelkimi sposobami przeszkodzić planom remontowym. Gdy jego perswazje i prośby nie przyniosły żadnego skutku, sięgnął po radykalne metody. Wymyślił, że podpali największą stodołę wypełnioną świeżym zbożem, by dzięki temu uszczuplić dochody pegeeru i zmusić zarządców do zaniechania prac budowlanych.

Na wzniecenie pożaru wybrał dzień dożynek, gdy większość świętującej na festynie załogi będzie mocno pijana. Dodatkowo, by zapewnić sobie alibi, skonstruował coś w rodzaju opóźnionego zapalnika z włożonych do puszki po konserwie główek zapałek, na których postawił świecę. Płomień świecy po dojściu do siarki zapałek miał spowodować wybuch ognia, a w tym czasie zamachowiec dawno już bawiłby się z innymi. Kilka razy wypróbował pomyślnie swój wynalazek, jednak w dniu dożynek był zbyt zdenerwowany. W pośpiechu źle ustawił puszkę, która z płonącą świecą przewróciła się na słomę, i od razu buchnął ogień. Zdążył jednak wrócić na plac zabaw, zanim zauważono pożar.

Następnego dnia do pegeeru przyjechała grupa śledcza powiatowego UB. Wypadek zakwalifikowano jako sabotaż,

za co sprawcy groziła kara śmierci. Po kilku tygodniach śledztwa ubecy półżartem zapytali Henela, czy jako były funkcjonariusz bezpieczeństwa sam tego nie zrobił, by wrócić „na pokoje UB”. W tym momencie Henel nieoczekiwanie przyznał się do wszystkiego zaskoczonym śledczym… Blisko rok spędził w więzieniu, gdzie jako były ubek był w hierarchii więziennej „najgorszym cwelem” – na każdym kroku poniżanym i bitym przez współwięźniów. Jednak towarzysze z UB nie zapomnieli o zagrożonym karą śmierci koledze i załatwili mu tak zwane wariackie papiery, dzięki którym skierowano go na zamknięty oddział szpitala psychiatrycznego w Branicach.

Szpital – kierowany w tym czasie przez doktora Zbigniewa Jackowiaka – charakteryzował się tym, że jego pacjenci w ramach terapii pracowali w licznych warsztatach i pracowniach. Marian Henel znalazł się w szpitalnej tkalni i przepracował w niej siedem lat. Wyrabiał na krosnach bawełniane i lniane tkaniny, z których – co nie było dla niego bez znaczenia – szyto bieliznę. Po pewnym czasie wśród personelu i pacjentów zaczęły krążyć sprośne rysunki, które najczęściej przedstawiały chuderlawych mężczyzn kopulujących z potężnymi matronami jak z filmów Felliniego. Był to pierwszy przejaw artystycznej twórczości byłego ubeka. Dzięki tym rysunkom Marian Henel powoli zaczął zdobywać pozycję w zamkniętym świecie szpitala psychiatrycznego i na swój sposób stał się szczęśliwy.

Przełomem w życiu Mariana Henela był rok 1968. W tym czasie zreorganizowano oddział, na którym przebywał, i zamknięto tkalnię, w której pracował. Razem ze swymi dziewiętnastowiecznymi krosnami trafił do Pracowni Ekspresji Sztuki Psychopatologicznej prowadzonej przez Stanisława Wodyńskiego. Pracownia znajdowała się w pawilonie D w zaadaptowanej piwnicy. Zrzeszeni w niej pacjenci mieli

możliwość tworzyć w pracowniach malarstwa, grafiki, rysunku i ceramiki. Na końcu otwarto pracownię tkactwa artystycznego, która szybko stała się królestwem Henela. Jego niezwykła pracowitość i cierpliwość w wykonywaniu gobelinów przyniosła niespodziewane i wspaniałe efekty artystyczne. Początkowo Henel wykonał kilka gobelinów na zamówienie kierownictwa szpitala (na przykład herb szkoły medycznej czy gobelin z postaciami muzyków do gabinetu kolejnego dyrektora placówki, doktora Andrzeja Różyckiego). Już w tych pierwszych pracach Henel pokazał swój kunszt, ale jego prawdziwy geniusz ujawnił się, gdy zaczął na gobeliny przenosić swoje sprośne szkice. Spod jego palców wychodziły orgiastyczne przedstawienia, na których monstrualne kobiety oddawały się niepozornym mężczyznom w rajskich ogrodach pełnych różnorakich zwierząt: gadów, ropuch i nietoperzy lub w pielęgniarskich strojach leciały na miotłach na sabat czarownic. Praca nad gobelinami trwała całe miesiące, tym bardziej że były to najczęściej duże formaty (o szerokości od metra osiemdziesięciu do trzech i pół metra, a długości od trzech do pięciu metrów). I nie była to jedyna aktywność artystyczna Henela!

W szpitalu wrócił też do fotografii. Początkowo fotografował sam siebie przebranego w strój pielęgniarki w różnych zaaranżowanych scenach erotycznych, grając rolę kobiet podobnych do tych z gobelinów. Przed obiektywem zmieniał się w swój ideał piękna – silną, wyuzdaną kobietę dominującą nad słabymi mężczyznami – takimi jak on poniewieranymi przez życie nieudacznikami… Następnie zaczął aranżować sceny erotyczne za pomocą lalek przebieranych w pielęgniarskie fartuchy. Przed zrobieniem zdjęcia ustawiał je w lubieżnych pozach i oświetlał lampą stomatologiczną, którą znalazł na wysypisku śmieci. Światło w jego fotogra-

fiach było podstawowym elementem aranżacji – wydobywało z półmroku piwnicy jego pragnienia i obsesje.

Henel dzięki swej pracy otrzymał od Stanisława Wodyńskiego osobny klucz do piwnicznej pracowni, w której mógł przebywać właściwie bez limitu czasowego. Okazało się, że w tym „Hadesie", przez który biegły całe kilometry rur instalacji kanalizacyjnej i centralnego ogrzewania, tkacz zostawał na noc i urządzał sobie safari – polowania na szczury. Złapane gryzonie torturował okrutnie i topił w wiadrze z wodą. Wydało się to, gdy jeden ze schwytanych szczurów pogryzł go w rękę. Stanisław Wodyński wspomina, że odnosił wrażenie, iż Henela bały się wszystkie żywe stworzenia: psy i koty w panice rzucały się na jego widok do ucieczki… Jak sam podkreślał, w naturze najbardziej cenił zjawisko burzy. Od dziecka fascynowała go ta „symboliczna kopulacja żywiołów" i także w szpitalu, gdy zaczynało grzmieć, przerywał pracę i biegł do okien, aby obserwować wyładowania rozbłyskające na niebie.

Drugim po piwnicy ulubionym miejscem Henela była szpitalna biblioteka. Zachłannie czytał, najczęściej powieści historyczne Kraszewskiego, Sienkiewicza czy Żeromskiego. Z lubością wracał do scen gwałtu kochanki Rafała Olbromskiego w *Popiołach*, oślepiania Juranda w *Krzyżakach* i nabijania na pal Azji Tuhajbejowicza.

Henel zdawał sobie sprawę z tego, że dzięki swym pracom jest podziwiany, zwłaszcza przez osoby, z którymi liczył się najbardziej – lekarzy, dyrektorów i plastyków prowadzących zajęcia w szpitalnej pracowni. Potwierdzeniem tego był fakt, że administracja szpitalna oddała mu do użytku osobne mieszkanie poza oddziałem szpitalnym. W jednym z jego okien wstawił specjalną konstrukcję – rurę połączoną z wiatrakiem, w którą wpadał wiatr i „wył przeraźliwie przez cały czas" – dzięki temu Henel wyobrażał sobie, że obok

jego okna śmigają na miotłach czarownice podążające na sabat... A on je przenosił na swe gobeliny lub zmieniał się w jedną z nich na fotografiach.

Aby ocalić mu życie, zamknięto go w szpitalu psychiatrycznym i szybko o nim zapomniano. Szpitalne podziemia – podobnie jak dla komiksowego Pingwina kanały – stały się dla niego azylem, w którym mógł tworzyć i objawić „piękniejszą" część swej duszy. Marian Henel zmarł 21 maja 1993 roku.

* * *

Kilka lat po śmierci artysty szpital w Branicach znalazł się w poważnych kłopotach finansowych. Wtedy okazało się, że prócz gobelinów Mariana Henela nie ma w placówce nic wartościowego, co stanowiłoby zabezpieczenie majątkowe za dostarczone szpitalowi, a niezapłacone usługi i towary niezbędne do jego funkcjonowania. Komornik zinwentaryzował i wycenił gobeliny, które stały się rękojmią wobec wierzycieli. Dzięki temu szpital miał czas na znalezienie pieniędzy na dalsze funkcjonowanie. Tym sposobem Marian Henel zza grobu uratował swój azyl.

Rozdział XX

Słońce wschodzi raz na dzień dla wszystkich

„Rok 1945. Ziemia skuta trzema łańcuchami: wojny, mrozu i głodu. Rok śmierci, nazwany potem rokiem zmartwychwstania i wiosny”[1] – tak Wiesław Dymny rozpoczął opowiadanie *Słońce wschodzi raz na dzień*, o którym dziś by się powiedziało, że jest opowieścią o żołnierzach wyklętych. Ukończył je w 1966 roku, a w następnym roku Henryk Kluba na podstawie scenariusza Dymnego nakręcił film o tym samym tytule. *Słońce…* z miejsca zostało uznane przez władze za półkownika i film dopuszczono do emisji dopiero po pięciu latach.

Urzędnikom peerelowskim nie mógł się on podobać, gdyż opowiadał historię buntu góralskiej wioski przeciw władzy ludowej. Na czele beskidzkiej wsi Odkrzas leżącej u stóp góry Ochodzitej stał Haratyk. Dumny góral, który nie ufał żadnej władzy – nie tylko tej idącej ze wschodu. Nie dał więc wiary partyzantom z Armii Ludowej, którzy pewnego styczniowego dnia 1945 roku zaszli do Odkrzasu i ogłosili manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Nie tylko zresztą Haratyk – cała wieś nie ufała słowom o dobrodziejstwach nowej władzy. Dla nich każda władza pachniała jednako. Doszło wreszcie do kłótni, w czasie której zginął

jeden z alowców („chłopcy z lasu” nie przewidzieli, że górale są uzbrojeni).

Po przejściu frontu przeczucia Haratyka co do nowej władzy okazały się słuszne. Urzędnicy nie chcieli pomóc góralom w uruchomieniu tartaku i cegielni; gardzili „ciemnym ludem”, tak samo jak ich poprzednicy, choć w teorii wrogowie – sanacyjni przedwojenni włodarze i duchowni. Kiedy więc Haratykowi dzięki szabrowniczej wyprawie na Ziemie Odzyskane bez niczyjej pomocy udało się rozruszać tartak i cegielnię, a później otworzyć we wsi także szkołę, nagle dostrzegli w nim groźnego wichrzyciela – wroga ludu. Charyzmatycznym wioskowym przywódcą zaczęło interesować się UB.

Haratyk trafił wreszcie do aresztu i tam przesłuchiwany był przez miejscowego szefa UB, Kozieła:

– No, a coście robili podczas wojny?

– Nic – powiedział Haratyk. – To co zawsze.

– Z okupantem walczyliście?

– Można powiedzieć tak.

– W Armii Ludowej, czy jak?

– Tak po prawdzie tośmy zastrzelili koło setki Niemców, bo się nam ich konie podobały – powiedział Haratyk.

– No właśnie. Dla sprawy koni pogrzebaliście sprawę wyzwolenia narodowego. Tak jak krwawy kat Tito sprzedał lud za kilka dolarów. I dlatego chcę wam powiedzieć Haratyk, nie jest za późno, aby wrócić ze złej drogi. Cegielnię i tartak upaństwowimy, wy się zapiszecie do partii i wybijecie sobie z głowy takie tam samowolne organizowanie mas ludowych. Kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam i my już z tym damy sobie radę, i pokażemy, jak rewolucyjny lud karze zdrajców i kontrrewolucjonistów. My chcemy wam, Haratyk, pomóc. Zgoda?

– Nie – powiedział Haratyk.

– Co nie? – zdziwił się Kozieł.

– Ani cegielnia, ani tartak, ani nic nie będzie wasze. To jest nasze. „Własność ludu”, tak jest napisane na bramie i nikt nam tego nie odbierze, dopóki ja jestem Haratyk.

– Dajemy wam tydzień czasu do namysłu – powiedział Kozieł i zawołał, żeby wyprowadzić Haratyka[2].

Jak było do przewidzenia, Haratyk nie zmienił zdania. Wręcz przeciwnie, rozkazał swym ludziom zniszczyć i tartak, i cegielnię, a następnie wszyscy z bronią poszli do lasu. Tam trzymali się długo, aby wreszcie ulec zmasowanym siłom UB, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i milicji. Haratyk trafił do więzienia na długie lata. Do 1956 roku siedział, jak skrupulatnie zanotował Wiesław Dymny. Przytoczony fragment opowiadania *Słońce wschodzi raz na dzień* (opublikowanej przez Wydawnictwo Literackie w 1981 roku jako tytułowe w zbiorze utworów Dymnego) ukazuje dobrze znaną i udokumentowaną perfidię totalitaryzmu, który podszywał się pod władzę ludową. Haratyk stał się ofiarą stalinizmu jak tysiące mniej lub bardziej jemu podobnych. Mimo siły charakteru, mimo zasług dla swej społeczności po powrocie do Odkrzasu był już tylko wioskowym dziadem, do którego starzy się nie przyznawali, a którego młodzi nie pamiętali.

W każdym razie dzisiaj zarówno opowiadanie Dymnego, jak i film Kluby nie wzbudziłyby entuzjazmu w Ministerstwie Kultury… Nie byłyby to dzieła objęte państwowym mecenatem, choć traktują o „żołnierzach wyklętych”. Dlaczego? Odpowiedź pierwsza jest zawarta w cytowanym fragmencie. Górale nie wrócili do partyzantki z pobudek narodowych, lecz by bronić się przed złem zadawanym bezpośrednio ich wsi. Górale, jak przyznaje Haratyk, nawet z Niemcami walczyli, myśląc głównie o ich koniach, a nie o zniewolonej ojczyźnie… Tutaj odzywa się stara tradycja góralskiego zbójowania. Jest to również klucz do zrozumienia poparcia, jakim cieszyły się chociażby działania Józefa Kurasia „Ognia” na Podhalu. To przecież wypisz, wymaluj harnaś, który nie chciał się podporządkować żadnej władzy

– ani sanacyjnej, ani akowskiej, ani komunistycznej. Wciąż mało znanym faktem jest, że w oddziale Kurasia przysięgało się walczyć o… Polskę Ludową, a nie „narodową”, czy „kontynuatorkę II RP”, jak chcieliby niektórzy historycy. Kuraś był ludowcem, a precyzując, „sam sobie panem”, czego z przykrością doświadczyli oficerowie zarówno z AK, jak i z UB, którym wydawało się przez chwilę, że Ogień słucha ich rozkazów. Nawet Sowietów zwiódł, kiedy z nimi współpracował i ułatwił między innymi zajęcie Nowego Targu. Jemu po prostu podobała się Rosjanka, która stała na czele działającego na tym terenie NKWD. Dla kobiety Ogień otworzył Sowietom bramy podhalańskiego miasta. Ot – fantazja harnasia.

Drugim powodem, dla którego dzieło Kluby i Dymnego znalazłoby się na indeksie, jest fakt, iż również dla tak zwanego podziemia niepodległościowego Haratyk i jego górale byli wrogami. Wszak zamiast od początku walczyć z Sowietami i ich „sługami”, oni pochowali swe karabiny w sianie i zabrali się do urządzania pokojowego życia. Któregoś dnia leśni wtargnęli do domu Haratyka i nie zastawszy gospodarza, skatowali na śmierć jego żonę. Nie udało im się jednak wrócić do lasu; schwytani przez górali Haratyka, zostali rozstrzelani. Jeden z nich przed śmiercią zdążył wypowiedzieć wycelowane w gazdę przekleństwo: „Zginiesz pod płotem, ty świnio, naród będzie pluł na twoje zwłoki”. Dymny kończy ten fragment wymownie: „Na pogrzebie Haratyczki było trzy tysiące ludzi. Nikt nic nie mówił”. Co tu zresztą mówić – bohaterstwo zmieniło się w bohaterszczyznę, a partyzantka w zwykłą bandytkę… I może jeszcze, że pozytywizm pod rosyjskim uciskiem zawsze był skuteczniejszy od romantycznych porywów. Ten pogląd dzisiaj, w suwerennym państwie, gdy historia jest wykorzystywana do doraźnych politycznych celów, nie jest zbyt popularny.

Marta Kurkowska-Budzan jeden z rozdziałów swej książki *Antykomunistyczne podziemie zbrojne na Białostocczyźnie. Analiza współczesnej symbolizacji przeszłości* poświęciła dyskursom prywatnym. Badaczka zamieściła w nim fragmenty wywiadów, które przeprowadzała ze świadkami i uczestnikami dramatycznych wydarzeń na Białostocczyźnie po 1945 roku. To tutaj działał równie kontrowersyjny Romuald Rajs „Bury", odpowiedzialny między innymi za krwawe pacyfikacje białoruskich wsi zimą 1946 roku. Jednak nie tylko jego obawiano się w białostockich przysiółkach. W powiecie łomżyńskim wśród funkcjonariuszy nowej władzy (i nie tylko) postrach siali między innymi Stanisław Marchewka „Ryba", Stanisław Grabowski „Szalony Stasiek", Henryk Jastrzębski „Zbych" i Czesław Czyż „Dzik". Działalność tego ostatniego opisał Stanisław N. (ur. 1940) i fragmenty jego wspomnień także znalazły się w książce Kurkowskiej-Budzan:

> Zadaniem [oddziału dowodzonego przez Dzika – P.K.] była walka przeciwko tworzącemu się socjalizmowi. Walka ta polegała głównie na obrabowywaniu sklepów państwowych, napadaniu na posterunki policji i rozstrzeliwaniu ludzi, którzy byli zwolennikami nowej rzeczywistości […] jak np. Lipiński z Kubry Przybudówki został przez nich rozstrzelany za to, że został przewodniczącym Rady Gminy czy tylko radnym w Przytułach. A co był winien dwunastoletni chłopak, który siedział na schodach przed swoim domem (chyba w Siestrzankach), […] kiedy podszedł do niego „Dzik" i zapytał, gdzie ojciec. Chłopak pokazał głową, że w domu. Wówczas Dzik zakomenderował „Wstań, jak do ciebie mówię", chłopiec zapytał „A po co?". Nagle Dzik zdjął pepeszę i oddał w jego kierunku całą serię, pozostawiając go martwym na schodach, ku rozpaczy jego matki, która patrzyła na to przez okno z mieszkania[3].

Jak pisze dalej Stanisław N., Dzik po rozbiciu oddziału przez KBW, otrzymał wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia, z czego odsiedział dwanaście. Po zwolnieniu zamieszkał z rodziną w Rumii koło Gdyni.

> Po przewrocie – wspomina N. – władzy w Polsce [w 1989 roku] [Czesław Czyż] zaczął usilne starania, aby uzyskać miano bohatera narodowego, korzystając z okazji, że przy władzy jest „Solidarność” sprzyjająca honorowaniu takich „bohaterów” też. Kiedyś powiedziałem do jego ciotki „Cześka wypuścili już z więzienia, to mógłby odwiedzić swoją miejscowość”. Na to ona odpowiedziała „On tu nie przyjdzie nigdy, bo on tu na wsiach ma tylu wrogów, że by go zaraz zabili”[4].

To nieginące widmo odwetu można napotkać do dziś na Podhalu, kiedy zejdzie się na temat działalności majora Kurasia. Trzeba bardzo uważać, czy wieś, w której się o Ogniu

rozmawia, nie była czasem przez niego spacyfikowana za „sprzyjanie komunistom”.

Warto tutaj przywołać jeszcze jeden motyw, który przewija się w relacjach spisanych przez Martę Kurkowską-Budzan. Tym bardziej że jest on obecny i w dziele Dymnego, i Kluby. Wszystkie sprawy – nie tylko te polityczne – można było załatwić w bardzo prosty sposób, bo po wojnie wszędzie było pod dostatkiem broni. A ludzkie życie nie miało większej wartości nie tylko dla NKWD czy UB. Po drugiej stronie szafowano nim równie łatwo. Oto kilka zdań na ten temat zanotowanych przez Martę Kurkowską-Budzan:

> W pierwszych latach po wojnie chłopy przychodzili z bronią na lekcje. Średnia szkoła. Chłopy dorosłe. Nauczyciel od polskiego męczył kogoś, to ten spluwę na stół… (Mieczysław M.).
>
> Tutaj była straszna masa odłamów, każdy chciał być, panie, swoim wodzirejem. Tej broni zostało od pioruna i trochę… i rosyjskiej, i niemieckiej, i takiej… A jak ma broń, to dawaj partyzantkę robić (Jan K. z Taraskowa).
>
> Sąsiad sąsiadowi zabił kurę i za byle złość się mścili – mieli broni a broni! (Natalia G.)[5].

Wiesław Dymny, wzorem młodopolskich poetów i ludowych przypowieści, tym podsycaniem nienawiści w swoim opowiadaniu obarczył też diabła, który bliżej jest ludzi niż Bóg. „– Co to jest, że na Ochodzitej diabły zaczęły tańcować? – dziwi się Waliczek. – One tańcują, gdy czują w powietrzu krew – powiedział Moskała”. Taki dialog prowadzili mieszkańcy Odkrzas, kiedy w styczniowy dzień do wsi weszli alowcy z „dobrą nowiną” z Lublina. Był diabeł obecny i w scenie finałowej, kiedy UB i KBW rozbiło góralski oddział, a jego osaczony harnaś – Haratyk szedł, by się poddać:

> Szedł do zakrętu, za którym leży wielki głaz. Skała z wybitym, wielkim jak chleb kopytem. To jest kopyto diabła od czasu, kiedy

> ten diabeł gonił Ondraszka. Ondraszek w tym miejscu przeskoczył Czadeczkę, a diabeł nie mógł tego zrobić, więc chciał w niego rzucić tę skałę. Ale skała była za Ondraszkiem i nie dała się podnieść, więc diabeł z wściekłością kopnął ją i zostało wypalone na tej skale jego kopyto. Jest ono do dziś. […] Jest to świeży ślad, jakby dzisiaj przybita pieczątka[6].

Za tą skałą czekali na Haratyka ubowcy, którzy zakuli go w kajdany i poprowadzili w dolinę na długie więzienie. Wydawało się, że wszystko sprzysięgło się przeciw Haratykowi – nawet tak bliskie mu góry i lasy. Ale kiedy wreszcie wyszedł z więzienia, niespodziewanie wyrównał rachunki ze swym głównym prześladowcą – oficerem UB, Koziełem:

> A nad światem wisi diabeł
> A pod ziemią siedzi diabeł
> I w kominie i na strychu
> Siedzi to diabelne licho
> Cicho bardzo cicho
> Na fujarce gra[7].

Tytułowe: „Słońce wschodzi raz na dzień” jest zdaniem, które wypowiada alowiec do mieszkańców Odkrzas po tym, jak ogłosił im manifest PKWN. W jego przekonaniu miało to w prosty i jasny sposób uświadomić chłopom, że tak jak słońce wstaje raz na dzień, tak trwały będzie nowy porządek. Lecz dla górali nie było to takie oczywiste:

> Nie mierz jedną miarą rzeczy
> które są niejednorodne
> Słońce nie zawsze jest słońcem
> Gwiazdy zmienią swe orbity
> A wulkany, które drzemią,
> Mogą jeszcze wstrząsnąć ziemią[8].

Cytowane strofy to „słowa do muzyki z filmu *Słońce wschodzi raz na dzień*”[9], jak zapisano we wspomnianej książce Dymnego. Warto tutaj raz jeszcze wrócić do filmu.

Scenariusz Wiesława Dymnego i muzyka Zygmunta Koniecznego przenoszą nas w świat niby powojenny, ale jakby przetworzony przez ludową klechdę. Podobnie jest z obrazem. Zdjęcia Wiesława Zdorta, praca kamery Mieczysława Lewandowskiego i montaż Mirosławy Garlickiej-Jaworskiej burzą, najprościej mówiąc, percepcję rzeczywistości. Perspektywa, niczym w dziełach ekspresjonistów, jest poddana prawom emocji, a nie fizyki. Bywa, że bohaterowie filmu wyrastają na olbrzymów, jak giganci z obrazów Goi, którzy – nieświadomi swej wielkości – szerzą przerażenie w okolicy, przez którą przechodzą. Niezapomniana jest między innymi scena przejścia przez Odkrzas sowieckiego frontu, kiedy gigantyczny czołg, jakby przedpotopowy smok lub gad z Apokalipsy, strzela do uciekających Niemców.

Niebagatelna jest też tutaj obsada aktorska; pierwszoplanowe role grają „mistrzowie ról ludowych”: Franciszek Pieczka jako Haratyk, Ryszard Filipski – Górniok, Zdzisław Maklakiewicz – Moskała czy Marian Kociniak jako partyzant z AL.

Słońce wschodzi raz na dzień to film nie tylko wyjątkowo piękny, lecz także brutalny w swym wyrazie. Brutalny jak życie i śmierć, które były udziałem polskiej wsi. Bez podkreślenia tego faktu nie można zrozumieć, czym naprawdę była historia i tragedia żołnierzy wyklętych. Wyklętych nie tylko przez Sowietów czy funkcjonariuszy UB, ale często i przez swoich – mieszkańców przyleśnych wsi i przysiółków, które za dokonania leśnych chłopców były pacyfikowane, grabione i puszczane z dymem. Z czasem też chłopi, obciążeni obowiązkowymi dostawami płodów rolnych (które władza ludowa zachowała po Niemcach), byli zbyt biedni, by unieść dodatkowy ciężar wspomagania partyzantki niepodległościowej. Wobec tego partyzanci coraz częściej wymuszali dostawy siłą – zaczęła się szerzyć bandytka. I naj-

zwyczajniej w świecie ludzie mieli już dosyć wojny – chcieli żyć normalnie… To wszystko są oczywistości. Niestety zbyt rzadko przywoływane we współczesnych filmach o żołnierzach wyklętych. *Historia Roja* (2016) i jemu pokrewne dzieła są podobne do tak dziś popularnych rekonstrukcji historycznych, w których słowo „rekonstrukcja” zastępuje nie tylko kontekst historyczny, lecz także wartości artystyczne. Ileż było analogicznych dzieł o „wojnie domowej” kręconych pod auspicjami generała Moczara i jego przybocznych! Dziś te „polityczne rekonstrukcje” są zapomniane. *Historii Roja* nie pomoże żadne zapewnianie, chociażby to, że to film z ducha podobny do *Dzikiej bandy* Sama Peckinpaha. Wolne żarty! *Słońce wschodzi raz na dzień*, półkownik z 1967 roku, nadal pozostaje niedoścignionym wzorem. „Słońce nie zawsze jest słońcem”, tak jak historia nie zawsze jest czarno-biała.

Rozdział XXI

Kubizm ze wsi Sitnica

Wieś Sitnica leżała na uboczu… co tam wieś – cała gmina Biecz leżała na uboczu toczącej się II wojny światowej. W czasie poprzedniej wielkiej wojny było inaczej, gdy w maju 1915 roku miejscowości wokół Gorlic i samo miasto objęła straszna bitwa. Wtedy Austriacy i Niemcy raz za razem ścierali się z Rosjanami na bagnety i szable, a artylerie obu stron zapalały zagrody jedna po drugiej. W 1939 roku front ominął tę okolicę szerokim łukiem tak szybko, że zanim zmobilizowani do wojska mężczyźni dotarli do wyznaczonych im oddziałów Armii „Kraków”, ta została już rozbita przez niemiecki blitzkrieg.

Okupacja była związana z trzema plagami: głodem, obowiązkowymi kontyngentami żywności i wywózkami na przymusowe roboty do Rzeszy. W parafii Rozembark, do której należała Sitnica, działała nieliczna konspiracja spod znaku Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej. Jej członkowie długo byli pozbawieni wszelkiej broni palnej, gdyż nie przechodziły tędy żadne oddziały Wojska Polskiego, które po klęsce 1939 roku zakopałyby ją w ziemi, jak to się działo na przykład w Górach Świętokrzyskich. Sytuacja zmieniła się trochę na lepsze, gdy we wsi zatrzymali się własowcy. Za bimber konspiratorzy kupili od nich niemieckiego mausera ze złamaną kolbą, a nawet rosyjski erkaem DP z charaktery-

stycznym talerzowym magazynkiem. Z karabinem nie było większego problemu – siedemnastoletni Jan Brudzisz „Jawor” i starszy Wojciech Knybel, który miał za sobą służbę wojskową w stopniu kaprala, wystrugali nową kolbę i pomalowali czarną farbą, by w nocy nie rzucała się w oczy. Natomiast karabin maszynowy okazał się zepsuty. Miał uszkodzony zabierak podający naboje do komory. Rozebranie talerzowego magazynka poszło im bardzo łatwo, ale po zreperowaniu zbieraka, podczas składania „talerza”, okazało się, iż nie można napiąć sprężyny poruszającej krążek z nabojami. Knybel, mimo że był po przeszkoleniu wojskowym, nie znał się na karabinach maszynowych. Stracili obaj dużo czasu, zanim doszli do tego, w jaki sposób tę sprężynę napiąć.

Do końca wojny podstawowym uzbrojeniem miejscowych partyzantów pozostawały zaostrzone kołki, z którymi chodzili doprowadzać do porządku co gorliwszych kolaborantów. Próby koncentracji oddziałów w ramach akcji „Burza” Niemcy z łatwością stłumili, rozpraszając akowców po okolicznych lasach. Dnia 26 sierpnia 1944 roku, po potyczce z jednym z tarnowskich oddziałów AK, Niemcy na pograniczu Rozembarku, Rzepiennika Suchego i Sitnicy rozstrzelali dziewiętnastu zakładników przywiezionych tu z Jasła.

Do sowieckiej ofensywy w styczniu 1945 roku właściwie nic się tutaj więcej nie wydarzyło. Również po przetoczeniu się frontu instalowanie nowej władzy odbyło się bez większych problemów. Bezpieka aresztowała wprawdzie kilku byłych akowców, jednak większość partyzantów wstąpiła do milicji, a ich główny dowódca na tym terenie – komendant Obwodu AK Gorlice porucznik Mieczysław Przybylski „Michał” – otrzymał, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, od razu awans na kapitana i stanął na czele komisji likwidacyjnej mającej za zadanie „rozładować” miejscowe lasy. Nowa wła-

dza większe trudności miała z własnymi dezerterami i okolicznymi bandytami. Do najtragiczniejszej akcji tego typu doszło 16 maja 1951 roku. Wtedy to oddziały KBW otoczyły w jednym z domów na granicy Rożnowic (tak nazwano Rozembark po wojnie) i Ołpin, w którym ukrywał się dezerter z wojska, rodem z pobliskiego Rzepiennika Suchego, Władysław Niemiec. Żołnierz ten uciekł ze swej jednostki (podobno z kompanii karnej) z karabinem, więc bronił się długo i zaciekle – odrzucał nawet granaty, które „kabewiacy" ciskali mu do okien. Gdy zaczęło zmierzchać, żołnierze użyli amunicji zapalającej i podpalili nie tylko chatę z dezerterem, lecz także sąsiednie. Niemiec zdołał uciec z płonącego domu i strzelając z karabinu, starał się dobiec do lasu; już wydawało się, że ten desperacki krok zakończy się sukcesem, kiedy został śmiertelnie trafiony między pierwszymi drzewami.

Innym wrogiem publicznym numer jeden był Cielęcinka z rożnowickiego przysiółka Padoły. Ten „pies wojny" przechodził z oddziału do oddziału – służył w AK, BCh, NSZ i AL na Kielecczyźnie, ale nigdzie nie zagrzał miejsca – jego łotrzykowska dusza była odporna na wojskowy dryl i polityczne idee poszczególnych polskich organizacji podziemnych. Pod koniec przyjechał do rodziny i w niedostępnych, otoczonych błotem Padołach wybudował sobie ziemiankę. Zgromadził w niej wszystko, co było mu potrzebne do przeżycia: bimber, papierosy, dolary, kawior, granaty i erkaem – całkowicie sprawny MG 42, o którym miejscowi konspiratorzy z czasów wojny mogli tylko pomarzyć. Za wrogów uważał wszystkich tych, u których wcześniej służył – bił po równo leśnych i bezpieczniaków. Wreszcie kilka miesięcy po zabiciu szeregowego Niemca, we wrześniu 1951 roku dostał wiązkę granatów od zjednoczonych sił byłych partyzantów

z milicji i żołnierzy KBW – nie było co z niego zbierać i jego maschinengewehra zwanego pieszczotliwie „piłą Hitlera”.

Były to wydarzenia, którymi parafia Rożnowice żyła długo, ale nie wpłynęły one aż tak bardzo na los jej mieszkańców, jak maszyna, którą wojna, a dokładnie sowiecki front pozostawił po sobie w Sitnicy. Gdy rosyjskie czołgi z desantem piechoty na pancerzach przetoczyły się przez okolicę w stronę Tarnowa i Krakowa, w jednym z brzozowych zagajników na granicy Sitnicy i Rożnowic, nieopodal wzgórza zwanego tutaj powszechnie Wyspą, chłopi znaleźli zupełnie sprawny T-70, czyli słabo opancerzony dwuosobowy lekki czołg ze swą czterdziestopięciomilimetrową armatą zdatny jedynie do akcji zwiadowczych. W porównaniu ze swym sławnym „bratem” T-34 nie imponował Niemcom, ale do zwiadu i ataków z zaskoczenia wystarczał – zwłaszcza że wróg posiadał coraz mniej własnej broni pancernej. Co się stało, że załoga porzuciła sprawny czołg? Wokół nie widać było żadnych śladów walki; czyżby jej członkowie zdezerterowali? Z frontowych żołnierzy woleli zmienić się w maruderów lub po prostu wybrali „wolność”? Nie wiadomo, bo nigdy nikt nie trafił na ich ślad. Prawdą jest też, że chłopi nie zaprzątali sobie tym zbytnio głowy – dla nich najistotniejsza była niespodziewana zdobycz – stalowe płyty, koła, gąsienice, narzędzia w skrzyniach, benzyna, mniej amunicja do armaty i diegtiariow (ale to można było później sprzedać). Trzeba było działać szybko, bo po czołg mogli wrócić Sowieci albo przejąć go i zabezpieczyć dla Sowietów mogli milicjanci. Całą akcją pokierowali zawezwani z Sitnicy i Rożnowic kowale – Paweł Guzik i Julian Wałęga. Mimo że nie mieli ani palników acetylowych, ani spawarek, za pomocą swoich kowalskich narzędzi – młotów i obcęgów – rozebrali sprawnie stalowego potwora do ostatniej śrubki i nitu. Wiele gospodarstw Sitnicy w jednej chwili doświadczyło

skoku cywilizacyjnego – pługi, brony i motyki ze stali z charkowskiej fabryki czołgów spulchniały sitnicką ziemię jeszcze wiele lat po wojnie. A pamięć o czołgu zmieniła się w legendę. Tym bardziej że reforma rolna nie miała tutaj większego znaczenia. Dworską ziemię chłopi i koloniści wykupili od ocalałego z rabacji dziedzica za czasów CK Monarchii i tak zażarcie bronili swych najczęściej dwu- lub trzyhektarowych „piasków", że peperowcy ani myśleli o komasacji, nie mówiąc o tworzeniu gospodarstw państwowych czy jakiejkolwiek kolektywizacji.

Dziadkowie pokazywali wnukom magiczne miejsce, w którym znaleziono czołg, a było ono szczególnie urokliwe, bo wyrosły tu przez lata piękne i potężne brzozy. Również zachowane gdzieniegdzie części T-70 były traktowane jak amulety, a dzieci tych, którzy je posiadali, stały wysoko w szkolnej hierarchii. Gdy kowal Wałęga był w dobrym humorze lub gdy dostał od kogoś szczyptę tytoniu do fajki, wyciągał ze schowka kuźni różne części czołgu – karburator, reflektory, tłoki z silnika – i układał je wokół paleniska. Tak w mgnieniu oka powstawała „kubistyczna galeria". Pod koniec życia Julian zaczął z tych części konstruować traktor – tak zwanego sama, ale już tego projektu nie skończył. Synowie nie kontynuowali dzieła – woleli kupić sobie białoruski ciągnik, którego na całym Podkarpaciu i we wschodniej Małopolsce zwie się rusinem i do dziś ceni za prostotę i niezawodność.

Sama brzezina raz jeszcze okazała się cudownym miejscem, gdy pod koniec lat pięćdziesiątych, niedaleko miejsca odnalezienia czołgu, spadł balon meteorologiczny – i kilka dni po tej „bezzałogowej katastrofie" prawie cała wieś paradowała w koszulach z bawełny pierwszej jakości.

Jaki morał płynie z tej opowieści? Mimo upływu lat zmiany ustroju i innych perypetii w Sitnicy wciąż można spotkać lu-

dzi, którzy czekają na kolejny cud w brzezinie koło Wyspy.

Rozdział XXII

Jak Janko Muzykant został wampirem

A kto umarł, ten nie żyje.
Franciszek „Franz” Maurer, *Psy*, reż. Władysław Pasikowski

Dwóch artystów totalnych straszyło mnie w mych dziecinnych koszmarach: ożywione kukły Tadeusza Kantora i Władysława Hasiora były skuteczniejsze od potworów z amerykańskich horrorów, które oglądałem w kinie nocnym. Przy tym stwory Hasiora straszyły mocniej od umarłej klasy, bo w moich snach przybywały na płonących rumakach. Dorosłość oswoiła intelektualne wizje teatru Cricot 2, ale Hasior od czasu do czasu niespodzianie atakował podświadomość, w której zamieszkał w moim dzieciństwie. Jego demony lepione z „ludowego bestiariusza” spod Nowego Sącza lub Zakopanego potrafiły przebić się przez moją osłonę racjonalności i wywołać niepokój – jego sztuka we mnie żyje, bo znam jej korzenie: moja rodzina, podobnie jak Hasiora, pochodzi spod Nowego Sącza…

Hasior, pytany o swe wzorce artystyczne, odpowiadał: „Nie mam patrona w żadnym artyście. Moje majsterkowanie miało swe źródła w zdolnościach Janka Muzykanta”[1]. Po wizycie w miejskiej galerii w Monachium w swym *Dzien-*

niku podróży pisanym w czasie jazdy motocyklem z Zakopanego do Francji i Włoch, 1.XI.1959–20.IV.1960 zapisał:

> Po obejrzeniu sztuki meksykańskiej i australijskiej poczułem się wypoczęty i zrozumiałem, że czerpanie siły twórczej klasyków współczesnej sztuki z dorobków ludów prymitywnych to nie jest bezkrytyczne uleganie urokom ich rzeźby czy malarstwa, ale świadome uznanie, że ludy te są w posiadaniu czystych środków plastycznych, znaków mocnych jak dynamit[2].

Swój dynamit Władysław Hasior odnalazł w sztuce ludowej, ale nie tej kojarzonej dziś powszechnie z cepelią, lecz pierwotnej, połączonej z nędzną i brutalną egzystencją góralskich wsi, jakiej sam doświadczył w dzieciństwie. On swój „kubizm, taszyzm i pop-art” oparł nie na afrykańskich fetyszach czy maskach, jak robił to Picasso, lecz na prymitywnych góralskich świątkach i malowidłach. Doszedł w swych poszukiwaniach daleko, bo pokazał, jak chrześcijaństwo nasiąkło pierwotnymi obyczajami naszych przodków, mimo że ich chrzest (a być może właśnie dzięki temu) był aktem przemocy…

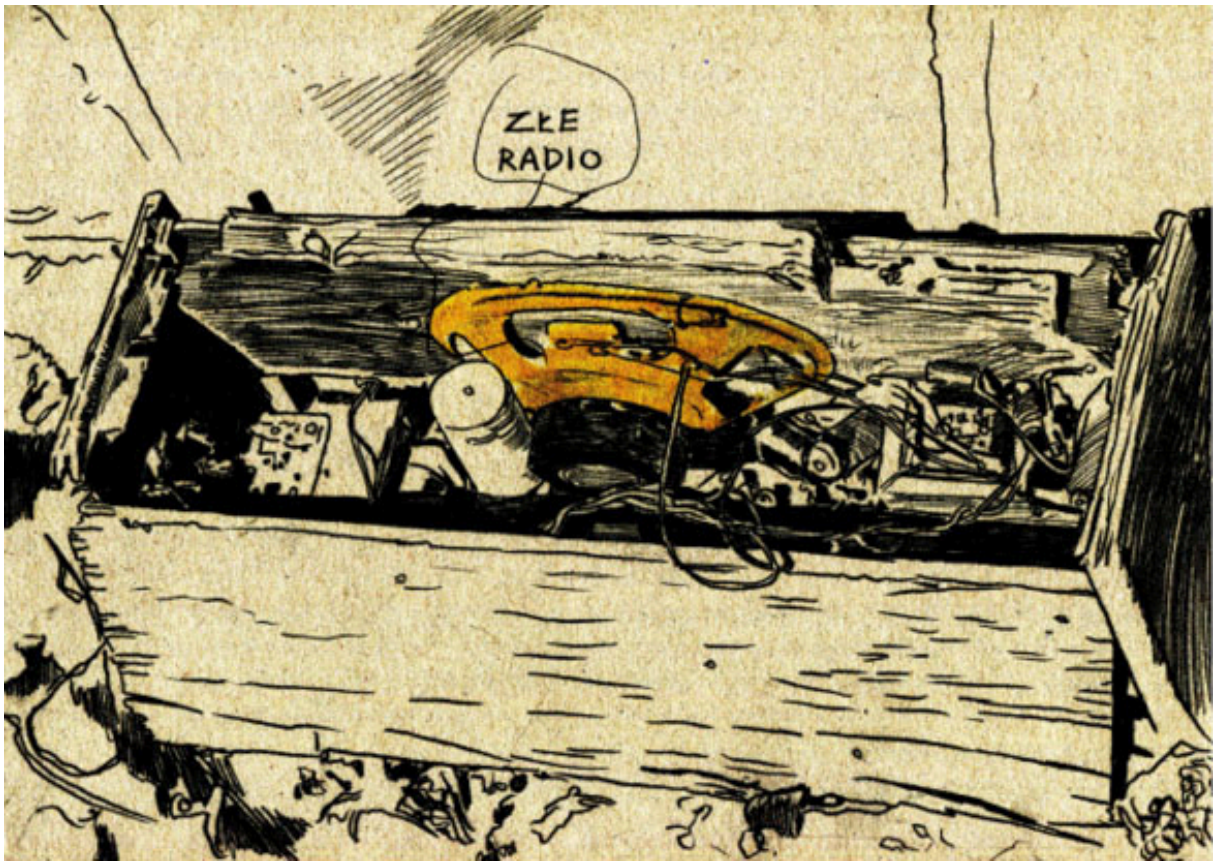

„Pogański kraj, pogańskie obyczaje” – mówił o Królestwie Polskim poseł zakonny w *Krzyżakach*. W filmie Aleksandra Forda był to wyraz pogardy wobec fałszywych chrześcijan, za jakich Krzyżacy uważali Polaków i Litwinów. To zdanie pasuje jak ulał do twórczości Hasiora; pewnego wiosennego dnia 1973 roku artysta wypisał je na swych sztandarach. Niespodziewanie dla niego władze sadowniczej gminy Łącko poprosiły go, aby wystawą swych prac uświetnił festyn zwany Świętem Kwitnącej Jabłoni, który co rok symbolicznie otwierał sezon sadowniczy. Awangardowa sztuka miała zawitać na ludowy festyn, na którym kosztowano słynną na cały kraj łącką śliwowicę przy wtórze folklorystycznych kapel. Sam Hasior wyrażał wątpliwości:

> Ogromnie się boję tzw. happeningu, bo bardzo nie gustuję w tej metodzie demonstrowania pomysłów. Myślę, że dla wielu będzie

> to tylko atrakcyjne widowisko, trochę dziwne i niezwyczajne. Dla innych może to będzie bezinteresowny akt demonstrowania jakiejś urody. Chciałbym, żeby to po prostu się ludziom podobało[3].

Artysta asekurował się, bo postanowił dokonać czynu groźnego. Kto nie był w Łącku i nie poznał głębokiej religijności i konserwatyzmu łąckich górali, ten nie wyczuje kontekstu, oglądając fotografie i fotoreportaże z tego niepowtarzalnego święta. Hasior wyposażył miejscową drużynę Ochotniczej Straży Pożarnej w swe sztandary i sam na jej czele, w paradnym mundurze i błyszczącym kasku na głowie, poprowadził ją w uroczystej procesji. Sztandary Hasiora były bluźniercze i prześmiewcze. Tworząc je, odwoływał się do najtrwalszych pokładów polskiej pamięci; mieszał bojowe proporce husarii z kościelnymi chorągwiami żałobnymi, sarmackie kontusze zszywał z sakralnymi szatami, a świętą Madonnę ubrał w sutannę…

Jak sam przyznał, tworząc swe sztandary, na początku chciał drwić poprzez:

> […] zdezynfekowanie wiary, jaką nosimy w sobie […]. Ale one się drwinie opierają. Po jakiejś liczbie sztandarów zauważyłem, że mi się nie udaje zrealizować początkowej intencji zadrwienia ze sztandaru. Dziś dochodzę do przekonania, że sztandary są cudowne, natomiast ewentualna nieobecność ideałów i haseł wypisanych na sztandarach nie jest winą samych sztandarów, które nawet zwinięte pozostają cenną wartością[4].

Gdy strażacy obnieśli sztandary pośród ukwieconych jabłoni, łąk umajonych i tłumu górali, „artysta dowódca” polecił im zatknąć je wokół ustawionej dla muzykantów i oficjalnych mówców estrady. I tak powiewały w centrum ludycznej zabawy aż do późnej nocy… Po imprezie dziennikarze w swych oficjalnych relacjach podkreślali, że Hasior dzięki temu wskazał „bezpośrednie korzenie swej sztuki”, i dziękowali organizatorom imprezy za umożliwienie mu tego…

No właśnie, czego? Bo jeśli nie była to drwina z tradycji, od czego sam artysta się odżegnywał, to wskazanie ludowych korzeni twórczości Hasiora przybrało jedną jedyną formę – czarnej mszy. Góralscy strażacy ponieśli nad swymi głowami demony i nieświadomie wzniecili pożar – gdyż „Janko Muzykant", pogardzane dziecko „komornicy" z Krasnego Potockiego, wygnane z domu przez złego ojczyma i na szczęście dla siebie przygarnięte przez bogatą protektorkę Marię Butscherową-Długopolską, która dojrzała w nim kandydata na artystę i wysłała do szkoły artystycznej w Zakopanem prowadzonej przez wybitnego profesora Antoniego Kenara. Dzięki szczęściu, talentowi i pracy Władysław Hasior osiągnął szczyty artystycznej kariery, ale – tu zgoda z dziennikarzami opisującymi łącki festyn – tworzył swe dzieła, czerpiąc z korzeni Janka Muzykanta, który zmienił się w wampira.

Po roku 1989 Władysław Hasior został oskarżony o flirt z władzą ludową, między innymi o stawianie pomników utrwalaczy tej władzy na Podhalu i w innych miejscach Polski, co było „zbrodnią" tym większą, że okazywały się one prawdziwymi dziełami sztuki, jak słynne *Organy* na przełęczy Snozka w Kluszkowcach. Te oskarżenia zepchnęły twórczość Hasiora w cień, ale jego adwersarze zbyt wcześnie odtrąbili zwycięstwo. Wszak dla wampira nie promienie słońca, a cień i mrok są źródłem siły; jego rumaki, ptaki i demony z kosami na sztorc zamiast rogów przy głowach tlą się w tym mroku niepamięci i czekają, aż wiatr (historii) zawieje… Wampir ma wyostrzoną intuicję… Hasior, jak wspomina, *Organy* wymarzył sobie już jako mały chłopiec. Biegając po otaczających Stary Sącz wzgórzach, umyślił sobie pomnik, który gra. Po latach, w 1966 roku, ustawił na Snozce wielkie smocze zęby, które wgryzały się w podhalańskie niebo. Ludzie bez wyobraźni śmiali się, że pomnik

miał „wydawać dzwięki”, że wiatr miał w nim grać, że miała być harmonia gwiazd… Nic nie słyszeli, lecz czy obraz Vincenta van Gogha *Gwieździsta noc* wydaje dźwięki? A przecież harmonia gwiazd przenosi w nim widza w inne wymiary czasoprzestrzeni!

Działacze partyjni przytwierdzili do konstrukcji Hasiora tablicę informującą, że pomnik poświęcony jest tym, którzy zginęli za wprowadzanie na Podhalu komunizmu; dekomunizatorzy okrzyknęli w wolnej Polsce, że to ubecki postument, i zażądali demontażu. Sam artysta bronił się, mówiąc, że chciał uczcić wszystkie ofiary bratobójczych walk, ale to nie był dla nich żaden argument – „krwi patriotów nie można mieszać z krwią zaprzańców!”[5]. Tablicę ściągnięto, ale ku niezadowoleniu dekomunizatorów pomnik pozostał, gdyż jego „walory artystyczne były zbyt duże”[6]. Jednak nie tylko „walory artystyczne” tutaj zdecydowały. Okazało się, że i mieszkańcy wsi, na terenie której pomnik stoi, są za pozostawieniem rzeźby na swoim miejscu. W Kluszkowcach mieszkał „dobry socjał” Jan Lach – przedwojenny pepesowiec, który bronił okolicznych robotników i pracowników sezonowych przed wyzyskiem. Po wojnie zamordowali go partyzanci porucznika Józefa Kurasia „Ognia”, gwałcąc wcześniej na jego oczach trzy córki… Mieszkańcy, niezależnie od oficjalnych upamiętnień, ten pomnik dedykowali właśnie jemu. Hasior, wybierając miejsce dla postumentu, nic o tym nie wiedział. I tak „smocze” *Organy* pozostają wymownym dowodem, że historia składa się z niuansów, często bolesnych i nieprzystających do siebie.

Impulsem do napisania tego rozdziału była wizyta w bibliotece, w której na jednej z półek znalazłem zakurzony album poświęcony twórczości Władysława Hasiora. Gdy go wypożyczałem, bibliotekarka z uśmiechem powiedziała mi: „No wreszcie ktoś się zlitował nad tą książką i ją wziął”. Otwo-

rzyłem ją za pierwszym razem na stronie z reprodukcją zdjęcia Hasiora w pracowni z 1961 roku. Na ścianie za nim wiszą jego rzeźby oraz dwa zdjęcia – na jednym jest ładna dziewczyna, na drugim Ernest Hemingway. To dużo tłumaczy; wampir Janko Muzykant pozostaje niezwyciężony.

Rozdział XXIII

Ostatni husarz w Paryżu

Wiesław Dymny stworzył we *Wszystko na sprzedaż* Andrzeja Wajdy niewielką, ale niezapomnianą rolę technika filmowego, który do kożucha ma przypięte na plecach husarskie skrzydła. Na planie historycznego filmu w siarczystym mrozie technik streszcza reżyserowi (Andrzej Łapicki) poszukującemu swego aktora scenariusz napisany przez zaginionego. Aktor pisał go w mansardzie, którą wynajmował razem z technikiem w czasie pobytu w Paryżu. *Wszystko na sprzedaż* to filmowe pożegnanie ze zmarłym tragicznie Zbigniewem Cybulskim.

Opowieść technika jest bardzo zabawna i bliska prawdy, bo Cybulski rzeczywiście przez pewien czas mieszkał w Paryżu, ale przyjrzyjmy się najpierw dziwnemu kostiumowi Wiesława Dymnego. Następne kadry ujawniają nam, że scena z reżyserem i technikiem rozgrywa się na planie *Pana Wołodyjowskiego* Jerzego Hoffmana, a więc przez moment to film w filmie. Szybko też dowiadujemy się, do czego służą skrzydła husarskie na plecach technika. Po skończonej rozmowie z reżyserem widzimy, jak biega on w kółko przed kamerą, a ta rejestruje furkot husarskich skrzydeł – to zbliżenie będzie później wmontowane w scenę husarskiej szarży i posłuży do podkreślenia efektu grozy, jaki wśród nieprzyjaciół wywoływał szum tysięcy skrzydeł naszej galopującej

ciężkozbrojnej jazdy. Ale widząc drobną postać Wiesława Dymnego dyszącego i uginającego się pod ciężkim „pióropuszem” na plecach, śmiejemy się z własnego zauroczenia obrazem siedemnastowiecznej bitwy. I przypominamy sobie, że ta sama husaria, która tak wyraziście symbolizowała potęgę Rzeczypospolitej, stała się także symbolem jej upadku – sprowadzona do roli asysty na magnackich i szlacheckich pogrzebach w XVIII wieku, rozśmieszała cudzoziemskich podróżników i wojskowych, którzy stawiali ją za przykład całkowitego upadku sztuki wojskowej w Polsce. Przez pióra i zbroje, które już nie chroniły przed kulami coraz nowocześniejszej broni palnej, staliśmy się „Irokezami Europy”… Scena z technikiem zmusza też do zastanowienia się nad sensem zbytniego rozpamiętywania minionej wielkości, które zmienia historię w karykaturę i fałsz. Scena ta jest kamykiem wrzuconym przez Andrzeja Wajdę do własnego ogródka – tak zwanej szkoły polskiej. Bohaterowie jej filmów mniej lub bardziej świadomie są zapętleni w to rozpamiętywanie, które w konfrontacji z rzeczywistością kończy się często tragicznie, na przykład śmiercią na wysypisku śmieci…

Zostawmy na chwilę ten chocholi taniec technika filmowego i wróćmy do jego relacji o niezrealizowanym scenariuszu aktora. To oczywiście opowieść o miłości. Miłości w Paryżu. Mało znany aktor z Polski stara się zwrócić na siebie uwagę pięknej paryżanki… Rzeczywistość w Paryżu nie była aż tak romantyczna, acz niepozbawiona kolorytu. Zbigniew Cybulski z Bogumiłem Kobielą przybyli do stolicy Francji jako stypendyści i podobno już pierwszego wieczoru wydali w paryskich lokalach całe stypendium. Aby zostać w Paryżu przez ustalony czas, zmuszeni byli podjąć jakąś pracę. Zatrudnili się w wytwórni sztucznych kwiatów. Kobiela wycinał je z papieru, a Cybulski – jako bardziej „reprezentacyjny” – roznosił pod wskazane adresy. Wręczając je klientom, prezentował swój zniewalający, szeroki uśmiech. Niestety najczęściej odbiorcami kwiatów byli bliscy jakiegoś zmarłego,

na którego pogrzeb owe kwiaty były zamawiane. Żałobnicy nie mogli pojąć, czemu posłaniec promienieje, zamiast współczuć, i po licznych skargach Cybulski tę posadę stracił. Był wtedy jeszcze przed swoją życiową rolą młodego konspiratora, który ukrywa zmęczone oczy za szkłami czarnych okularów.

Rola akowca Maćka Chełmickiego w *Popiele i diamencie* była tak sugestywna, że publiczność od razu postawiła znak równości między nim a grającym go Zbigniewem Cybulskim. Aktor ucieleśnił mit o dzielnym powstańcu i niezłomnym żołnierzu podziemia, który nie zgadza się na wprowadzoną na sowieckich bagnetach nową rzeczywistość. I choć nie był w tym filmie buntownikiem bez powodu, szybko zaczęto utożsamiać go z Jamesem Deanem. Kobiety za nim szalały, a prawie każdy mężczyzna chciał się z nim napić i odegrać słynną scenę z zapalonym spirytusem w hotelowym barze… Cybulski, jak James Dean, stał się szybko ofiarą własnego sukcesu, ale w wersji *made in Poland* było to znacznie bardziej tragikomiczne, a przez to boleśniejsze – przypięto mu do jego amerykańskiej wojskowej kurtki z demobilu husarskie skrzydła i zawołano w pijackim zwidzie: „W Polskę idziemy!”. Cybulski bronił się nowymi rolami, które były zaprzeczeniem kreacji z *Popiołu i diamentu*. Zagrał znakomicie Alfonsa van Wordena w *Rękopisie znalezionym w Saragossie* Wojciecha Hasa. Ale nawet ucieczka w tak odmienną rolę w adaptacji powieści szkatułkowej Jana Potockiego nie mogła go już uratować. Aktor stał się jeszcze jednym „zużytym” bohaterem znad Wisły – cmentarnym husarzem. Jak wspomina Daniel Olbrychski (którego zresztą Wajda we *Wszystko na sprzedaż* namaścił na następcę Cybulskiego), gdy pewnego razu spacerowali obaj z Cybulskim po ulicy, podszedł do nich pijaczek i zwrócił się do młodego Olbrychskiego: „Z tobą się chętnie napiję, bo

z tym w okularach już pić nie warto”[1]. Tylko śmierć mogła znowu uczynić z aktora bohatera narodowego. I tak się też stało – nieważne, że była ona wynikiem tragicznego i bezsensownego wypadku pod kołami pociągu na wrocławskim dworcu w styczniowy poranek 1967 roku. Ważne, że znowu zapłonął czysty spirytus na wspomnienie szybkiego końca młodego życia. „Koła pociągu to były tryby tragedii, które wkręciły w siebie tego, o którym była ogólna mowa”[2] – zapisał Edward Stachura na pierwszej stronie *Siekierezady*, gdy bohater powieści Janek Pradera przysłuchuje się w przedziale pociągu dyskusji o wypadku aktora. „Dostał się pod koła, pokatulkało go i kaput”[3], stwierdził krótko któryś z pasażerów Stachurowego pociągu podążającego na antypody powiatowej Polski. Na jednej z imprez mocno pijany Cybulski miał nagle wykrzyknąć do jednego ze współbiesiadników: „Ja jestem odpowiedzialny za Rzeszowskie i Kieleckie, słyszysz? Rozumiesz? Jestem odpowiedzialny za Rzeszowskie. I Kieleckie!”[4]. Zdanie to powtórzył Bogumił Kobiela we *Wszystko na sprzedaż* i mówił dalej do reżysera:

> …wiesz, ja chciałbym się z tego wycofać…, obiecałem ci pomóc, ale coś mi się zdaje w tej chwili, że jest w tym coś niefajnego, wiesz, oglądać te jego prywatne rzeczy jakieś… no, w końcu nie jest najważniejsze, czy nakręcisz, czy nie… Nie wiem, nie wiem, nic… no tłumaczę ci, że nie wiem, stał tu, był, rozpłynął się – nie ma go![5]

Nagle reżyser zauważa, że przy jednym ze stolików siedzi Adam Pawlikowski – grający przyjaciela i przełożonego Maćka Chełmickiego w *Popiele i diamencie*, ale nie podchodzi do niego – na krótko jedynie krzyżują się ich spojrzenia. Najwyraźniej reżyser po rozmowie z Kobielą zrozumiał, że jeśli chce ukończyć swój film, musi zerwać z rozpamiętywaniem, z pogonią za mitem, który choć silniejszy od śmierci,

mnoży jedynie fałszywe tropy. „Taniec” z husarskimi skrzydłami Wiesława Dymnego tylko go w tym później utwierdził.

Dzisiaj, gdy żołnierze wyklęci zostali wprzęgnięci w bezrefleksyjną popkulturę, scena z technikiem filmowym furkocącym husarskimi skrzydłami jest niezłym antidotum na cały ten zgiełk „akademii ku czci”. Wojna deprawuje, a wojna partyzancka deprawuje podwójnie, co opisali dobitnie dwaj byli partyzanci AK – Tadeusz Konwicki i Tadeusz Różewicz w *Rojstach* i *Do piachu*, ale warto na koniec przywołać jeszcze jedno alter ego Maćka Chełmickiego… weterana wojny wietnamskiej Travisa Bickle’a z filmu Martina Scorsese *Taksówkarz*. Scorsese, by wprowadzić Roberta De Niro w rolę zmagającego się z traumami wojennymi byłego *marines*, każe mu analizować kreację Zbigniewa Cybulskiego z *Popiołu i diamentu*. W filmie tym możemy zobaczyć rzeczywistość przefiltrowaną przez umysł „chłopca z lasu” – wyszkolonego w szybkim sięganiu po broń, niewahającego się zabić, targanego sprzecznymi emocjami. W ostatniej scenie *Taksówkarza* De Niro zakłada ciemne okulary.

Zanim w geście naśladownictwa bohaterów niezłomnych założymy czarne okulary, posłuchajmy, jak Wiesław Dymny z husarskimi skrzydłami na plecach opowiadał o miłości w Paryżu, i zobaczmy, jak imitował husarską szarżę:

Jadą husarze od pracy
Z połamanymi skrzydłami,
Które jak garb ogromny
Skrywają pod płaszczami…

A te skrzydła połamane,
Deszczem, ogniem wysmagane,
A te skrzydła jeszcze grają,
Jeszcze polskie pieśni znają.
A te skrzydła jak sztandary
Niepodległej starej wiary,

Jeszcze mają blask, jeszcze mają blask.

A te skrzydła okrwawione,
W tylu bitwach poranione,
Choć zmalały, spopielały,
Jeszcze siły nie straciły,
Jeszcze są jak dawniej były.
Jeszcze skrzydła dawnej chwały
Mogą unieść nas! […][6]

Tak śpiewała Danuta Rinn w nieformalnym hymnie Solidarności z 1989 roku pt. *Polskie skrzydła*, a operator we *Wszystko na sprzedaż* krzyczał do biegającego w kółko Dymnego: „Wyżej, Wiesiek, skrzydła wyżej!”. To cmentarna jest husaria!

Rozdział XXIV

Ballada o rozebranej Polce

W 1974 roku na festiwalu filmowym w Locarno Walerian Borowczyk w towarzystwie aktorki Pascale Christophe zaprezentował swój nowy film *Opowieści niemoralne*. Film wyświetlano pod gołym niebem na gigantycznym ekranie ustawionym na jednym z placów. W upalny wieczór projekcję oglądało kilka tysięcy ludzi. Nagle w połowie emisji zerwała się burza, lunął gwałtowny deszcz. Mimo tego szalejącego żywiołu nikt nie ruszył się z miejsca; nawet kiedy piorun uderzył w wieżę katedry stojącej blisko placu. Nawałnica ustała razem z napisem „koniec” na ekranie. Ludzie niespiesznie rozchodzili się, komentując film. Reżyser wraz z towarzyszką udali się do najbliższego baru. W tłumie klientów siedziało wielu młodych niemieckich filmowców. Jeden z nich – Rainer Werner Fassbinder – z wielkim kuflem piwa w dłoni wykrzyknął w stronę pary: „Borowczyk, dlaczego w twoim filmie nie było męskiego członka w erekcji?”. Na co ten odpowiedział bez wahania: „Był! W tłumie na placu, mimo burzy i piorunów!”[1]. Anegdota ta bardzo szybko znalazła się na łamach wielkich europejskich dzienników, a sam artysta mógł cieszyć się kolejnym sukcesem. Odkąd Borowczyk w 1958 roku osiadł w Paryżu, jego autorskie kino budziło na Zachodzie wielkie zainteresowanie. W latach siedemdziesiątych był już uważany za klasyka kina

artystycznego, a głównym motywem jego filmów była erotyka przenikająca wszystkie ludzkie poczynania.

Rok po tych wydarzeniach Walerian Borowczyk przyjechał do Polski, by rozpocząć zdjęcia do filmu opartego na głośnej i obrazoburczej powieści Stefana Żeromskiego *Dzieje grzechu.* Wydana w 1907 roku erotyczno-kryminalna historia kobiety upadłej – Ewy Pobratyńskiej – wywołała wśród krytyków burzę. Autorowi zarzucano niemoralność, brak smaku, naruszanie obyczajowego tabu i żerowanie na najniższych instynktach czytelników, którzy książkę istotnie kupowali w wielotysięcznych nakładach. Jednak w 1975 roku wydawało się, że te emocje wokół historii nieszczęśliwie zakochanej dziewczyny, której uczucie wykorzystują do swych niecnych planów bandyci, mocno już zbladły. A jednak Walerian Borowczyk swą adaptacją filmową obudził demony na nowo i przekonał się, jak niełatwa i niszcząca może być próba ukazania kobiecej namiętności wobec jej kochanków, prześladowców i… niej samej. Wydaje się w tym przypadku , że nawet grająca rolę Pobratyńskiej Grażyna Długołęcka przeniosła konflikty swej postaci poza kamerę i plan filmowy. Być może młoda aktorka nie była do końca przygotowana psychicznie do tylu scen, w których musiała ukazać, jak namiętność, pożądanie i zapamiętanie się w miłości doprowadza jej bohaterkę do pasma tragedii. Nasuwa się tutaj analogia z *Ostatnim tangiem w Paryżu*. Odtwórczyni głównej roli kobiecej, Maria Schneider, wspominała traumę po pracy nad tym filmem, a Marlona Brando oskarżyła o gwałt. Długołęcka w jednym z wywiadów wyznała:

> Wychowywana przez siostry urszulanki, miałam mentalność zakonnicy i żyłam ze ściśniętymi nogami. Rozkładanie ich na planie w obecności reżysera niszczyło wszystko, co było we mnie czyste. Sprowokowana przez reżysera, wywalałam bebechy i za to płaciłam. Miałam bardzo zazdrosnego chłopca. Byłam po raz pierwszy

zakochana. Udręka z planu dopełniała się w domu. Mój chłopak „spowiadał” mnie słowem i czynem z tego, co musiałam w filmie zagrać. Brakowało mi rutyny i rzemiosła[2].

Po latach Borowczyk bardzo emocjonalnie reagował na te słowa, tym bardziej że aktorka oskarżyła swego filmowego partnera, Romana Wilhelmiego, grającego jej oprawcę-kochanka Antoniego Pochronia, o to, że w jednej ze scen „zamiast pchnąć mnie na łóżko, trafił pięścią w twarz, łamiąc mi nos”[3]. Reżyser z kolei dowodził, że kontuzja nie była wynikiem nieuwagi Wilhelmiego, lecz skutkiem pobicia przez zazdrosnego chłopaka.

Po latach trudno rozsądzić, jak było, ale atmosfera na planie musiała być napięta, jeśli grał na nim równy geniuszowi i temperamentowi Klausa Kinskiego Roman Wilhelmi. Jak

podkreśla Borowczyk, gdyby nie gra Wilhelmiego, *Dzieje grzechu* nie byłyby tak drapieżnym filmem. Pochroń w jego kreacji to nie zwyczajny szubrawiec.

> Kiedy na pytanie Ewy – pisze Borowczyk – „To wy chcecie zabić Łukasza?" Pochroń odpowiada: „Niespecjalnie", w Romanie Wilhelmim był „diabeł i anioł". Kiedy potrącił niechcący mijanego człowieka i go przeprosił mówiąc „Szkodzi nic" – był w nim „diabeł i anioł"[4].

Reżyser podkreśla przy tym, jak bardzo Wilhelmi zwracał uwagę na każdy szczegół. Już w czasie pierwszego spotkania zapytał, czy Borowczyk nie będzie miał nic przeciw, jeśli pokaże mu marynarkę, w której chciałby zagrać choć jedną scenę. Była to marynarka z przesadnie szerokimi wyłogami. „Pragnieniem moim – podkreślał aktor – jest w niej wystąpić jako elegancki Pochroń"[5]. Już po emisji filmu Roman Wilhelmi prosił reżysera, by dla niego i Marka Walczewskiego, który grał wspólnika Pochronia – Płazę-Spławskiego, nakręcił serię filmów, w których ich tandem mógłby kontynuować losy tej pary „prawdziwych stworzeń ludzkich"[6]. Niestety, Borowczyk z żalem przyznał później, że nigdy nie udało mu się zrealizować tego pomysłu. W pewnym sensie Roman Wilhelmi urzeczywistnił go w serialu z 1980 roku *Kariera Nikodema Dyzmy*.

Dzieje grzechu pomimo otoczki skandalu, ale też dzięki niej, odniosły w Polsce wielki sukces. Tylko w ciągu pierwszych dwóch tygodni emisji film obejrzało ponad milion osób. Rodzimi krytycy podkreślali, że Borowczyk w porównaniu z literackim oryginałem przesunął akcenty, które determinowały życie Ewy Pobratyńskiej. W książce Żeromskiego Ewa to początkowo niewinna idealistka o urodzie anioła, której nie może się oprzeć żaden mężczyzna. Grzeszna miłość do żonatego Łukasza Niepołomskiego determinuje i niszczy jej życie. Zawód miłosny powoduje, że –

jak to ujął pisarz – „dusza jej szatanieje”[7], a Ewa staje się prostytutką i wspólniczką bandytów. Dopiero ofiara śmierci w obronie wciąż kochanego Łukasza wyzwala ją z okowów zbrodni. W filmie Borowczyka Ewa także jest idealistką i mimo złamanego życia pozostaje nią do końca. Jej dusza wcale nie zszataniała, tylko jest bezbronna wobec ślepego losu i złych ludzi. A jednak Ewa walczy, broni się, jak może, nawet na samym dnie upadku chce wierzyć, że istnieje Bóg, a jej uczucie pochodzi właśnie od Niego… Tylko że Bóg milczy, a „szatani” – Pochroń i Płaza-Spławski – nie są żadnymi duchami, lecz ludźmi żądnymi bogactw. Naiwna i namiętna Ewa staje się w ich rękach dosłownie śmiercionośną bronią. Paradoksalnie tylko Pochroń w pełni zobaczył, jak wrażliwa jest ta „kurwa”.

Czy Borowczyk istotnie „zgubił” ducha powieści Żeromskiego? Wręcz przeciwne zdanie do polskich krytyków mieli recenzenci na Zachodzie. Na przykład włoski krytyk Lino Maccichè na łamach „Avanti” pisał: „Borowczyk, trzymając się ściśle tekstu Żeromskiego, stworzył płomienny melodramat utrzymany w stałym *crescendo*”. Czy zarzut dotyczący odejścia od ducha powieści nie był w istocie oskarżeniem o uwypuklenie jej wątków erotycznych? Wątki te u Borowczyka akcentują kolejne metamorfozy i etapy życia bohaterki. Wystarczy poczytać pamiętniki Żeromskiego, by dojść do wniosku, że adaptacja jego dzieła przez Borowczyka mogłaby mu się podobać.

Wszyscy podkreślali walory plastyczne dzieła – Borowczyk raz jeszcze objawił się jako wyrafinowany malarz, którego „rękę zidentyfikować można po jednym kadrze, tak jak poznaje się Picassa czy Magritte’a”[8] – zachwycał się po obejrzeniu *Dziejów grzechu* Robert Benayoun w „Le Point”. Nie ma żadnych wątpliwości, że Walerian Borowczyk był wielkim mistrzem obrazu i tym reżyserem, który sztalugi

zamienił na kamerę, by ożywić swe wybitne wizje plastyczne. Jego malarskiemu debiutowi towarzyszyły dramatyczne okoliczności. Pierwszy rysunek opublikował w „Głosie Wielkopolskim” 8 kwietnia 1945 roku. Przedstawiał zwęglone ciała więźniów niemieckiego obozu koncentracyjnego w Żabikowie pod Poznaniem. Esesmani w trakcie ewakuacji obozu około stu pięćdziesięciu niezdolnych do transportu więźniów zamknęli w baraku i spalili żywcem. Wśród przybyłych im na ratunek mieszkańców po wycofaniu się Niemców znalazł się dwudziestodwuletni Borowczyk. Ze zgliszczy niestety nie było już kogo ratować, a młody artysta na kawałku papieru utrwalił ten tragiczny widok. Któryś z redaktorów „Głosu Wielkopolskiego” zobaczył rysunek i opublikował go jako dowód niemieckich zbrodni.

Borowczyk na własne oczy zobaczył skutki totalitaryzmu. Jego pierwszy pełnometrażowy film *Goto – wyspa miłości* z 1968 roku wyraźnie odwołuje się do tych doświadczeń. Trafnie odczytali to dzieło także dyktatorzy od lewa do prawa. Kiedy generał Franco kazał sobie pokazać ten film, by zdecydować, czy obraz może być wyświetlany w Hiszpanii, miał zakrzyknąć z oburzenia: „Jest to film ohydnie antyfaszystowski!” i zakazał jego dystrybucji. Do podobnych wniosków doszedł w Polsce Komitet Centralny PZPR, z tym że dla jego członków był to film ohydnie antykomunistyczny… Nie bez powodu Borowczyk kręcił filmy historyczne, w których miłość i erotyka były jeśli nie głównym, to jednym z głównych motywów sprawczych. Jeżeli nawet jego bohaterowie kończyli źle, to jednak przeważnie jako ludzie wewnętrznie wolni i bardziej świadomi swej roli w historii. W filmach Borowczyka takie role grają przede wszystkim kobiety. To ich emancypacja i wyzwolenie czynią ten świat lepszym, mimo często osobistych ofiar. O tym właśnie traktują wszystkie nowele z *Opowieści niemoralnych*. Kobiety

świadome swej siły i swojego znaczenia stają się groźne dla „męskich” instytucji, a do ataku przystępują różnej maści inkwizytorzy, by oskarżyć je o konszachty z diabłem i czary.

Walerian Borowczyk w wywiadach czy swych książkach niejednokrotnie podkreślał, jakim szczęściem była dla niego praca z wyjątkowymi kobietami. Na kartach jego wspomnień przewijają się między innymi nazwiska Lisbeth Hummel, Palomy Picasso, Sylvii Kristel, Jeannette Isabelle czy jego żony Ligii Borowczyk. Szczególne miejsce zajmuje wśród nich wspomniana na początku Pascale Christophe. W wieku osiemnastu lat Christophe wystąpiła w *Opowieściach niemoralnych* jako paź hrabiny Elżbiety Batory (Paloma Picasso), a w 1979 roku Borowczyk powierzył jej główną rolę Marie w filmie *Heroiny zła*. Trzy lata później wyszła za mąż i zerwała z aktorstwem. Wraz z mężem otworzyła tor wyścigowy dla wrotkarzy. Christophe uwielbiała szybką jazdę na motocyklu i muzykę klasyczną. Obydwie te pasje połączyła dzięki kaskowi motocyklowemu, w który wmontowany miała magnetofon ze słuchawkami. I tak pędziła po autostradach przy dźwiękach muzyki Bacha czy Mozarta.

W 1985 roku Pascale Christophe ukryła się przed rodziną w obskurnym hoteliku w Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu i popełniła samobójstwo, nie wyjaśniwszy motywów tego dramatycznego kroku. Zostawiła męża i dwuletniego synka. O jej śmierci Borowczyk dowiedział się dopiero w latach dziewięćdziesiątych od matki aktorki, która przekazała mu też słowa powtarzane często przez jej córkę: „Jedynie dumna jestem z filmów Waleriana Borowczyka”[9].

Walerian Borowczyk odniósł wielki sukces jako reżyser filmowy, ale nigdy nie zapomniał, że swą karierę rozpoczynał jako malarz. On także zainteresował Jana Lenicę animacją i razem stworzyli tak wybitne filmy jak *Strip-tease* (1957), *Nagrodzone uczucie* (1957) czy *Dom* (1958). Jednak najdłu-

żej przetrwała jego przyjaźń z Franciszkiem Starowieyskim, który w czasie studiów Borowczyka w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie był o rok niżej. Reżyser wspomina, że Starowieyski był:

> […] niezwykle ambitny i niewyczerpany, co rano przez pół godziny wisiał, uczepiony rękami lub stopami o podest balkonu 4 piętra Domu Akademickiego głową w dół. Nie miał „lęku przepaści". Udowodnił to później, malując, bez rusztowania, na ścianach miejskich budynków o 10 piętrach zaimprowizowane freski, widzami jego byli mieszkańcy miast różnych krajów na całym świecie. Do białego płóciennego kapelusza położonego na chodniku u stóp drabiny wpadały miedziaki[10].

Obaj artyści spotkali się ostatni raz w latach dziewięćdziesiątych na wystawie Starowieyskiego w Instytucie Polskim w Paryżu. Jego rysunki giganty były rozklejone na ścianach sali wystawowej i korytarzach. Niestety, jak wspomina Borowczyk, wystawą prawie nikt się nie interesował. Sam instytut po boomie wywołanym karnawałem Solidarności w latach osiemdziesiątych nie budził już wśród paryżan większego zainteresowania. Byk, jak nazywano Starowieyskiego, niczego nie sprzedał, nie miał żadnej recenzji i ze łzami w oczach przeglądał księgę pamiątkową. Okazało się, że powpisywano do niej same szyderstwa – po polsku i francusku. Borowczyk wyjaśnił mu, że to z pewnością sprawka zawistnych artystów polskich na emigracji. „Zrozumiał, że to dyshonor być dziś Polakiem. Rozmowa była szczera"[11] – podkreślił Borowczyk. Mimo to Starowieyski namawiał przyjaciela, by wrócił do Polski, i – jak twierdzi sam Borowczyk – „zapewniał, że teraz się zmieniło, będę miał swobodę artystyczną. Nie zdawał sobie sprawy, że Inkwizycja Prawicowo-Centralno-Lewicowo-Klerykalna organizuje, w ukrytym gnieździe, wyrok spalenia żywcem na stosie Waleriana Borowczyka"[12].

Starowieyski na pożegnanie wyraził pragnienie zagrania w filmie Borowczyka. Namawiał, by reżyser przeniósł na ekran *Nieznane arcydzieło* Balzaka, a on zagrałby w nim Malarza. „Zapadła zgoda – pisał Borowczyk – lecz Bóg sprawił, że do realizacji tego filmu nie doszło. A może Diabeł tak sprawił? Nie wiadomo, kto patronuje Inkwizycji”[13].

Walerian Borowczyk zmarł 3 lutego 2006 roku. „W 1958 roku wyjechaliśmy [z żoną] do Paryża. Zrealizowałem około 60 filmów, które zdobyły setki nagród na międzynarodowych festiwalach. Teoretycy kina nie wiedzą, do jakiej kategorii zaliczyć filmy Borowczyka”[14]. Spełniony artysta? Niech żyje artysta!

Rozdział XXV

Danse macabre dwóch Eugeniuszów

Są artyści, których twórczość rozbłysła jak kometa wśród migocących gwiazd i zaraz zgasła, pozostawiając ślad w pamięci nielicznych, kilka obrazów pokrytych kurzem w ciemnicach muzealnych magazynów czy reprodukcji w starych książkach na stoiskach bukinistów. Ale jaką radość może przynieść odkrycie takiego „widma komety”, zrozumie ten, kto natrafił przypadkowo, czasami szukając zupełnie czegoś innego, na prace zapomnianego wybitnego (lub zapowiadającego się na wybitnego) artysty. Człowieka, który wbrew wszystkiemu szukał własnej drogi twórczej, a że poniósł klęskę według kryteriów tego świata – nic w tym dziwnego. Oto dwaj tacy artyści, dwaj Eugeniusze, którzy pięknie zatańczyli ze śmiercią.

Malarz Eugeniusz Waleszyński urodził się w Radomiu 2 lutego 1907 roku, lecz całe swoje krótkie dorosłe życie spędził w Lublinie, klepiąc tam straszną biedę, z której dosłownie czerpał swoją sztukę. Akwarele, gwasze, tempery, rzadziej olejne szkice wykonywał na kawałkach tektury lub papieru wygrzebanych w śmietniku. Także tematem jego obrazów – najczęściej martwych natur – było to, co znalazł w koszu lub kontenerze: pudełka po zapałkach, skrawki ga-

zet, puste paczki po papierosach oraz przedmioty codziennego użytku, wśród których królowała szklanka. Czasem dodawał do tego owoce – śliwki, garść wiśni – i własne zużyte przybory malarskie – pędzle, wyciśnięte tuby po farbach. Przedmioty te przedstawiał na rozległych, pustych płaszczyznach w rytmicznym porządku. Pomijał szczegóły malowanych rzeczy, jakby jeszcze bardziej chciał podkreślić, że pochodzą z recyklingu, że zostały wyrzucone. Mocnym, wyraźnym konturem wyodrębniał je i zanurzał w jednolitych pastelowych tonacjach zieleni, błękitów, żółci, a przede wszystkim ulubionych szarości – głębokich, błękitnosrebrzystych. Jego obrazy przywodzą na myśl słowa doktora Gacheta, który na widok obrazów Vincenta van Gogha wykrzyknął: „Prostota – jakie to trudne!”[1].

Nieprzypadkowo też przywołany tutaj został Vincent van Gogh. Waleszyński był do tego stopnia zafascynowany holenderskim mistrzem, że wydawał ostatnie grosze na albumy i książki o nim, a nawet szukał w gazetach reprodukcji jego obrazów i wycinał je. Nie tylko nędzna egzystencja i całkowite oddanie malarstwu ich łączyły, lecz także doświadczenie ciężkiej choroby, która jeszcze bardziej izolowała ich od otoczenia. Azylem Waleszyńskiego było mieszkanie (a zarazem pracownia) całkowicie, prawie po sufit, pokryte skrawkami papieru i tektury – szkicami, obrazami i śmieciami, które służyły jako modele do szkiców i obrazów – zamknięty obiekt, w którym i z którym żył w symbiozie twórca – nieufny i podejrzliwy wobec ludzi, wysoki, mocno zbudowany, śmiertelnie chory mężczyzna.

Eugeniusz Waleszyński zmarł 10 marca 1959 roku, co okazało się po kilku dniach, gdy zaniepokojeni sąsiedzi, zauważywszy, że nie wychodzi z mieszkania, wyważyli drzwi. Artysta nie zostawił po sobie żadnych pamiętników, listów czy notatek; jedynie na skrawkach papieru znaleziono luźne zdania w rodzaju: „Nie maluj przypadkowo ustawionej natury, lecz komponuj obraz”[2]. Po jego śmierci przypomniano sobie, że Waleszyński od 1945 roku był członkiem lubelskiego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków, że czasami brał udział w wystawach okręgowych ZPAP-u w Lublinie, a jego prace wieszano w najbardziej marginesowych miejscach, traktując je jako zapchajdziury. Za życia miał też jedną jedyną wystawę w kawiarni Stowarzyszenia Architektów Polskich w Warszawie, ale ekspozycja nie wzbudziła żadnego zainteresowania. W 1960 roku Muzeum Okręgowe w Lu-

blinie zorganizowało wystawę pośmiertną prac Waleszyńskiego, po której został katalog z kilkoma kolorowymi reprodukcjami – ślad komety.

* * *

Znany lubelski historyk sztuki Ireneusz J. Kamiński w swej książce *Sztuka w labiryncie* tak opisał spotkanie z jednym ze swych znajomych artystów:

> […] w Łukowie, na ławce przy głównym placu miasta siedział Benia: w rozchełstanej koszuli, z rzadka porośnięty, ironicznym zmrużeniem oczu kwitujący to nasze nieoczekiwane spotkanie. Nic go już nie mogło zaskoczyć. Obojętnie wysłuchiwał pouczeń i dobrych rad ludzi najbliższych, z pogardą odnosił się do twórczości rówieśników, którzy zdobyli nazwiska, znak artystycznej jakości, pracownie, mieszkania i pieniądze. Nieraz więc musiał szamotać się z adresatami swoich słów, a był przecież niewielki, chudy, z roku na rok niknący w oczach; prawie nie jadł – początkowo z konieczności, później z nawyku, przekładając nad jedzenie szklankę wina[3].

Malarz i rzeźbiarz Eugeniusz Benia-Wygowski urodził się 25 września 1937 roku w Warszawie i ukończył tamtejszą Akademię Sztuk Pięknych. Niestety, podczas studiów popadł w alkoholizm, który zawładnął nim do tego stopnia, że prawie przestał tworzyć i 23 lipca 1973 roku popełnił samobójstwo. Został pochowany na cmentarzu na warszawskim Bródnie. Krótki i typowy żywot artysty wyklętego wypowiedziany na jednym wydechu. Niewątpliwie Eugeniusz Benia-Wygowski był jednym z niebieskich ptaków PRL-u – jego strój był mieszaniną munduru, uniformu robotnika drogowego i peleryny artysty przełomu XIX i XX wieku – okresu, z którego czerpał pełnymi garściami, budując swój image. A fantazję miał ogromną. Na przykład za pożyczone pieniądze przez tydzień fetował w kawiarni Tip-Top, udając, że

wygrał milion w totka. Oczywiście żaden ze współbiesiadników nie wiedział, że to mistyfikacja. Ostatnie lata życia przesiedział nad szklanką wina u „Hopfera”, stając się atrakcją artystyczną tej winiarni. Wrósł w Krakowskie Przedmieście jak Jan Himilsbach i Maklak (Zdzisław Maklakiewicz) czy Andrzej Partum. Zatracił się w świecie własnych imaginacji, by zrekompensować sobie rozczarowanie, że w tym rzeczywistym nie udało mu się odnieść sukcesu artystycznego, odmienić losu samą pracą, bez zwracania uwagi na środowiskowe układy, prawa rządzące rynkiem sztuki i inne – według niego – nieistotne rzeczy. Jednak zanim to nastąpiło, zanim pogrążył się w samooszukiwaniu i piciu, stworzył dzieło wstrząsająco szczere i prorocze.

Eugeniusz Benia-Wygowski ukończył studia artystyczne z wyróżnieniem w 1971 roku. Otrzymał je za pracę dyplomową, na którą złożyły się wielkie gipsowe odlewy kolegów artystów, żony Marii i jego samego leżących w trumiennych pozach na płytach paździerzowych. Obok postaci artysta ułożył ich ubrania – koszule i spodnie ukształtowane w ludzkie sylwetki, a wszystko pokrył przezroczystą tiulową zasłoną. To nawiązanie do tańca śmierci, trumiennych wizerunków polskiego baroku czy słowiańskich legend o upiorach zawieszonych między życiem a śmiercią, obciążonych balastem doczesności – ubraniami zastępującymi ich cienie. To także wiwisekcja własnego środowiska – tej pozornie beztroskiej, oderwanej od rzeczywistości dnia codziennego cyganerii artystycznej. Jak celnie zauważył Ireneusz J. Kamiński w cytowanej już tutaj książce, to mit, gdyż ta cyganeria:

> Po prawdzie ciężko i po cichu haruje, wątpi w sens sztuki, zadręcza się nawzajem kompleksami, marzy o normalnej sławie, o stypendium Fundacji Kościuszkowskiej. A od czasu do czasu zadziwia ludzi postronnych wiadomością, że ten to a ten heros bojów w stylu Modiglianiego zrezygnował z dalszej zabawy w życie[4].

Tak też się stało z Benią-Wygowskim. Nieprawdą tylko jest, że nie stworzył już niczego interesującego przez alkoholizm, że wypalił się zupełnie tanim winem. Przed śmiercią zdążył jeszcze wyrzeźbić w drewnie piękne szachy. Jak rycerz Antonius Block z *Siódmej pieczęci* rozegrał ostatnią partię i przegrał. Czy zachowały się gdzieś w magazynach akademii lub jakiejś galerii owe gipsowe epitafia – duchy uwięzione w materii?

Rozdział XXVI

Sted – życiorys alternatywny

Drewniana chata kryta strzechą, a w niej rozpalony piec chlebowy, który zadymił całą izbę. Był nieszczelny, bo ze starości wyschła i wypadła glina między kaflami. Matka już dawno nie piekła w nim chleba, kupowało się go w sklepie społemowskim, a na piecu gotowały się ziemniaki dla świń, zabijanych dwa razy w roku na święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy, które z tego powodu były radosne.

Dym gryzł w oczy i gardło, więc mały Sted nie wytrzymał, pozbierał z klepiska swą plastikową wioskę indiańską, do której niedawno dokupił w kiosku Ruchu totem, i dzięki temu jego Indianie otrzymali wreszcie (wizerunek) boga – orła na wysokim słupie rzeźbionym w wykrzywione w dzikim bojowym grymasie twarze wojowników – wzory do naśladowania. Ustawił Apaczów i ich wigwamy (to nie mogli być inni Indianie po lekturze *Winnetou* Karola Maya) w piasku z piaskowców, które tworzyły fundament chaty. Spod brudnej koszulki wyciągnął komiks zakupiony razem z totemem w kiosku, który stał w pobliżu kościoła i robił świątyni skuteczną konkurencję swym zaopatrzeniem w *pulp fiction* o partyzantach i wojnie z UPA, komiksy, żołnierzyki, „Świat Młodych”, popularne, klubowe i sporty oficjalnie kupowane ojcu, by nieoficjalnie palić je nad rzeką obrośniętą wierzbami. Nad rzekę najczęściej szło się zamiast do szkoły – buda

niech zostanie we mgle, na wieczność… A wiekowa była już, ponad stuletnia – pamiętała pańszczyźnianą prehistorię ludowej oświaty.

Zresztą pańszczyzna przetrwała: trzy hektary piasków, które ojciec z uporem dla lepszej sprawy orał, nawoził, bronował i zasiewał, by zbierać minimum lub jeszcze mniej. Do tej beznadziejnej roboty odrywał syna od lektury i Indian, nie wiedząc, nie domyślając się, że to przyszły Sted, który pozna cudowne manowce, Gałązkę Jabłoni i w końcu zostanie człowiekiem-nikt. I trzeba było chodzić za pługiem i krzyczeć do konia zaklęcia: „Hetta, wiśta wio!”, których ich Rosynant nieczęsto słuchał, bo też miał duszę poety! Sted oberwał batem nie raz, nie dwa zamiast szkapy, bo skiba ugoru nie poszła wzdłuż tego, co trzeba południka, uświęconego tradycją i krwawicą przodków kosynierów, co z Kościuszką szli.

I to wszystko, czyli chata zbudowana na sypkim piasku, kryta równie nietrwałą słomą z nieszczelnym piecem w środku, Indianie bliżsi niż koledzy szkolni, komiksy i książki z kiosku, który oferował magię i rozbudzał wyobraźnię bardziej niż wiara katolicka w wydaniu powiatowym, rzeka, las, w którym można było się kryć przed chłoporobotniczym kieratem, dało Stedowi dostęp do całej jaskrawości, której nie imała się polityka władzy z nazwy ludowej i nie ima się polityka władzy z nazwy suwerennej – bo polityka nigdy nie jest ludowa ani suwerenna, czego tłumaczyć nie trzeba było już ani starożytnym Grekom, ani ich adwersarzom, Persom, nazywanym przez tych pierwszych w propagandzie wojennej barbarzyńcami.

Ech, cudne manowce, iść trzeba przed siebie, by wracać do was…

Rozdział XXVII

Strzeżcie się wakacyjnych pociągów

Okładkę książki czytanej przez pasażerkę filmu Jerzego Kawalerowicza *Pociąg* zdobił fragment *Guerniki* Pabla Picassa – przerażona twarz ofiary bombardowania. Tytuł książki: *Śmierć Donkiszota*. Autor: Rudolf Leonhard. Zza okładki spoglądała smutno Marta (Lucyna Winnicka) – tajemnicza kobieta intruz w przedziale Jerzego (Leon Niemczyk). W pociągu ukrywał się też morderca (Roland Głowacki), udając jednego z urlopowiczów jadących nad morze. Gdy morderca został zdemaskowany, pociąg zatrzymał się w szczerym polu i rozpoczął się pościg, który o mało nie skończył się linczem. Milicjanci uratowali mordercę przed ludźmi do niedawna myślącymi tylko o wypoczynku. Pasażerowie powrócili do wagonów; pociąg ruszył dalej. Marta i Jerzy – uczestnicy psychodramy – byli zamknięci w ciasnym przedziale sypialnym. Często widać tylko fragmenty ich twarzy – oczy lub usta zza książki, piętrowego łóżka lub bagaży, albo też ich odbicia w lustrze. Między przypadkowymi współpasażerami zaczęło iskrzyć, ale nie zdecydowali się na romans. Za Martą w tym samym pociągu jechał odrzucony kochanek, Staszek (Zbigniew Cybulski). Nic nie wskórał, choć błagał ją o powrót, a nawet groził, że wykolei pociąg. Marta

powtórzyła: „nie”. Jerzy to lekarz obwiniający się o śmierć pacjenta; pod koniec podróży okazuje się, że na ostatniej stacji czekała na niego żona. Rankiem pociąg zatrzymał się na Helu i pasażerowie opuścili przedziały. W pustym wagonie została tylko Marta. Podeszła do niej konduktorka (Helena Dąbrowska), która wyrwała ją z zamyślenia. Marta zaczęła się tłumaczyć, że szuka zgubionej bransoletki, chociaż miała ją na ręce. Konduktorka odpowiedziała jej życzliwie: „Ale miałyśmy noc! Tak prędko jej nie zapomnimy”. Marta za te z pozoru nieistotne słowa z wdzięczności ucałowała konduktorkę na pożegnanie.

Pociąg Kawalerowicza to film – zgodnie ze słowami samego reżysera – o traumach, niekoniecznie miłosnych. Film nakręcono w 1959 roku i motyw doświadczeń wojennych pasażerów jest w nim bardzo wyraźny (na przykład jeden z pasażerów to były więzień Auschwitz). Stąd też w pierwszych scenach filmu w dłoniach Marty wzięła się *Śmierć Donkiszota* Leonharda z reprodukcją *Guerniki*. Picasso był ówczesnym symbolem nowoczesności, także sposób filmowania *Pociągu* był nowatorski. A jednak ten pociąg nie jechał w stronę przyszłości. Picasso mimo deklarowanej no-

woczesności nie mógł i nie chciał oderwać się od hiszpańskiej tradycji oraz historii naznaczonej krwawymi konfliktami. (Dziś budziłby zgorszenie swym zamiłowaniem do korridy.) Także sfilmowany przez Kawalerowicza wakacyjny kurs Warszawa – Hel nie wymazał wśród jego uczestników traumatycznych wspomnień ani nie miał wpływu na dawno podjęte decyzje. Wręcz przeciwnie – był wypełniony duchami, a raczej polskimi demonami. Kawalerowicz nakręcił arcydzieło, które dosłownie można nazwać wakacyjnym thrillerem. Wojenną traumą zainfekowani są tutaj również młodzi bohaterowie filmu, którzy w czasie wojny byli dziećmi. Słowa konduktorki wypowiedziane do Marty utwierdzają ją w przekonaniu, że tej nocy nie zapomni nigdy, gdyż zawsze górę nad miłością będzie u niej brał strach. Odrzuciła uczucie Staszka – Cybulskiego, wtedy będącego bożyszczem młodych po roli tragicznego akowca z *Popiołu i diamentu*, więc kontekst jest jeszcze wymowniejszy.

Pociąg, tory, dworce – cała kolejowa infrastruktura w Polsce, oczywiście prócz roli cywilizacyjnej łączącej poszczególne regiony (zabory) kraju w jeden organizm, zyskała w czasie ostatniej wojny jeszcze jedną – tym razem złowieszczą – symbolikę. Okupanci pociągami złożonymi z bydlęcych wagonów masowo wywozili więźniów do obozów koncentracyjnych i łagrów. Z drugiej strony partyzanci wysadzali w powietrze wojskowe, a czasem i pasażerskie składy. Pociąg z filmu Kawalerowicza jechał ich śladem kilkanaście lat po wojnie, a wielu jego pasażerów mimo upływu czasu miało w pamięci więzienne wagony lub było nawet przymusowymi pasażerami, jak cierpiący na bezsenność były więzień Auschwitz.

W 2011 roku na Festiwalu Nowej Sztuki „lAbiRynT”, odbywającym się jednocześnie w Słubicach i Frankfurcie nad Odrą, wyświetlono między innymi film Wolfa Kahlena *Polish*

Love Greens – even in WARS. Na ekranie przez ponad godzinę przesuwał się pas zieleni w rytmie podskakującego i trzęsącego się na torach składu kolejowego. Obraz natychmiast kojarzył się z charakterystycznym odcieniem szyb w starych wagonach, którymi jeździło się w Polsce jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Te zielone szyby nie koiły oczu jak na przykład okulary. Wręcz przeciwnie, czuło się coraz większy niepokój, że ta zieleń uosabia nicość lub wieczność – jak kto woli. Zielony tranzyt z zapadającą w pamięć wokalizą Wandy Warskiej z *Pociągu*.

Jerzy, zgnębiony po nieudanej operacji, zapomniał zabrać bilet. Przekupił więc konduktorkę, która zaoferowała mu miejscówkę w dwuosobowej kuszetce. Chirurg wykupił obydwa miejsca, żeby podróżować nad morze w spokoju i samotnie. Jednak w przedziale nieoczekiwanie natknął się na Martę, która swój bilet kupiła od nieznajomego mężczyzny na dworcu. Po pierwszym zaskoczeniu Marta i Jerzy zamienili się miejscami, co miało konsekwencje w ciągu dalszej podróży. Bohaterowie rozmawiali, kiedy pociąg niespodziewanie zatrzymał się na małej stacji. Do wagonu wsiedli milicjanci poszukujący mordercy. Okazało się, że Jerzy zajmował jego miejsce w przedziale – mundurowi wyprowadzili go jako podejrzanego. Marta pobiegła do konduktorki i powiedziała o zamianie miejsc oraz o tym, że widziała prawdziwego mordercę na korytarzu wagonu. O mordercy dowiedziała się też reszta pasażerów, którzy rzucili się za nim w pościg. Jerzy wrócił do przedziału Marty. Staszek widział, jak Marta i Jerzy rozmawiają – z jego perspektywy byli już kochankami. Poddał się i odszedł… A gdyby został? Gdyby raz jeszcze spróbował przekonać ją, by do niego wróciła? Może poznalibyśmy jej tajemnicę, powód ucieczki na drugi koniec Polski? Może zaczęliby „długie wspólne życie na tle możliwości śmierci”[1], jak pisał Miron Białoszewski w *Pa-*

miętniku z powstania warszawskiego. Być może Staszek poznał Martę także w jakimś pociągu, a patrząc na nią, ułożył sobie taki wiersz:

W przedziale klasy 2
Dziewczyna zdjęła buty i oparła stopy o brzeg fotela

Nieświadomie stała się naga i zasnęła. Sądził, że to wystarczy, żeby zdobyć tę kobietę czytającą jakąś książkę. Nie zwrócił uwagi ani na tytuł, ani na okładkę z *Guernicą* Picassa. Zaprzepaścił swoje szanse i długo rozpamiętywał tę chwilę nad szklanką płonącego spirytusu.

Rozdział XXVIII

Kiedy zło dobrem nagradza

Wierzby. Ich korzenie wiją się jak czarne węże w błotnistych brzegach rzeki, a między nimi nory ryją wodne szczury – piżmaki. Korzenie pompują bagienne soki w próchniejące pnie rozszczepiające się w futurystyczne kształty zwieńczone koronami zielonych witek smagających niebo w życiodajnym widzie. Wierzby. Mieszanina śmierci i życia; *perpetuum mobile* od wieków ogławiane z młodych gałęzi przez ludzi, którzy następnie wyplatali z nich koszyki i które święcili w kościele jako symbol zmartwychwstania, podejrzewając jednocześnie, że wierzba jest domem diabła. Według legend w wierzbowej dziupli mieszkał Rokita – twórca bagiennej mgły, która zasnuwa całą okolicę aż po horyzont. Wówczas, kto odważny, mógł w niej spotkać się z Rokitą i dobić z nim targu: zyskać bogactwo doczesne za jedną drobnostkę – oddanie swej duszy piekłu w wieczne potępienie. Cóż to była za cena wobec perspektywy wyrwania się z koszmaru nędzy i pańszczyzny! Wobec tego niejeden podpisywał diabłu cyrograf, by żyć długo i szczęśliwie, a kiedy przychodził dzień wypełnienia umowy, okazywało się, że łatwo jest się z niej wymigać. Dziesiątki legend opowiadają o tym, jak dzielny Jaś, Michał czy inny Józek przechytrzył Rokitę, który musiał wracać do swej piekielnej wierzby z niczym. Nikt jednak długo nie wpadł na to, że nie

był to przejaw diabelskiej głupoty, lecz diabelskiego współczucia wobec ludzkiej nędzy. Rokita specjalnie odpuszczał swym dłużnikom, by żyli szczęśliwie nadal… na złość swym sąsiadom. Miał z tego większe korzyści niż z niejednej duszy w piekle, bo ludzka zawiść kwitła jak jego wierzba na wiosnę. Jest to więc realizacja klasycznego diabła z *Doktora Fausta* – zgodnie z opisem, że diabeł to ten, który wiecznie zła pragnąc, dobro czyni. Pierwszym, który odkrył tę diabelską tajemnicę, był Szczepan Mucha, gajowy z Szal.

Pewnego dnia sąsiedzi wyrządzili gajowemu straszną krzywdę, więc pomyślał: „Gdy we wsi ludzie są źli, to Pan Bóg nie pomoże, trzeba diabła na pomoc zawezwać i postawić na straży domu – zły złemu nie da rady”[1]. Jak pomyślał, tak zrobił. Otoczył swą zagrodę dwustumetrowym płotem, w którym każda sztacheta zakończona była głową diabła lub jakiegoś nikczemnika. Pod niektórymi głowami wystrugał ich przezwiska: Szpicel, Herod, Drań, Łajdak… Przy wejściu ustawił ponad dwumetrową rzeźbę Straszaka Rokity, a jego pszczelej pasieki zaczęła pilnować jeszcze wyższa, trzymetrowa rzeźba wyobrażająca nagą kobietę – nazwał ją Duchem Pasieki i to był dopiero początek sojuszu gajowego z piekłem…

Szczepan Mucha urodził się 16 grudnia 1908 roku w biednej wielodzietnej rodzinie we wsi Stępień w powiecie sieradzkim. Jego rodzice gospodarowali na sześciu morgach piachu, a do wyżywienia mieli aż dziewięcioro dzieci. Dla Szczepana starczyło pieniędzy na jedynie trzy klasy szkoły powszechnej. Z ożenkiem musiał czekać jak na owe czasy bardzo długo, bo do trzydziestego roku życia, z prozaicznego, a wielce przykrego powodu – jego rodzice nie mieli pieniędzy na wesele. Kiedy je wreszcie uzbierali, ożenił się z córką bogatego gospodarza z Szal. Myślał wtedy, że złapał Pana Boga za nogi, że dzięki temu jego sytuacja się poprawi. Ale żona otrzymała niewielkie wiano, bo rodzeństwa miała jeszcze więcej niż pan młody – jedenaścioro.

Nowożeńcy zamieszkali u teściów w Szalach, a Mucha wrócił do swej ulubionej pracy w lesie. Tutaj od najmłod-

szych lat czuł się najlepiej. Terminował jako robotnik leśny, drwal, wreszcie został pomocnikiem gajowego. Po roku małżeństwa urodził mu się syn, ale szczęście rodzinne przerwał nagle wybuch wojny we wrześniu 1939 roku. Niemcy wywieźli Szczepana Muchę na przymusowe roboty do Rajchu, gdzie pracował u różnych bauerów (bogatych gospodarzy). Po wojnie wrócił do domu i pracy w lesie. W 1958 roku awansował na gajowego i zaczął budowę domu. Wtedy spadło nań nieszczęście, które nim wstrząsnęło i zarazem obudziło w nim artystę. Przez donos zawistnych sąsiadów został aresztowany za kłusownictwo. Milicja znalazła w jego domu zwierzęce skóry i drewno bez kwitów wywozowych z lasu. Starał się to wytłumaczyć, ale nie uwierzono mu. Stanął przed sądem i przesiedział w więzieniu sześć miesięcy. Gdy wyszedł na wolność, nie mógł sobie poradzić z poczuciem krzywdy, nie potrafił wybaczyć sąsiadom – odsądzał ich od czci i wiary; bluźnił. „Zrobiłeś się jak diabeł” – denerwowała się żona. „Diabeł ma swoją sprawiedliwość!” – odpowiadał ze złością i odgrodził się od wsi „diabelskim” płotem. A żeby małżonce udowodnić, że diabeł też ma uczucia, wyrzeźbił go w pozie Chrystusa frasobliwego. Rzeźbienie miało dla niego jeszcze jeden praktyczny cel. Jak sam opowiadał, chciał wszystkie deski i słupy na swojej posesji oznaczyć – przerobić tak, aby już nikt go nie oskarżył, że przywłaszczył sobie jakieś drewno, wywożąc je z lasu.

Ten magiczny krąg miał odstraszyć wrogów od domu i rodziny Szczepana Muchy, ale nie wszystkim jego diabły dały radę. Jak w popularnym przysłowiu: „Gdzie diabeł nie może…”, zamiast odstraszyć, diabły przyciągnęły sąsiadki dewotki, które pastwiły się nad jego żoną, że jej mąż zaprzedał się piekłu. Gajowy wyrzeźbił więc dwóch mężczyzn z potężnymi fallusami i ustawił na środku podwórka. Sąsiadki na widok *Chuliganów*, jak Mucha nazwał nowe rzeź-

by, aż zapowietrzyły się z oburzenia, ale przynajmniej przestały nachodzić jego dom.

Szczepan Mucha przez świat artystyczny został odkryty późno, bo dopiero po czternastu latach wytrwałego rzeźbienia, kiedy miał już sześćdziesiąt cztery lata. W 1972 roku jego rzeźby trafiły na konkurs i wystawę *Rzeźby i zdobnictwo ludowe regionu sieradzkiego* zorganizowane przez muzeum w Sieradzu. Zdobył pierwsze miejsce, a specjaliści byli zachwyceni jego pracami, tak różnymi od figurek pozostałych artystów. Rzeźby, które pokazał, były proste, wręcz prymitywne – ciosane siekierą i piłą w masywnych sosnowych klockach. Tylko niektóre posiadały jeszcze ślady obróbki nożem. Prawie wszystkie przedstawiały masywne stojące lub siedzące postacie ludzkie z dużymi głowami o wyraźnie zarysowanych oczach, nosie i ustach, podkreślonych ponadto czarną, białą i czerwoną farbą. Większość rzeźb była pokryta czarnym pokostem lub same ściemniały na wietrze i deszczu, co potęgowało wrażenie, że to jakieś demony zamknięte zostały w sosnowych klockach. Sugestywne diabły i łotry Muchy szybko zaczęły wędrować po wystawach całego kraju. Rzeźbiarz miał satysfakcję, że miastowi podziwiają i kupują jego dzieła, tym większą, że wiadomości o tych sukcesach dochodziły do sąsiadów w rodzinnych Szalach. Ale i w mieście rzeźby Muchy czasami wywoływały kontrowersje. Gdy w 1974 roku Mucha przywiózł je na Jarmark Płocki, organizatorzy uznali, że są zbyt obsceniczne, i nie pokazali ich publiczności. Zamknięto je w magazynie twarzami do ściany, na wszelki wypadek, by nikogo nie zgorszyły.

Mimo sukcesów artystycznych Szczepan Mucha do końca życia pozostał małomównym i surowym wobec siebie człowiekiem. Nie uważał się za artystę, lecz za „rolnika zżytego z ziemią i lasem”[2]. Rzeźbiarz zmarł 8 lutego 1983 roku

w Szklarskiej Porębie i tam go pochowano. Szczepan Mucha miał dobrą intuicję z diabłem frasobliwym. Przed swą śmiercią ustawił jego figurę pod przydrożną wierzbą. Znowu zgorszył całą wieś, która w tym miejscu widzieć chciała tylko świątka. Ale przecież i Pan Jezus zstąpił na chwilę do piekieł i rozmawiał tam z diabłami. Wcześniej z jednym z nich prowadził dysputę na pustyni, a kilku jego współbraci wypędził z opętanych i chorych. Dobrze więc znał diablą naturę i na pewno nie obraziłby się za ustawienie figury diabła pod wierzbą, gdzie jego miejsce. Zresztą, jak mawiał król Władysław Jagiełło, „diabłu trzeba stawiać ogarek, a Panu Bogu świeczkę". Tak też myślał Szczepan Mucha, którego diabły chroniły przed dwulicowymi sąsiadami.

Trwał stan wojenny, ale na podkarpackiej wsi nie było go prawie widać. Dzieci przed telewizorem zazdrościły rówieśnikom w miastach, że mogą zobaczyć na ulicach prawdziwe czołgi. Czasami któryś z dorosłych zatrudniony w pobliskich zakładach w miasteczku przynosił im do zabawy bibułę z logo Solidarności i wtedy na odwrocie zapewnień o oporze rysowały te wymarzone czołgi widziane w telewizorze. Milicja po staremu odwiedzała okolicę, tylko kiedy dostała donos o nowej bimbrowni. Nie zarekwirowano nawet żadnej broni, której spore ilości wciąż pochowane były pod krokwiami dachów jeszcze od końca wojny. Nauczona doświadczeniem straż pożarna, kiedy przyjeżdżała gasić pożar, zazwyczaj przezornie czekała do momentu, gdy w ogniu wybuchnie cała amunicja. Dopiero wtedy ruszała do ratowania tego, co zostało z budynku.

Wreszcie skończyła się naprawdę ostra zima i z telewizora zniknęły obrazy żołnierzy grzejących się przy koksownikach. W cieplejszym słońcu zaczęły się mecze, zabawy w chowanego, a z cierniowych krzewów „Indianie" wycinali nowe łuki i okuwali swoje strzały blachą z puszek konserwy

turystycznej. Nie zabrakło też czterech pancernych, których „Rudy” zbudowany ze sterty pustaków przetrwał mrozy. Lecz dziecięce manewry zepsute zostały nagle przez niepokojące wieści ze świata, które przynieśli dorośli przed Wielkim Tygodniem. Najpierw ktoś opowiedział, że na niebie ukazał się płonący krzyż. Miało go widzieć kilkoro mieszkańców Binarowej. Prawdziwy strach wyludnił podwórka, gdy pod Gorlicami na wierzbie wyrosła „cudowna huba”. Grzyb przybrał postać głowy Chrystusa w cierniowej koronie. Miejscowe władze, by zapobiec celebracji i nielegalnym zgromadzeniom, wysłały dwa radiowozy milicyjne. Według „naocznych świadków”, kiedy milicjanci dotarli na miejsce, grzyb w kształcie głowy zwrócił na nich swe przerażające oblicze. Z oczu wystrzeliły laserowe promienie, które momentalnie spopieliły milicyjnego gazika, a milicjanci w popłochu uciekli do miasta.

Tylko Fioletowy Mietek śmiał się z tego i mówił dzieciom, by się nie bały, bo to bujdy na resorach. Przydomek „Fioletowy” zdobył dzięki piciu denaturatu, którego kolor przeszedł mu na twarz. Fioletowy Mietek nie był zwykłym pijakiem. Ponoć wcześniej był inżynierem, który budował mosty na Ziemiach Odzyskanych, ale nieszczęśliwa miłość pomieszała mu w głowie i wyzwoliła od wszelkich obowiązków. Złośliwi mówili, że jego chorobę bardziej od alkoholu pogłębił drugi nałóg – czytanie książek, które zostało mu pewnie z obiecującej młodości. Mietek lubił przesiadywać nad rzeką pod wierzbą i z tego powodu też był na cenzurowanym, bo mawiano, że spotyka się tam z diabłem. Pytany o to, nie zaprzeczał, ale i nie mówił o diable tak otwarcie jak Szczepan Mucha. Fioletowy Mietek odpowiadał przypowieściami, bo to był poeta. Kiedy zadawano mu pytania o znajomość z Rokitą pilnującym ponoć skarbów w jednej z wierzb nad Sitniczanką, odpowiadał zawsze tą samą przypowieścią:

„Kiedy byłem w wojsku, młody Cygan sprzedał mi świerszcza w pudełku po zapałkach. «Jak wrócisz do domu, on będzie czekał na ciebie za piecem» – powiedział z uśmiechem. On zrobił dobry interes; ja przeżyłem”. A gdy napił się denaturatu, opowiadał maoryską bajkę. Czemu maoryską? Nie zdradził tego nigdy. Bajka była krótka: „Pewien mężczyzna zabił brata, więc rodzina wydała go policji i kat ściął mu głowę. Odtąd jego czaszka toczyła się mściwie śladami krewnych, aż w końcu zmieniła się w księżyc, który wywołuje tęczę i menstruację u kobiet. Tak zło stało się niejednoznaczne”. A gdy upił się na smutno, wspominał swą nieszczęśliwą miłość i zawodził: „Byłaś tylko cieniem na zasłonie. Ale jakim cieniem!”. Lepiej było nie zbliżać się wtedy do niego… Mawiał później, że znowu nie było jego przyjaciela Rokity w okolicy, więc nie miał go kto upilnować.

Kiedy okolicą zawładnęły opowieści o głowie strzelającej laserowymi promieniami, Fioletowy Mietek śmiał się z tego i przekonywał dzieci, by powróciły do swoich zabaw, bo szkoda wiosny. Dowodził, że Rokita nie pozwoliłby nigdy, by coś takiego pojawiło się na wierzbach – jego drzewach. A i Pan Jezus to nie bohater *Gwiezdnych wojen*! I pewnie w końcu przekonałby dzieci, bo miał wśród nich autorytet, ale wtedy zdarzył się nieszczęśliwy wypadek: Fioletowy Mietek po pijaku utopił się w rzeczce, gdy ją przeskakiwał w drodze do domu pod lasem. Jego ciało dość mocno obgryzione przez szczury wodne znaleziono po kilku dniach. Niektórzy zawyrokowali, że to kara za bezbożność oraz za to, że nie wierzył w objawienie pod Gorlicami i wyśmiewał się z cudownego oblicza Pana w postaci grzyba! Strach złapał dzieci w swe szpony na nowo, a tu jak w kolejce pojawiły się nowe niesamowitości. Po okolicy zaczęła krążyć czarna wołga, a bezgłowe psy i koń z ognistym łbem szalały po nocy. Babka, która odczyniała uroki u ludzi i zwierząt, pew-

nego wieczoru miała spotkać dziwnego pana w długim czarnym płaszczu i kapeluszu na głowie. Niósł dużą walizę i pytał, którędy idzie się do piekła. Babka pomyślała najpierw, że pyta o przysiółek za lasem, który tak właśnie się nazywał, więc wskazała mu drogę w tamtą stronę. Kiedy ruszył, zauważyła, że kuśtyka, a jedna noga zamiast buta kończyła się kopytkiem. Niektóre dzieci przestały na pewien czas chodzić do szkoły. Te, które rodzice jednak tam posyłali, zbierały się w grupy i co chwilę przystawały na drodze, by odmówić cząstkę różańca. Mawiano, że Rokita po śmierci przyjaciela wyprowadził się z wierzby i wrócił do piekła.

Właściwie nie wiadomo dokładnie, jak i kiedy skończyła się psychoza z cudowną hubą. Może przez to, że nikt nadal nie umiał wskazać, na której płaczącej wierzbie pojawiła się ta głowa. Ani jedno dziecko nie zostało porwane przez czarną wołgę, nikt prócz babki nie spotkał diabła. Szeptano, że sama była sobie winna, bo zajmowała się czarami i urokami, lecz tylko szeptano, bo obawiano się jej uroków. Gdy nadeszło lato, wszystko wróciło do tak zwanej normy. Letnie słońce wypaliło strachy; w telewizorze znowu Hans Kloss kiwał Brunnera, a ciepła woda miejscowej rzeczki zapraszała prawie codziennie do zabawy – całkiem niedaleko od miejsca, w którym znaleziono Fioletowego Mietka. Byli też tacy, którzy szukali skarbów po Rokicie, ale przypomniano im, że babka widziała go dźwigającego walizę, więc pewnie wszystko zabrał ze sobą do piekła. A może wcale tam nie wrócił? Może tylko przeniósł się w bardziej spokojne miejsce, na przykład do Bugaja za górą, czyli przysiółka jeszcze bardziej odciętego od świata, lub wyjechał w Bieszczady, by zadać kłam teoriom, że tam mieszkają tylko anioły. Tak czy inaczej, czasy, kiedy diabeł mieszkał w wierzbie i przyjaźnił się z Fioletowym Mietkiem, co ratowało tego nieszczęśliwego człowieka od kompletnego szaleństwa, minęły bezpow-

rotnie. Jakoś też nie wspomina się cudownej huby. Pewnie ze wstydu i ze strachu, czy nie była to czasem robota zła silniejszego od Rokity, nieoswojonego w legendach ludowych. To mógł być potężniejszy szatan – diabeł prowokator, którego zdemaskował w swym filmie *Diabeł* Andrzej Żuławski. Diabeł Żuławskiego nie rozdaje pieniędzy, lecz brzytwy, i szepcze do ucha: „Idź i czyść…”[3]. Ale to już zupełnie inna historia, choć tak bliska.

Rozdział XXIX

Stan wojenny Robespierre’a i Dantona

Nigdy cudzoziemiec nie jest bardziej obcy w kraju niż w czasie rewolucji. Widzi wielkie poruszenie, którego cele i przyczyny są mu nieznane.
Jan Potocki[1]

Po paryskiej premierze filmu *Danton* w 1983 roku francuscy krytycy przyjęli go bardzo przychylnie (czego wyrazem był między innymi Cezar za reżyserię), ale z jednym zastrzeżeniem: „Wajda zrobił film świetny, a odtwórcy ról pierwszo- i drugoplanowych dobrze przysłużyli się temu pięknemu dziełu. Tym lepiej dla kina, lecz tym gorzej dla historii, gdyż im lepszy jest film, tym bardziej narzuca się jego historia. Lecz historia w tym filmie nie jest naszą [podkr. – P.K.]”[2]. Krytycy słusznie wyczuli, że konflikt między dwoma gigantami wielkiej rewolucji francuskiej – Dantonem (Gérard Depardieu) i Robespierre’em (Wojciech Pszoniak) – między dwiema koncepcjami władzy odnosi się w ujęciu polskiego reżysera raczej do ówczesnej sytuacji w Polsce (sierpniowego cudu Solidarności i stanu wojennego) niż do burzliwej i przełomowej historii ich kraju. Scenariusz *Dantona* bazuje na sztuce Stanisławy Przybyszewskiej z 1929 roku *Sprawa*

Dantona, którą Andrzej Wajda wystawiał z wielkim powodzeniem od 1975 roku przez pięć sezonów w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Była to w teatralnym dorobku reżysera sztuka przełomowa. Ograniczył w niej to, dzięki czemu był dotychczas w teatrze i filmie rozpoznawalny: efekty wizualne – ekspresyjność obrazu – na rzecz słowa. Antagonizmy polityczne, konfrontacje różnych poglądów na istotę rewolucji rozgrywały się przede wszystkim w dyskursie dwóch oponentów politycznych, a ich przemówienia stały się „kulminacją akcji". Dzięki temu Wajda zachował ducha sztuki Przybyszewskiej – dramatu racji intelektualnych, historiozoficznych i etycznych. Niebagatelną rolę w inscenizacji dramatu w Teatrze Powszechnym odegrało też to, że Wajda zdecydował, by akcję sceniczną wprowadzić między widzów, czyniąc ich nie tylko obserwatorami wydarzeń, ale także ich współuczestnikami. Dzięki temu siedzący po obu stronach płaszczyzny gry widzowie „wtapiali się" w akcję, niepostrzeżenie pełnili różne funkcje: przysięgłych w Trybunale, deputowanych w Konwencji, do których bezpośrednio zwracali się w swych przemówieniach Robespierre, Saint-Just i inni.

Istotną rolę w powodzeniu przedstawienia miał także dobór aktorów. *Sprawa Dantona* wymagała posiadania w zespole przynajmniej kilkunastu aktorów o silnej osobowości, już samym swoim pojawieniem się na scenie emanujących charyzmą i siłą, które wyniosły ich bohaterów na szczyty rewolucji. Nieprzypadkowo więc Andrzej Wajda realizował ten projekt właśnie w Teatrze Powszechnym, który miał opinię jednego z najbardziej „aktorskich" w Warszawie. Zygmunt Hübner, kierownik artystyczny teatru, zaangażował w tym czasie grono najlepszych aktorów w Polsce; większość z nich współpracowała też już wcześniej z Wajdą (na przykład przy *Ziemi obiecanej*), co bardzo ułatwiało pracę.

Reżyser, jak już wyżej zaznaczono, ograniczył efekty wizualne do minimum. W całym przedstawieniu nie było ani jednego taktu muzyki, ani jednego dźwięku wzmacnianego mechanicznie, nie użyto żadnych mikrofonów; podobnie było ze światłem – wykorzystywanym bardzo oszczędnie i bez „efektu”. Warto też tutaj podkreślić, że Wajda nie wprowadził w tekst dramatu żadnych aktualizacji. Scenografia, zaprojektowana przez reżysera wspólnie z Krystyną Zachwatowicz, była bardzo prosta i surowa: wszystko zostało podporządkowane maksymalnemu uwypukleniu gry aktorskiej wspomaganej przez współuczestnictwo publiczności. Jak wspomina Maciej Karpiński:

> […] widzowie znajdowali się w pięciu miejscach sali teatru – na widowni właściwej, skąd usunięto kilka pierwszych rzędów; na tradycyjnej scenie, gdzie siedzieli na wspinającym się podwyższeniu, oddzieleni od płaszczyzny scenicznej niską barierą; po obu stronach prostokątnego pola gry oraz w pierwszym rzędzie balkonu. Natomiast pole gry składało się z wąskiej płaszczyzny na poziomie tradycyjnej sceny, kilku schodów, wiodących ku płaszczyźnie niższej, będącej podestem, umieszczonym w miejsce usuniętych pierwszych rzędów widowni[3].

Wszystkie elementy architektury scenicznej zostały wykonane z surowego drewna. Na ścianach teatru umieszczono olbrzymie malowane płachty przedstawiające monumentalną architekturę. Nie kryto przy tym ich „operowego fałszu” – płótna marszczyły się, jakby były umyślnie niedbale zawieszone. Kolorowe akcenty wprowadzały jedynie trójkolorowe sztandary i rewolucyjne rozety porozmieszczane w różnych punktach sali i przyozdabiające drewnianą trybunę przeznaczoną dla mówców w Konwencji.

Podstawowym rekwizytem używanym na scenie był duży ciężki dębowy stół. W zależności od tego, czym był przykryty, spełniał różne funkcje: przykryty białym prostym obru-

sem był stołem w mieszkaniu Robespierre'a; zaścielony bogatą materią i wschodnimi poduszkami stawał się łożem lubującego się w przepychu Dantona; udekorowany trójkolorowym sztandarem był prezydialnym stołem w Konwencji; okryty zielonym suknem służył sędziom Trybunału Rewolucyjnego; przy tym samym stole obradowali również członkowie Komitetów.

Kontrasty, jakie tworzyły rekwizyty w ascetycznej scenografii, podkreślały dobitnie istotę konfliktu ideologicznego: przepych sypialni Dantona „bił się" z programowym ubóstwem gabinetu Robespierre'a. Także sposób bycia obu wielkich antagonistów był odmienny: Danton – gadatliwy i wybuchowy – lubił chować się za maską prostactwa „ludowego trybuna"; Nieprzekupny przeciwnie – powściągliwy i oschły, mówił powoli i precyzyjnie dobierał słowa, by uderzać nimi jak sztyletem.

> Robespierre – pisze Maciej Karpiński – reprezentuje pryncypialność, która w każdej chwili może się przerodzić w niebezpieczny dogmatyzm, niosący samozagładę – mimo czystości pobudek, z jakich się począł; Danton jest zwolennikiem rewolucyjnego kompromisu, który wprawdzie jest bliższy ułomnej naturze ludzkiej, lecz za to nieuchronnie kala moralną czystość idei[4].

I właśnie ten spór między „nieludzkim" obrońcą czystości rewolucji a realistą skłonnym do kompromisów i „taktycznych politycznych sojuszy" musieli w swych sumieniach oceniać widzowie, wśród których toczyła się akcja dramatu. Po latach można stwierdzić, że Andrzej Wajda stworzył dla osób przybyłych na przedstawienie swoistą szkołę demokracji. Widzowie, do których zwracali się w swych mowach przywódcy rewolucji, musieli opowiedzieć się, po czyjej stronie staną. Inaczej niż w późniejszej realizacji filmowej dramatu Przybyszewskiej reżyser nie wskazywał tak wyraźnie, z którym bohaterem sympatyzuje. „Dylemat nierozwią-

zany do końca przez historię nie został również rozwiązany w teatrze". Przybyszewska, jak pisali z przekąsem niektórzy krytycy, była „zakochana" w Robespierze i w sztuce uwypukliła jego racje, ale w końcowej scenie, już po osądzeniu i straceniu Dantona, Nieprzekupny zwycięzca uświadamia sobie, że jest następny w kolejce na rewolucyjną golgotę.

Pozostawiony sam na sam ze swym „rozognionym mózgiem", by nie powiedzieć sumieniem (którego, jak sam mówił, jako rewolucjonista nie mógł mieć), wątpi, choć przecież zwyciężył! Przeraża go skala terroru, jaki rozpętał. Czuje, że przepowiednia Dantona, którą ten wykrzyczał w wózku wiozącym go na gilotynę, jest prawdziwa – to samo ostrze odetnie jego głowę. I po pierwszych chwilach bolesnych wahań postanawia, że nie zmieni kierunku swych działań: „Rewolucja i historia raz jeszcze muszą wziąć górę nad ludzkimi słabościami i zwątpieniem!"[5]. Piewca wolności ostatecznie zmienia się w doktrynera przekonanego, że jego czyny przypieczętują wreszcie zwycięstwo rewolucji francuskiej „nieubłaganie i na zawsze zmieniającej oblicze świata"[6]. Otwarte pozostaje pytanie – czy na lepsze?

Andrzej Wajda zachował większość swych teatralnych rozwiązań w filmie, ale w odróżnieniu od adaptacji w Teatrze Powszechnym i wbrew intencjom Przybyszewskiej stanął tutaj wyraźnie po stronie Dantona, który jak już pisano, przy Nieprzekupnym, ze wszystkimi swymi sprzecznościami i wadami – wydawał się bardziej ludzki, ale jednocześnie bardziej skłonny do kompromisu i niechętny rozwiązywaniu problemów kraju przez wprowadzenie „wielkiego terroru"; krótko mówiąc – był mniej podatny na totalitaryzm.

Danton miał być całkowicie realizowany w Polsce na zamówienie wytwórni Gaumont, ale wprowadzenie stanu wojennego w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku zniweczyło te plany. Ostatecznie film powstał we Francji z udziałem pol-

skich aktorów. W postać Maximiliena de Robespierre'a ponownie wcielił się Wojciech Pszoniak, Bronisława Pawlika jako Georges'a Dantona zastąpił Gérard Depardieu. Przed rozpoczęciem zdjęć do filmu Wajda przyjechał z Depardieu do Polski (tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego) i odwiedzili razem siedzibę Solidarności Regionu Mazowsze, by francuski gwiazdor poczuł atmosferę prawdziwej rewolucji. Reżyser tak podzielił obsadę, że stronnikami Robespierre'a byli Polacy, a Dantona – Francuzi. Po zakończeniu zdjęć część polskiej ekipy ze względu na stan wojenny pozostała za granicą (między innymi Wojciech Pszoniak i Andrzej Seweryn). W Polsce po stanie wojennym wielu widzów widziało w filmowym Dantonie Lecha Wałęsę, a w Robespierze generała Wojciecha Jaruzelskiego.

Wprawdzie Robespierre-Jaruzelski nie zgilotynował Dantona-Wałęsy, a nawet po tak zwanej pokojowej rewolucji 1989 roku przychylił się do sztandarowego hasła dantonistów: „To przez zamożność przywiązuje się człowieka do jego ojczyzny", ale dość szybko okazało się, że i ta rewolucja grzęźnie w rzeczywistości, a lud, jak w akcie pierwszym *Sprawy Dantona* Stanisławy Przybyszewskiej, znów zaczyna szemrać w kolejce do piekarni, że trzeba wyczyścić Konwencję.

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że model przyjęty przez Andrzeja Wajdę podczas realizacji *Sprawy Dantona* w Teatrze Powszechnym był bardziej trafny niż jednoznaczne opowiedzenie się po stronie cynicznego koniunkturalisty, jakim niewątpliwie był Danton. Szkoła demokracji, której dzięki Andrzejowi Wajdzie doświadczyli widzowie *Sprawy*, także – a może przede wszystkim – dzisiaj byłaby cennym i inspirującym doświadczeniem; wskazówką, że polityki – jeśli chce się zachować demokrację – nie można pozostawiać samym politykom. Mówiąc inaczej, film *Danton* był drama-

tem historycznym z kluczem, a raczej wytrychem do rzeczywistości w czasie stanu wojennego i po nim. Natomiast *Sprawa Dantona* grana w Teatrze Powszechnym stała się „dramatem historii", w którym można było współuczestniczyć i który można było współtworzyć – już po wyjściu z teatru.

Rozdział XXX

Wiosna elektronicznego mordercy

What once was innocence, turned on its side.
Ian Curtis, *Twenty-four Hours*[1]

9 maja 1987 roku – dzień zwycięstwa czasu moskiewskiego. Właśnie ukończyłem trzynaście lat i w ramach prezentu urodzinowego zafundowałem sobie bilet do kina Farys w Bieczu. Grali *Elektronicznego mordercę*. Tak wtedy w Polsce zatytułowano *Terminatora* Jamesa Camerona. Dobrze zapamiętałem ten seans, gdyż zanim w sali kinowej zgasło światło i zaczął terkotać projektor, w środkowych rzędach zrobiła się zadyma. To dyskotekowcy, zwani dyskomułami lub dobitniej – ojszczymurami, wyrzucali punków z ich miejsc, bo „brudasy za blisko nich siedziały". Na szczęście tym razem czarne skóry i glany wzięły górę nad dresami i podrabianymi adidasami i już spokojnie można było zanurzyć się w apokaliptyczny świat na ekranie.

Cyborg w punkowym kostiumie, siejący zagładę w klubie Tech Noir, to był bohater w sam raz dla nas – małomiasteczkowych punkowców otoczonych dyskotekowym żywiołem. Ameryka w tym filmie nie była dla nas egzotyczna; przypominała nam miejsca, które znaliśmy jak własną, pustą lub dziurawą kieszeń. Terminator równie dobrze mógł pojawić się w zaśmieconych i śmierdzących bramach Biecza czy

Gorlic; mógł zdemolować miejscowy komisariat milicji lub włamać się do pokoju w obskurnym Domu Turysty. Sarah Connor i Kyle Reese tworzyli parę, jakich wiele chodziło po ulicach gminnego miasteczka. Marzyliśmy, by endoszkielet pojawił się na przedmieściach Biecza. Niejako w zastępstwie apokaliptycznej demolki rozbijaliśmy wiejskie zabawy, robiąc nagle pogo do muzyki zespołów, które były wczesnymi, by nie powiedzieć prymitywnymi, prekursorami disco polo. Szły w ruch tulipany z butelek po tanim winie, sprężynowe noże zakupione na kościelnych odpustach, sztachety z płotów i kolce z bron… Wszyscy pragnęliśmy, by życie nabrało tempa.

Nie spodziewaliśmy się, że nasze marzenie spełni się tak szybko i tak bardzo na opak. W 1989 roku nastąpił „dzień sądu” i co do jednego my – antysystemowcy i punkowcy – włączyliśmy się do pracy nad stworzeniem Skynetu: Goryl został komandosem i wysłano go na misję pokojową do Afganistanu; Narkoman w banku wciskał naiwniakom „tanie” kredyty (kto by pomyślał, że ten sobowtór Sida Viciousa z Sex Pistols będzie w przyszłości paradował w czarnym garniturze!); Pyluś postawił na wartości prorodzinne i żył z zasiłków jako głowa wielodzietnej rodziny w zgodzie z nakazami Kościoła. Ja wyjechałem do Krakowa, dostałem się na studia, w odróżnieniu od swych bardziej rozsądnych kolegów przedłużyłem sobie młodość i nadal punkowałem w królewskim mieście. Ale podobnie jak oni, dałem sobie wmówić przedstawicielom pokolenia ’68, które przejęło władzę, że utopia nie jest możliwa, że Skynet nie ma alternatywy. Natomiast John Connor stał się dla nas Don Kichotem lub Chrystusem z karabinem, a w najlepszym wypadku – zmęczonym menelem, który na kacu przysnął w ukradzionym samochodzie obok wielkiego placu budowy. Przebudzony przez uruchomienie wielkiej koparki, zapamiętał sen

o swym bohaterstwie w wojnie ludzi z cyborgami… Sen, to był tylko sen… „Sajgon. Cholera! Wciąż tylko Sajgon…”, powtarzałem sobie często kwestię kapitana Willarda z *Czasu apokalipsy*, włócząc się po ulicach Krakowa lub popijając w nieistniejącej już knajpie Pod Jemiołą przy ulicy Floriańskiej. Szeptałem sobie to cicho, przyglądając się, jak nieprzysiadalni poeci, łącznie z tym, który wymyślił tę chwytliwą frazę, piją razem wódkę. Ale nie o nich tutaj mowa – posiwieli, spuchli i zbrzydli, jak my wszyscy.

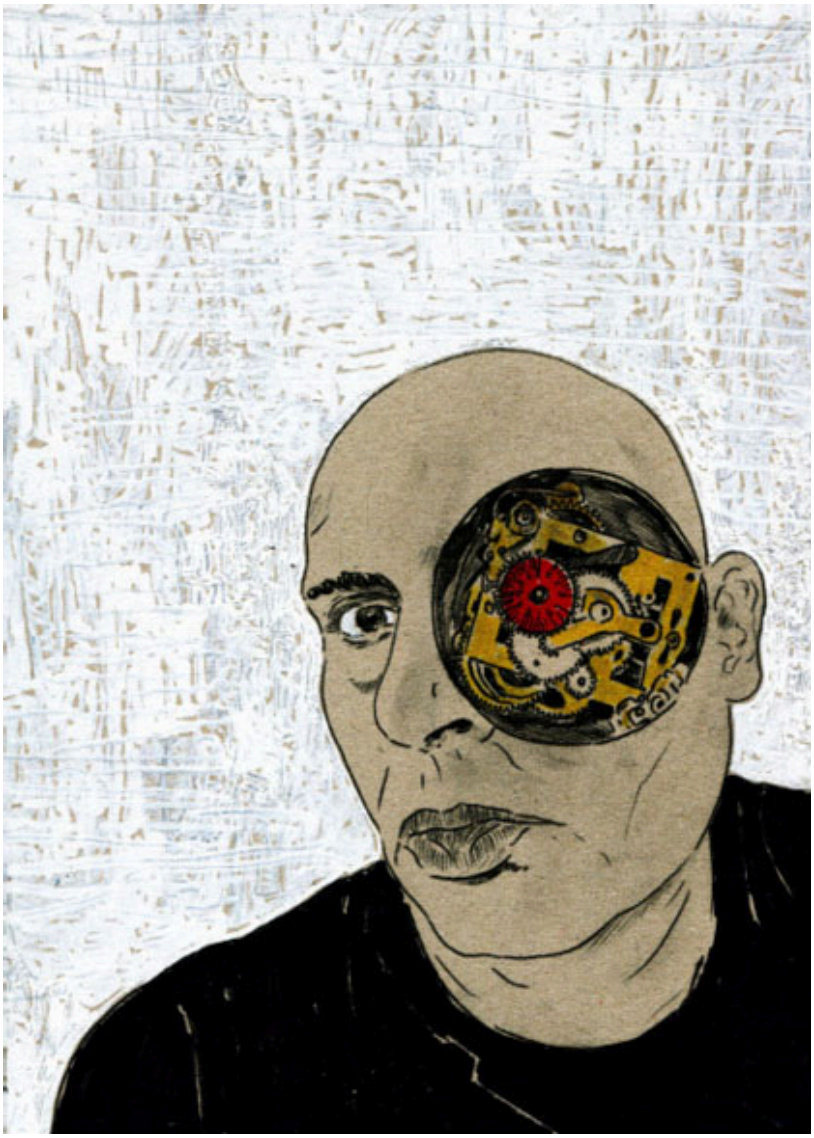

Pewnego dnia w lokalu Pod Jemiołą spotkałem Goryla. Był na przepustce. Siedział nad piwem i bawił się zapalniczką z łuski po pocisku. I tak kapitan Willard spotkał się z Kurtzem w krakowskiej knajpie. Wspominaliśmy stare małomiasteczkowe czasy. Goryl pochwalił się, że zaraził swoich mundurowych kolegów muzyką Dezertera. A że był strzelcem pokładowym w śmigłowcu kawalerii powietrznej, już wiedziałem, co wyparło Wagnera nad afgańskimi wioskami i górami. „Stary, to kurwa jest prawdziwy haj, a nie to popierdalanie z jabolem i kwasem na wiejskich zabawach". Dezerter w Afganistanie… Nieśmiertelna pacyfa wymalowana na hełmie komandosa wyszkolonego do zadawania cichej śmierci, ale muzykę po staremu lubił głośną! Goryl na froncie nie zdradził rock'n'rolla. *The Unknown Soldier* Jima Morrisona był już piosenką zupełnie o nim. Pisał o tym celnie Michael Herr w swych *Depeszach*:

> Od strony drzew szedł ciężki ogień, ale póki się nie podnosiliśmy, nic nam nie groziło. A ja sobie myślałem, o jeny, czyli tak wygląda ryżowisko, ekstra! Nagle w ucho dźgnęły mnie dźwięki gitary elektrycznej, a jakiś obłędny, ekstatyczny czarny głos śpiewał, namawiał „No chodź, maleńka, już weź nie świruj", i jak mi się to wszystko w głowie połączyło, odwróciłem się i zobaczyłem wyszczerzonego czarnoskórego kaprala, który nachylał się nad kaseciakiem.
>
> – A co – powiedział. – I tak jesteśmy udupieni, dopóki nie przylecą [śmigłowce].
>
> To jest historia o tym, jak pierwszy raz usłyszałem Hendrixa […]. „Eee no, ten Hendrix jest naprawdę spoko", mówił któryś z chłopaków. „Gość jarzy, co i jak!" Hendrix sam był kiedyś w 101. Dywizji Powietrznodesantowej, i w takich oddziałach w Wietnamie miałeś pełno odjechanych czarnych geniuszy[2].

Jimi Hendrix był i dla nas spoko, choć nie byliśmy hipisami, tylko punkowcami (u nas nie było hipisów). Wychowała go ulica i jako podrostek kradł samochody. Od sędziego na

rozprawie dostał propozycję nie do odrzucenia: albo więzienie, albo wojsko. Przyjęli go do spadochroniarzy i gdyby nie kontuzja kręgosłupa w czasie skoku spadochronowego, pewnie taplałby się w wietnamskim ryżowisku i grał na cekaemie Wietkongowi, a nie na elektrycznej gitarze dzieciom kwiatom na Woodstocku. Goryl też był spoko. O wojnie mówił krótko: „Jak nie napierdalają tamci, to napierdalają nasi. Jedyna różnica to, w kogo pierdolnie, czyli, kurwa, żadna różnica". Żadnej ideologii – lewicowej czy prawicowej – żadnego patriotycznego dęcia. „Na wojnę, Siwy [to moja punkowa ksywa], jadą dobrowolnie w mniejszości szajbnięte trepy, a w większości biedne chłopaki, które chcą trochę zarobić i żyć normalnie ze swoimi kobietami i dzieciakami. Tylko z wojny mało kto wraca normalny i tak Uroboros wpierdala swój ogon…". Goryl to był nie tylko strzelec pokładowy wysokiej klasy, ale i poeta (parafrazując *Nieprzysiadalność*, znany wiersz Marcina Świetlickiego – także bywalca knajpy Pod Jemiołą – jak najbardziej „przysiadalny", jeśli mu się postawiło pełne szkło). Byłby może kimś ważnym w tym fachu, gdyby nie ta bieda wielodzietnej rodziny z Racławic pod Bieczem… Ale kto by wtedy puszczał Dezertera nad afgańskimi górami? Goryl – postrach gorlickich skinów – zmienił się w terminatora: „*I'll be back*" i „*Hasta la vista, baby*" w jednym… Wolę nie wiedzieć, jak się dziś Gorylowi żyje, jeśli żyje…

I dla mnie wreszcie skończyło się dzieciństwo, jak napisał w jednym z wierszy cytowany już Marcin Świetlicki. Na trzecim roku studiów skończyło się rzeczone dzieciństwo, akurat podobnie jak u bohatera *Przypadku* – Witka Długosza. Jemu przynajmniej ojciec zdążył przed śmiercią powiedzieć coś bardzo ważnego: „Nic nie musisz". Cenne przesłanie w Skynetowym korpoświecie… Ten film Krzysztofa Kieślowskiego, choć zrealizowany w 1981 roku, premierę miał

w tym samym roku, co *Terminator* Camerona, i wbrew pozorom opowiadał o tym samym. Witek to John Connor zapętlony w trzech wariantach czasoprzestrzeni. Każda z nich kończy się katastrofą lotniczą, ale czy to aby na pewno śmierć? Krytycy piszą dziś, że w *Przypadku* Kieślowski dystansował się od wszelkiej ideologii. Nic bardziej mylnego. On pokazał, że ani komuniści, ani solidarnościowcy nie mieli w pełni racji i nie zdawali sobie sprawy, co tak naprawdę wyniknie z ich działalności. Kieślowski czuł, że będą problemy, i pokazał to w pewnej kapitalnej scenie, kiedy ideowy komunista Werner po powrocie z delegacji na Zachodzie pokazał Witkowi elektroniczny zegarek. Plastikowy gadżet z procesorem w środku – forpoczta kapitalizmu… Któż w drugiej połowie lat osiemdziesiątych nie chciał mierzyć czasu elektronicznym zegarkiem.

Skończyło się więc dzieciństwo w połowie lat dziewięćdziesiątych i ja wyjechałem, wzorem Goryla, na swój front – do niemieckiej huty w Zagłębiu Ruhry. A jakże, było to wiosną. Podobnie jak Witek Długosz, który miał trzy warianty życia, zapisałem trzy obrazy z kombinatu:

1. Granatowe mury nowo budowanej hali na tle białego nieba wyrastają ponad szary budynek formierni, a na pierwszym planie zielone i pomarańczowe kontenery na śmieci. Mrużę oczy i w swojej głowie robię z tego obraz ekspresjonistyczno-abstrakcyjny… Jeszcze łyk wody, kęs chleba i trzeba wracać na halę, gdzie czeka żelazo.
2. Na halę wbiegła nagle sarna z zakrwawionym pyskiem. Przeskoczyła rozgrzane odlewy i znalazła wyjście z drugiego końca hali. Dopiero wtedy zobaczyliśmy sprawcę tego surrealistycznego zdarzenia – na pobliskim pagórku stał wilk, który widząc ludzi, przerwał pościg. Prawie pewna zdobycz ocalała dzięki piekłu.
3. Rdza wgryzła się w moją skórę; już krąży w mojej krwi i zmienia moje myśli – automatyzuje przekaz… Stałem się przedłużeniem maszyny, moje dłonie układają się w zaciski, moje ruchy są coraz

bardziej określone i precyzyjne. Mogę wszystko! Mogę wskrzesić futuryzm! Ognia!

I ja zmieniłem się w końcu w terminatora. Światło i ciało. Mrok i ciało. Ból. Rdza i sperma. Ocalił mnie wtedy nie Chrystus, Budda czy Mahomet, ale ateista Pier Paolo Pasolini, kiedy przeczytałem jego poemat *Nienawidzę was drodzy studenci*:

Przykro mi. Polemikę
z partią należało przeprowadzić w pierwszej połowie
ubiegłej dekady. Spóźniliście się, moi drodzy.
Nieważne, że nie było was wtedy na świecie; wasza strata.
Dziennikarze z całego świata (nie wyłączając telewizji)
liżą wam (jak to się jeszcze mówi w sztubackim
języku) dupę. Ale nie ja.
Wyglądacie na nieodrodne dzieci waszych tatusiów.
Dobra rasa nie kłamie.
Patrzycie tak samo złym wzrokiem.
Tchórzliwi, niepewni, zagubieni
(świetnie!) równie dobrze umiecie
dyktować, szantażować, pewni siebie, bezczelni:
drobnomieszczańskie prerogatywy, kochani.
Kiedy wczoraj, na Valle Giulia, tłukliście się
z policjantami,
ja byłem z policjantami.
Bo policjanci są dziećmi biedaków[3].

„Bo policjanci są dziećmi biedaków”… Prawda, jakie to odkrywcze? Skoszarowany, zamarzyłem o intymności. Za oknem lampa uliczna świeciła prosto w okno. Następny dzień to niedziela i pierwszy dzień wiosny. Koledzy mieli plan wycieczki do Belgii po tańszy tytoń i do tańszych burdeli. „W Brukseli jest «czarna ulica», tam stoją tylko czarne kurwy…”, mówił do mnie podniecony ojciec rodziny. „Coś od życia nam się należy za to, że musimy jebać po 12 godzin u gebelsów… Tu nie ma naszych kościołów i naszych

polskich świątyń. Tu jesteśmy sami, więc bawmy się na całego, póki sił, póki jesteśmy młodzi!

– Jedziesz z nami?

– Nie.

– Pójdziesz sobie sam na pogrzeb, pamiętaj”.

Przypomniałem sobie wiersz pewnego izraelskiego poety o wieży czołgu obracającej się w stronę pustyni. Przeczytałem go w szkolnym holu, w jakiejś gazecie, po tym, jak zostałem wyrzucony z klasy za złe zachowanie na lekcji języka polskiego. Byłem wolny. Rzuciłem tę robotę. W przedziale pociągu, którym wracałem z granicy do Krakowa, dziewczyna mówiła do telefonu: „…tak patrzył na mnie, jakby wcześniej miał przyjemność – takie rozpoznanie w oczach”. Tak, to była wiosna, choć czekało na mnie tylko żelazne łóżko w obskurnym pokoju. Rotacja – transformacja – doświadczenie. Niepokojące poczucie nadchodzącej apokalipsy pozostało – jak u głównego bohatera *12 małp,* Jamesa „Jima” Cole’a. On był mi już bliższy od Connora. Nie był pewny, co jest snem, co rzeczywistością; a być może wszystko było majaczeniem chorego psychicznie człowieka… Ale przed końcem świata odnalazł miłość!

Wiosna: „Wrak okrętu stał się niezwykle cennym habitatem dla jałowego dna” – wyrecytowałem zdanie, które usłyszałem w niemieckiej telewizji. Albo-albo.

Albo Joy Division, albo New Order!

Rozdział XXXI

Popiół i wierzby

Drzewo romantyków i straceńców. Maskujące zejście do piekieł, choć często w jego pobliżu chłopi ustawiali swe świątki i Chrystusa frasobliwego. Drzewo podłego gatunku, ale jak rzadko które witalne i zdolne ze spróchniałego do cna pnia wypuszczać wciąż nowe pędy. Drzewo arcypolskie – wierzba. Chopin i mazowieckie wierzby; niezliczone pejzaże polskich wsi z wierzbami młodopolskich impresjonistów i postimpresjonistów, Maciek Chełmicki ze szmajserem i Andrzej Kossecki ze stenem pod wierzbą w *Popiele i diamencie* Andrzeja Wajdy... Można by dodawać jeszcze sporo przykładów do tego ikonostasu polskich artystów, którzy z wierzby czynili temat narodowy. A jednak to drzewo nie dało oswoić się do końca i obrzydzić w szkole jak lipa Kochanowskiego, brzoza Żeromskiego czy Mickiewiczowskie dęby. Wierzba nadal jest rosochata i wykorzystywana przez moce nieczyste, choć ludzie obcinają jej gałęzie i wtykają bazie do wielkanocnych koszyków ze święconką… Polskie diabły ukochały te drzewa. Zwłaszcza te, które rosną na bagnach i nad rzekami.

W wierzbie miał swą siedzibę jeden z najsłynniejszych polskich czartów – wspomniany już Rokita. Ten władca mokradeł wyczarowywał mgłę gęstą jak mleko, która – gnana wiatrem – spowijała całą okolicę i czyniła z niej przestrzeń

wielkich możliwości. Kto odważył się wyjść w białą nieskończoność i spotkał Rokitę, mógł zostać przezeń obdarzony dzbanem złotych talarów. Jedynym warunkiem było podpisanie cyrografu, że w oznaczonym czasie odda piekłu swą duszę. Wielu śmiałków na to przystawało, licząc, że kiedy nastąpi ten termin, w jakiś sposób zdołają oszukać diabła i zachowają nie tylko bogactwo, lecz także szansę zbawienia. Rzeczywiście, ludowe podania wymieniają niejeden taki przypadek i naśmiewają się przy tym z naiwności Rokity. Ale czy rzeczywiście była to naiwność? A może ten, co wiecznie zła pragnąc, dobro czynił? Może po prostu chciał ulżyć doli pańszczyźnianych chłopów i obdarzał ich bogactwem, tylko pozorując piekielne transakcje? Może w piekielnych planach diabeł mieszkający w wierzbie takie właśnie miał zadanie? Wszak to chłopskie doświadczenie, że w biedzie można liczyć jeno na diabelską pomoc, także prowadziło do rebelii przeciw dworskim i kościelnym prawom. Czyniło zamęt w uświęconym porządku I Rzeczypospolitej, którego nawet rozbiory i rewolucje wymazać nie mogły. Wówczas duszami polskich magnatów i szlachty zawładnęły znacznie groźniejsze demony od Rokity, a nawet jego brata – przebranego w szlachecki kontusz Boruty. Straciwszy swe państwo z własnej głupoty i pychy, zaczęli wierzyć, że są wybrańcami – Chrystusem narodów, którego zaborcy krzyżują dla odkupienia świata. Romantyzm! Jakże pięknie było w romantycznej literaturze umierać, szturmując gołymi rękoma ziejące ogniem armaty! W szaleńczym widzie wysyłać na pewną śmierć swe bezbronne dzieci. Bez żadnego planu, bez realnego wsparcia, jedynie na słowo lub dla kaprysu któregoś z europejskich władców, co dla własnych interesów obiecywał wskrzesić Polskę. A przy tym jeszcze opętańczo bić się między sobą, kiedy akurat nastawała pauza między jedną a drugą insurekcją. Ależ wtedy szatani mieli uży-

wanie! I to ci znacznie groźniejsi od diabła mieszkającego w wierzbie. Tacy jak Nieznajomy z *Diabła* Andrzeja Żuławskiego. Powtórzmy raz jeszcze zdanie z rozdziału II: ten uniwersalny typ policyjnego prowokatora w przejmującej kreacji Wojciecha Pszoniaka, uwolniwszy z więzienia niedoszłego rewolucjonistę i królobójcę, Jakuba (Leszek Teleszyński), wręcza mu brzytwę i szepcze do ucha jedno słowo: „Czyść". Młodzieniec poddaje się temu hasłu bez reszty i czyści brzytwą świat, rozpoczynając od własnego stadła. Oto niedoszły powstaniec, który nie miał szczęścia polec za ojczyznę, wrócił do ojcowskiego dworu i zastał tam nieprawość, więc go brzytwą oczyścił… Romantyzm! Do walki bezbronni potrzebowali naprawdę mocnej podniety – zapewniali ją wieszczowie narodowi swoją twórczością:

W dzień Bóg nam dokucza, lecz w nocy wesele,
W noc późną próżniaki się tuczą,
I w nocy swobodniej śpiewają minstrele,
Szatany piosenek ich uczą.
Kto ranną myśl świętą przyniesie z kościoła,
Kto rozmów poczciwych smak czuje:
Noc-pijawka wyciągnie pobożną myśl z czoła,
Noc-wąż w ustach smaki zatruje.
Śpiewajmy nad sennym, my nocy synowie,
Usłużmy, aż będzie nam sługą.
Wpadnijmy mu w serce, biegajmy po głowie,
Nasz będzie – ach, gdyby spał długo![1]

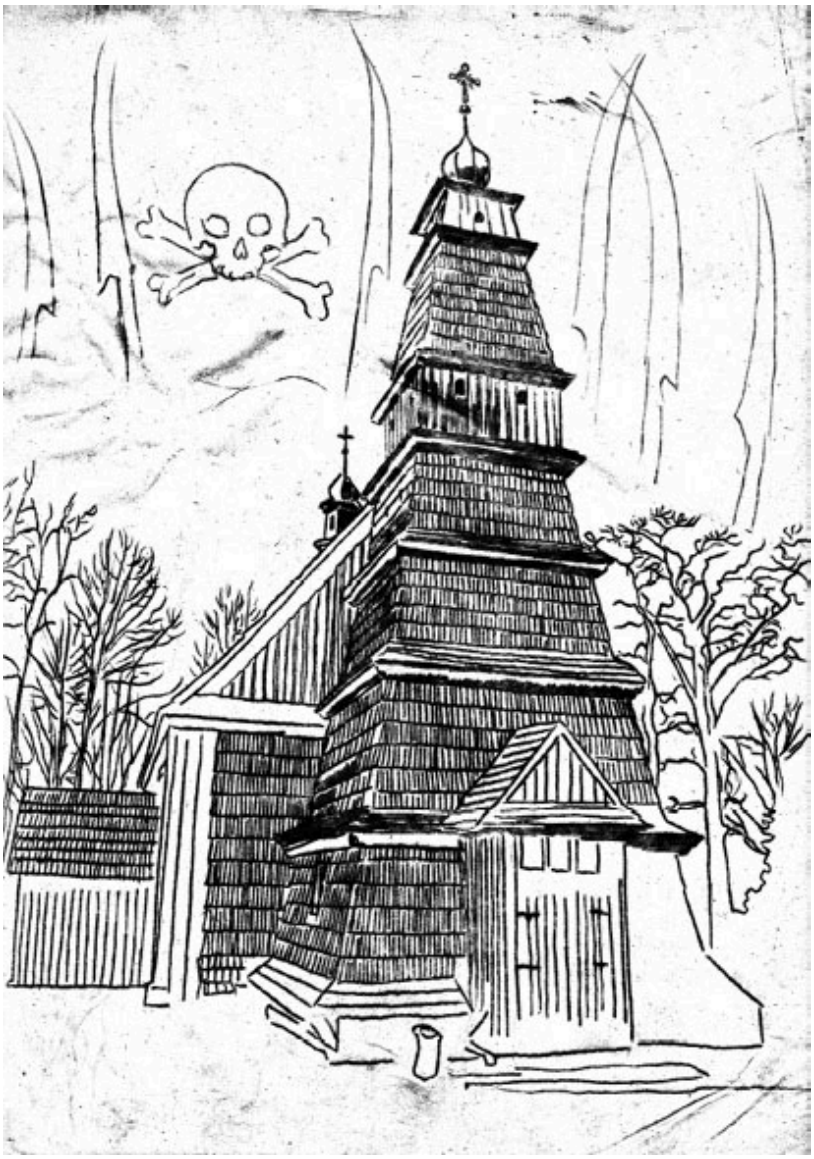

Brzytwa… a może lepiej „siekiera, motyka, piłka, nóż…” i kosa! Kosa postawiona na sztorc. Tadeusz Kościuszko. Ten pełen dobrych intencji wychowanek króla polskiego popłynął do Ameryki i tam na służbie młodej republiki świetnie się spisał. Antykrólewskim rebeliantom pobudował forty i twierdze, ale na zakończenie służby i im zrobił przedniego figla. Upojony republikańskimi ideałami, pieniądze ze swej generalskiej gaży przeznaczył na wyzwolenie niewolników, przede wszystkim tych z plantacji Ojców Niepodległości, w wierze, że i reszta Amerykanów pójdzie za jego przewo-

dem. Następnie jednemu niedowidzącemu wodzowi indiańskiemu wręczył okulary i parę swych pistoletów z zachętą, by walczył nimi o wolności swego ludu. Zaiste szatański był to koncept z punktu widzenia Amerykanów! Ale nie dość tego. Powróciwszy do kraju dzielonego przez trzech zaborczych monarchów, stanął na czele insurekcji i uczynił wobec stanu szlacheckiego rzecz straszną – przypomniał ich niewolnikom, jak stawia się kosy na sztorc, i wmówił, że od teraz są obywatelami. Następnie wymusztrował na modłę amerykańskiej milicji i – o zgrozo! – rewolucyjnej armii jakobinów. Pierwsi chłopskie kosy poczuli na swych żebrach artylerzyści generała Aleksandra Tormasowa pod Racławicami. Spod rosochatych wierzb naczelnik insurekcji Kościuszko wskazał rosyjskie pozycje i krzyknął w stronę wąwozu: „Chłopcy, weźcie mi te armaty!”. Im zaś nie trzeba było dwa razy powtarzać. Gdy dobiegli, siekli strasznie. Pierwszy był Bartos, nazwany później Głowackim, i poszło tak dalej! Kosa na sztorc… Diabeł nie spał, a Wyspiański pisał potem w *Weselu*:

PAN MŁODY
Kosa!
Jaka piękna.

CZEPIEC
A bo nastawiona.

PAN MŁODY
Prawda, ostro najeżona,
jak do bicia – cóż to będzie z tego?

CZEPIEC
Ano nastawiona do użycia,
ale to wy, panowie, nie wicie,
jak widzę – co się gotuje[2].

Wyspiański uchwycił rzecz podstawową, która trapiła szlachtę od 1846 roku, kiedy to w krwawe zapusty kosa na sztorc postawiona przestała być symbolem jednoznacznym, bo tym razem nie poczuli jej na żebrach carscy jagrzy, lecz panowie szlachta. Przygotowując kolejne powstanie narodowe, nie przypuszczali, że Austriacy mogą podburzyć przeciw nim ich własnych niewolników. Rebelia wybuchła gwałtownie jak podpalona ogniem słoma. Poprowadził niewolników na dwory chłop Jakub Szela. Chłopskie poruszenie trwało krótko i zgasło też jak wypalona słoma, ale w historii Polski zapisało się niczym powstanie Spartakusa w dziejach Rzymu. Szelę dopisano do panteonu diabłów polskich, choć on nie czuł się Polakiem, lecz tutejszym ze Smarżowej. Austriacy wywieźli go później na Bukowinę i darowali trzydziestomorgowe gospodarstwo. Po tym wszystkim kosa na sztorc wprawdzie nadal pozostawała podstawową bronią w zrywie narodowym, ale już patrzono na kosynierów bardziej podejrzliwie, czy aby nie obrócą swej broni przeciw dowódcom. W 1863 roku Marian Langiewicz, dyktator powstania, w swym wojsku z kosynierów tworzył kompanie karne. Jeśli uznał, że któryś żołnierz winny był przestępstwa, odbierano mu karabin i dawano w zamian kosę, by łatwiej zginął w walce z rosyjskimi dragonami.

Śmiertelnie chory Fryderyk Chopin w Nohant wspominał mazowieckie wierzby, a jego kochanka George Sand czytała w gazetach o galicyjskiej rabacji i wielce ją ten temat jako socjalistkę pasjonował. Kiedy chciała dokuczyć swemu kochankowi, pytała go, czy także miał niewolników w „Rosji”, dobrze wiedząc, że jako syn guwernera nie miał aż takiego majątku. Lecz na poważnie zastanawiało ją, jakim cudem polska arystokracja i ziemiaństwo odbudowały swe majątki po klęsce wojny z Rosją w 1831 roku.

To również była sprawka szatańska. Tym razem diabeł stanął po stronie panów i natchnął Johanna Heinricha Leberechta Pistoriusa do stworzenia *perpetuum mobile*. Wynalazca w 1817 roku opatentował aparaturę, dzięki której można było szybko, tanio i wydajnie pędzić wódkę. W 1822 roku broszura *Praktyczna nauka gorzelnictwa* objaśniająca działanie aparatu Pistoriusa, wydana przez Józefa Schnaydera we Lwowie, stała się bestsellerem wśród polskiego ziemiaństwa, a produkcja wódki – głównie pędzonej z ziemniaków – ruszyła pełną parą. To między innymi „wódczany boom" z lat 1832–1844 pozwolił szlachcie w Kongresówce przetrwać konsekwencje klęski powstania listopadowego. Pod koniec lat trzydziestych XIX wieku wódka była najtańszym produktem spożywczym w zaborze rosyjskim – znacznie tańszym od chleba! A głównym odbiorcą tej produkcji stał się polski chłop związany feudalnym prawem propinacji i kupna „pańskiego" alkoholu. Nagminnie też płacono wódką za pracę, na przykład za cztery piąte dniówki wypłacano trzy kwaterki wódki (według dzisiejszego przelicznika ponad pół litra). Na efekty nie trzeba było długo czekać.

Pijaństwo pleniło się na wsi niezależnie od wieku i płci. Podróżni przejeżdżający wówczas przez Kongresówkę narzekali nie tylko na błotniste polskie drogi, lecz także na pijanych chłopów, którzy często w tym błocie leżeli. Miara przebrała się w 1844 roku, kiedy prasa opisała między innymi wypadek pijanego małżeństwa, które podczas powrotu z kościoła saniami po chrzcie dziecka zgubiło je po drodze. Zanim niemowlę odnaleziono, zamarzło już na śmierć. Historia ta miała poruszyć samego cara Mikołaja I, który 17 lipca 1844 roku wydał ukaz ograniczający na terenie Królestwa Kongresowego produkcję alkoholu i zakazujący wszelkich promocji zachęcających do jego spożycia. To był potężny

cios wymierzony w interesy polskiej szlachty. Drugi przyszedł w czasie powstania styczniowego, kiedy car wydał ukaz o uwłaszczeniu ich niewolników. Jednak prawem propinacji szlachta cieszyła się jeszcze długo. W Galicji zniesiono je w 1889 roku, w Kongresówce – w 1898, a w zaborze pruskim już w 1845 roku. Legendy milczą, który diabeł cieszył się najbardziej z tego nieszczęścia szlacheckiego, ale niewątpliwie Jakub Szela został największym piekielnikiem w historii i literaturze polskiej. W *Weselu* pojawia się jako upiór:

UPIÓR
Przyjacielu, przyjacielu…

DZIAD
Kto! ty we krwi! precz, piekielny!

UPIÓR
Ja weselny, ja weselny,
dajcie, bracie, kubeł wody:
ręce myć, gębę myć,
chce mi się tu na Weselu
żyć, hulać, pić.

DZIAD
Precz, przeklęty, precz, przeklęty.

UPIÓR
Dajcie, bracie, kubeł wody:
gębę myć, ręce myć…
DZIAD
Krew na sukniach, krew na włosach…

UPIÓR
Nie pyskuj, nie powtarzaj. –
Już, już wiedzą o tem w Niebiosach.
Nuci
„A stało się to w Zapusty”[3].

Piękny fragment, ale niestety nieprawdziwy. Dziad z Szelą, nawet tym z piekielnych zaświatów, raczej nie rozmawiałby w taki sposób. Ten, kto urodził się w powiecie tarnowskim lub jasielskim, tylko się uśmiechnie, bo dobrze pamięta, że gdy w Bieczu czy w Gorlicach wchodziło się do knajpy, to chłopy przy kuflach z piwem wspominały tylko o jednym: „Jak ich dziadowie piłami chłopów rżnęły i kosami siekały". Szela – czy się to komu podoba, czy nie – był dla nich prawdziwym bohaterem. I o tym szumią wierzby nad Dunajcem, Ropą czy Sitniczanką do dziś, a diabłom mieszkającym w ich pniach ta muzyka bardzo się podoba. Nie ma Szela szans na rehabilitację, jakiej doczekali się niewolnicy Spartakusa, przywódcy ukraińskich powstań czy niewolnicy, którzy czynili dywersję na plantacjach bawełnianych Południa, kiedy zbliżał się do nich generał William Sherman, pod którego sztandary masowo wstępowali. Szelę postawiono pod pręgierzem historii z wyrokiem narodowego zdrajcy, ale podkreślając jednocześnie, że ten „ciemny" chłop po prostu nie miał świadomości narodowej, co wykorzystali Austriacy. Iście szatańska dialektyka.

PAN MŁODY
Znam to tylko z opowiadań,
ale strzegę się tych badań,
bo mi trują myśl o polskiej wsi:
to byli jacyś psi,
co wody oddechem zatruli,
a krew im przyrosła do koszuli.
Patrzę się na chłopów dziś…[4]

„Strzegę się tych badań" i „to byli jacyś psi". Te dwa zdania wciąż niczym echo wybrzmiewają w tak zwanym dyskursie. „To byli jacyś psi", co ośmielili się podnieść uzbrojoną w kosę lub siekierę rękę na panów szykujących narodowy zryw! Dlaczego takie zło! Lud wierny i pobożny posłu-

chał diabła… Wybrał źle! Czy na pewno? Słowa, słowa, słowa… Tak, niewolnikowi niedaleko do psa, co bity wreszcie ukąsi z rozpaczy i wściekłości. Tacy to byli „psi”. Wystarczyło przestać strzec się tych badań:

Henryk (86 lat), mieszkaniec Rożnowic (przed 1945 rokiem Rozembarku), pamiętał nazwiska wszystkich miejscowych dziedziców i ich losy w czasie rabacji:

> Chłopi rzucili się na dwory, bo wyzysk był straszny. Pięć dni musieli odrabiać pańszczyznę na polu dworskim, a dopiero szóstego mogli robić na swoim, jak je posiadali… W Rożnowicach dwór mieli Grabowscy; jak się chłopi ruszyli, to im udało się uciec, a chłopi chyba nawet chcieli, żeby uciekli, bo nie o zabicie chodziło, ale o ziemię. Podobnie było w Sitnicy; tutaj rządził Weryha-Darowski. A na Bugaju był Próchniewski. On się przebrał za parobka i dzięki temu udało mu się uciec. Ale w dalszych wsiach, np. Ołpinach, Olszynach i Rzepiennikach, to już panów porzezali. Jak panowie uciekli, to się chłopi sami uwłaszczyli, każdy pobrał z dworskiego ziemię dla siebie. W Olszynach na przykład dworskim majątkiem zarządzał sołtys Marcin Ryndak i dzielił chłopom ziemię. Po rabacji niektórzy dziedzice powracali, ale ziemi już odbierać nie chcieli, bo się bali… A księża wtedy siedzieli cicho. Chłopi ich nie ruszali i ich ziemi i lasów nie brali, bo to była świętość. Dopiero po ’45 ich upaństwowili, a dzisiaj im to państwo oddało, na przykład las na Bugaju, ale dworskie zostało już nasze. Pokazaliśmy siłę[5].

Marian (62 lata), mieszkaniec Bugaja, zapamiętał opowieść ojca o dziedzicu z Ołpin:

> To podobno wyjątkowo zły człowiek był… Przed „czerniawą” schował się w końskim żłobie w stajni. Jak go chłopi tam znaleźli, to zatkali żłób deskami i przecięli go w pół piłą. A jak piłowali, to mówili: „Chłopy, rznijcie wolno, pomalutku, bo to dobry pan był…”. W innych wsiach złapanych panów okręcali słomą i te „snopki” też przecinali piłami. Panowie najbardziej bali się bandy Korygi z Turzy, to podobno był wcześniej rabuś i herszt bandy. Wieś się zjednoczyła przeciw ciemiężeniu i odpłaciła się strasznie![6]

Genowefa, mieszkanka Sitnicy, pamięta z historii opowiadanych przez babcię, jak księża w kościele parafialnym głosili o karze bożej za rabację:

> Krzyczeli na kazaniach, że zaraza i głód, które przyszły rok po „powstaniu” [1847], to za morderstwa na panach. W parafii rozembarskiej umarło przeszło półtora tysiąca ludzi. Chowano ich na cmentarzu cholerycznym w przysiółku Raj. Kościół długo głosił, że to za rabację, za bezczeszczenie kościołów – chociaż w Rozembarku kościoła nikt nie sprofanował[7].

Tadeusz (58 lat), mieszkaniec Sitnicy: „W Sitnicy, jak pan uciekł, to chłopi dworu nie splądrowali i obcym nie pozwolili tego robić. Pilnowali, żeby nic nie zginęło. Tylko ziemię między sobą dzielili…”[8]. Józef (47 lat), mieszkaniec Rożnowic: „Starsi opowiadali, że w Rozembarku był sam Jakub Szela i podobno zostawił swój autograf na drzwiach dworskiego lamusa”[9]. Jerzy (46 lat), mieszkaniec Sitnicy, wie, że na rabacji jego rodzina zyskała gospodarstwo: „Moi przodkowie pochodzą spod Krosna i po rabacji jako osadnicy sprowadzili się na ziemię podworską w Sitnicy i tutaj z kilkoma rodzinami zostali. Dwór po rzezi zrobił się bardzo ugodowy i dzięki temu ta część wsi do dzisiaj jest bogatsza…”. Wszystkie te opowieści łączy brak jakiejkolwiek wzmianki o zaborcach, jakby liczyła się tylko rozgrywka między chłopami a szlachtą. Nie ma nic o uwłaszczeniu wsi przez Austriaków w 1848 roku; za to uwłaszczeniem nazywa się dzielenie ziemi należącej do wygnanych panów.

GOSPODARZ
To, co było, może przyjść –[10].

Po staremu nad rzeką szumią wierzby, a w najstarszej mieszka diabeł i czeka na okazję, by to, co złe, chłopu zmienić w dobre – jak w ludowej baśni.

Przypisy

[1] Adam Mickiewicz, *Konrad Wallenrod*, wolnelektury.pl, s. 27.
[2] Cytat za: Ignacy Witz, *Obszary malarskiej wyobraźni. Eseje*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1967, s. 66.
[3] Marcin Świetlicki, *Zimne kraje 2*, Agencja Wydawnicza Zebra, Kraków 1995, s. 49.

Zamiast wstępu
[1] Stanisław Wyspiański, *Wesele*, scena XXX, wolnelektury.pl, s. 48.

Rozdział I. Straszny ród Batorych
[1] Ludwik Bazylow, *Siedmiogród a Polska 1576–1613*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1967, s. 104.
[2] Tamże.
[3] Jerzy Robert Nowak, *Węgry bliskie i nieznane*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1980, s. 146.

Rozdział II. Diabły polskie są zbyt romantyczne
[1] Tak określano filmy, których emisji zakazała cenzura PRL. Taśmy z nimi wędrowały na półki archiwów, gdzie niejednokrotnie czekały na swą premierę wiele lat – stąd określenie „półkownicy”.
[2] *Dał nam przykład Bonaparte. Wspomnienia i relacje żołnierzy polskich 1796–1815*, wybór i opracowanie Robert

Bielecki, Andrzej Tyszka, tom I, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984, s. 199.
[3] Tamże, s. 265.
[4] Tamże.
[5] Mariusz Łukasiewicz, *Armia księcia Józefa 1813*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1986, s. 200.

Rozdział III. „Sławny Żyd, Polak prawy”
[1] Mieczysław Inglot, *Postać Żyda w literaturze polskiej lat 1822–1864*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1999, s. 224.
[2] Ernest Łuniński, *Berek Joselewicz i jego syn. Zarys historyczny*, Towarzystwo Akcyjne Odlewni Czcionek i Drukarni S. Orgelbranda Synów, Warszawa 1909, s. 116–117.
[3] Tamże.
[4] Marian Fuks, *Żydzi w Warszawie: życie codzienne, wydarzenia, ludzie*, Wydawnictwo Sorus, Poznań–Daszewice 1992, s. 33.
[5] Majer Bałaban, *Księga pamiątkowa ku czci Berka Joselewicza pułkownika wojsk polskich w 125-letnią rocznicę jego bohaterskiej śmierci 1809–1934*, „Tege”, Warszawa 1934, s. 156–157.
[6] Tamże, s. 157.
[7] Zenon Rappaport, *Pamiętnik Wampira, czyli Wampir w świecie artystyczno-literackim*, tom I, Skład Główny w Księgarni A. Lewińskiego, Warszawa 1861, s. 233.
[8] E. Łuniński, *Berek Joselewicz i jego syn…*, dz. cyt., s. 28–29.
[9] Tamże.
[10] Tamże, s. 32.
[11] Tamże.
[12] Tamże, s. 56.

[13] Tamże, s. 44.
[14] Maria Janion, *Pułkownik żydowski – życiorys romantyczny i nieromantyczny*, Fundacja Judaica – Centrum Kultury Żydowskiej, Kraków 2008, s. 88.
[15] Anonim, przyśpiewka ludowa ze zbiorów autora.

Rozdział IV. Przyśpiewki odciętej głowy z Racławic
[1] Konstanty Leliwa Słotwiński, *Katechizm poddanych galicyjskich o prawach i powinnościach ich względem Rządu, Dworu i samych siebie*, b.w., Kraków 1832, s. 67–69.
[2] Tamże, s. 86.
[3] Tamże, s. 135.
[4] Tamże, s. 138.
[5] Tamże.
[6] Kazimierz Ostaszewski-Barański, *Krwawy rok: opowiadanie historyczne*, Księgarnia i Drukarnia Wilhelma Zukerkandla, Złoczów 1849, s. 73.
[7] Antoni Kroh, *Wesołego Alleluja Polsko Ludowa, czyli o pogmatwanych dziejach chłopskiej kultury plastycznej na ziemiach polskich*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2014, s. 243.

Rozdział V. Apostoł „ziemi od krwi dymiącej”
[1] Franciszek Ziejka, *Karol Bołoz Antoniewicz. Kapłan – misjonarz – poeta*, „Horyzonty Wychowania”, nr 5/2006, s. 20.
[2] Ks. Karol Antoniewicz, *Wspomnienia misyjne z roku 1846*, A. Popliński, Poznań 1849, s. 77.
[3] Tamże, s. 8.
[4] Tamże, s. 9.
[5] Ks. Edward Nowakowski, *Częstochowa w obrazach historycznych*, b.w., Kraków 1898, s. 94.

Rozdział VI. Czas Cyganów się nie skończył

[1] Pochodzę z południowej Małopolski, spędziłem dzieciństwo i młodość w okolicach Biecza, Gorlic czy Nowego Sącza i bardzo często spotykałem się tam z Cyganami – to były zawsze chwile czarodziejskie. Na pamiątkę tych spotkań używam formy Cyganie, a nie Romowie, gdyż ta pierwsza nazwa kojarzy mi się ze szczęśliwymi wspomnieniami i absolutnie nie ma dla mnie wydźwięku pejoratywnego.
[2] Jolanta Drużyńska, *Ostatni tabor: jak władza ludowa zakazała Cyganom wędrowania,* Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2015, s. 44.
[3] Tamże.
[4] Tamże.

Rozdział VIII. Maks Gierymski nie został żołnierzem wyklętym

[1] Janusz Bogucki, *Gierymscy*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1959, s. 34.
[2] Tamże, s. 68.
[3] Tamże, s. 70.

Rozdział IX. Potęga wizerunku

[1] Cytat za: Katarzyna Bojarska, *Wydarzenia po Wydarzeniu: Białoszewski, Richter, Spiegelman*, Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich PAN, Warszawa 2012, s. 96.
[2] Aleksander Maciesza, *Historia fotografii polskiej w latach 1839–1889*, Towarzystwo Naukowe Płockie, Płock 1972, s. 75.
[3] Tamże.

Rozdział XI. Osobliwy przyjaciel Żeromskiego

[1] Cytat za: Lech Dubel, *Zapomniany prorok rewolucji. Szkic o Janie Wacławie Machajskim*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2009, s. 10.
[2] Stefan Żeromski, *Dzienniki. Wybór*, oprac. Jerzy Kądziela, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1980,

s. 51–52.
[3] Zygmunt Zaremba, *Słowo o Wacławie Machajskim*, Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż 1967, s. 48.
[4] Stanisław Pigoń, *Miłe życia drobiazgi*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1964, s. 400.
[5] L. Dubel, *Zapomniany prorok rewolucji…*, dz. cyt., s. 65.
[6] Cytat za: tamże, s. 63.

Rozdział XII. W polu, czyli w błocie i we krwi
[1] Stanisław Rembek, *W polu: opowieść*, Oficyna Wydawnicza „Agawa”, Warszawa 2006, s. 358.
[2] Przytoczony fragment wiersza Cypriana Kamila Norwida *To rzecz ludzka!…* posłużył Stanisławowi Rembekowi jako motto *W polu* i widnieje na jego stronie tytułowej.
[3] S. Rembek, *W polu*, dz. cyt., s. 104–105.
[4] Cytat za: Grażyna Moskalska, *Stanisław Rembek (1901–1985)*, „Miesięcznik Prowincjonalny”, nr 1/2008, s. 34.
[5] S. Rembek, *W polu…*, dz. cyt., s. 99.
[6] Tamże, s. 94–95.
[7] Izaak Babel, *Dziennik 1920*, przeł. Jerzy Pomianowski, Czytelnik, Warszawa 1990, s. 44.
[8] Wojciech Chmielewski, *Posłowie,* [w:] S. Rembek, *W polu…*, dz. cyt., s. 357.

Rozdział XIII. Zredukowany
[1] Sądy pokoju w II Rzeczypospolitej stanowiły najniższą instancję sądowniczą i orzekały w drobnych sprawach administracyjnych.
[2] Romuald Karaś, *Ostatni odruch*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1986, s. 74.
[3] Tamże, s. 95.
[4] *Sąd nad Żyrardowem*, „Głos Poranny”, nr 294 z 24 października 1932, s. 3.
[5] Tamże.

[6] Tamże.
[7] Cytat za: R. Karaś, *Ostatni odruch*, dz. cyt., s. 299.

Rozdział XIV. Operacja Ku wolności

[1] Stanisław Strumph Wojtkiewicz, *Piąta kolumna w „Bristolu”*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1971, s. 100.
[2] Tamże.
[3] Tamże.
[4] Juliusz Kulesza w rozmowie z Piotrem Korczyńskim, 16 kwietnia 2018.

Rozdział XV. Autobus Linkego

[1] Stanisław Wyspiański, *Wesele,* scena XXX, wolnelektury.pl, s. 47.
[2] Cecylia Juruś, *W gminie Biecz. Sitnica – legendy i fakty*, Poligrafia Redemptorystów w Tuchowie, Racławice 2016, s. 54.
[3] I. Witz, *Obszary malarskiej wyobraźni…*, dz. cyt., s. 99.
[4] Tamże, s. 102.

Rozdział XVI. Belki z Birkenau

[1] Cytat za: https://literatura.wywrota.pl/wiersz-klasyka/45565-marcin-swietlicki-przed-wyborami.html (dostęp: 21 września 2020).
[2] Andrzej Brzozowski, *Widziany z bliska*, [w:] Aleksander Jackiewicz i in., *Andrzej Munk*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1964, s. 57.
[3] Wiktor Woroszylski, *Wokół „Pasażerki”*, [w:] *Andrzej Munk*, dz. cyt., s. 105.
[4] Scena na podstawie relacji z *Autobiografii Rudolfa Hössa: komendanta KL Auschwitz*, przeł. Wiesław Grzymski, Wydawnictwo Mireki, Kraków 2006.

Rozdział XVII. Milczący prorok z Wożuczyna

[1] Aleksander Jackowski, *Sztuka zwana naiwną: zarys encyklopedyczny twórczości w Polsce*, Wydawnictwo Krupski i S-ka, Warszawa 1995, s. 130.
[2] Tamże.
[3] Cytat za: tamże, s. 131.
[4] Henri Perruchot, *Van Gogh*, przeł. Krystyna Byczewska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1960, s. 403.
[5] A. Jackowski, *Sztuka zwana naiwną…*, dz. cyt., s. 130.

Rozdział XVIII. Zarażony śmiercią
[1] Jerzy Andrzejewski, *Popiół i diament: powieść*, Czytelnik, Warszawa 1948, s. 250.

Rozdział XX. Słońce wschodzi raz na dzień dla wszystkich
[1] Wiesław Dymny, *Słońce wschodzi raz na dzień i inne utwory*, wybór i oprac. Zbigniew Bela, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981, s. 19.
[2] Tamże, s. 24.
[3] Marta Kurkowska-Budzan, *Antykomunistyczne podziemie zbrojne na Białostocczyźnie. Analiza współczesnej symbolizacji przeszłości*, Towarzystwo Wydawnicze „Historia Iagellonica”, Kraków 2009, s. 107.
[4] Tamże, s. 108.
[5] Tamże, s. 111, 112.
[6] W. Dymny, *Słońce wschodzi raz na dzień…*, dz. cyt., s. 29.
[7] Tamże, s. 33.
[8] Tamże.
[9] Tamże, s. 5.

Rozdział XXII. Jak Janko Muzykant został wampirem
[1] Anna Micińska, *Władysław Hasior*, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 1983, s. 30.
[2] Tamże, s. 53.

[3] Tamże, s. 72.
[4] Tamże.
[5] P. Smoleński, B. Kuraś, *Organy – Hasior zdekomunizowany*, „Gazeta Wyborcza”, 29 listopada 2008, https://wyborcza.pl/1,76842,6004200,Organy___Hasior_zdekomunizowany.html (dostęp: 21 września 2020).
[6] Tamże.

Rozdział XXIII. Ostatni husarz w Paryżu
[1] Aleksandra Szarłat, *Celebryci z tamtych lat: prywatne życie wielkich gwiazd PRL-u*, Znak Literanova, Kraków 2014, s. 123.
[2] Edward Stachura, *Siekierezada albo Zima leśnych ludzi,* Czytelnik, Warszawa 1971, s. 8.
[3] Tamże.
[4] A. Szarłat, *Celebryci z tamtych lat…*, dz. cyt., s. 130.
[5] *Wszystko na sprzedaż*, scenariusz i reżyseria Andrzej Wajda, 1969.
[6] *Polskie skrzydła*, sł. Ernest Bryll, https://www.tekstowo.pl/piosenka,danuta_rinn,polskie_skrzydla.html (dostęp: 30 października 2020).

Rozdział XXIV. Ballada o rozebranej Polce
[1] Walerian Borowczyk, *Co myślę patrząc na rozebraną Polkę*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2007, s. 57.
[2] Alicja Helman, *Ewa Pobratyńska*, „Kino”, nr 3/2017, s. 64.
[3] Tamże.
[4] W. Borowczyk, *Co myślę patrząc na rozebraną Polkę*, dz. cyt., s. 82.
[5] Tamże, s. 83.
[6] Tamże.
[7] Tamże.
[8] Tamże, s. 85.

[9] Tamże, s. 56.
[10] Tamże, s. 71.
[11] Tamże, s. 71.
[12] Tamże, s. 73.
[13] Tamże.
[14] Tamże, s. 42.

Rozdział XXV. Danse macabre dwóch Eugeniuszów

[1] H. Perruchot, *Van Gogh*, dz. cyt., s. 392.
[2] Janina Stasiakówna, *Eugeniusz Waleszyński* (1907–1959), „Struktury”, nr 1, 15 V 1959, s. 9.
[3] Ireneusz J. Kamiński, *Sztuka w labiryncie*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1976, s. 67.
[4] Tamże, s. 128.

Rozdział XXVII. Strzeżcie się wakacyjnych pociągów

[1] Miron Białoszewski, *Pamiętnik z powstania warszawskiego,* Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, s. 202.

Rozdział XXVIII. Kiedy zło dobrem nagradza

[1] A. Jackowski, *Sztuka zwana naiwną*, dz. cyt., s. 132.
[2] Tamże.
[3] Cytat za: *Diabeł*, scenariusz i reżyseria Andrzej Żuławski (1972, premiera 1988).

Rozdział XXIX. Stan wojenny Robespierre’a i Dantona

[1] Jan Potocki, *Podróże do Holandii podczas rewolucji w roku 1787*, przeł. Maryna Ochab, Julian Ursyn Niemcewicz, [w:] „Literatura na Świecie”, nr 11–12/2014, s. 20.
[2] Cytat za: https://akademiapolskiegofilmu.pl/pl/historia-polskiego-filmu/filmy/danton/131 (dostęp: 21 września 2020).
[3] Maciej Karpiński, *Andrzej Wajda – teatr*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1980, s. 60.

[4] Tamże, s. 66.
[5] Stanisława Przybyszewska, *Sprawa Dantona*, Universitas, Kraków 2003, s. 50.
[6] Tamże.

Rozdział XXX. Wiosna elektronicznego mordercy

[1] Cytat za: Deborah Curtis, *Joy Division i Ian Curtis. Przejmujący z oddali*, przeł. Krzysztof Obłucki, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1997, s. 214.
[2] Michael Herr, *Depesze*, przeł. Krzysztof Majer, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2016, s. 211.
[3] Pier Paolo Pasolini, *Nienawidzę was drodzy studenci*, przeł. Jarosław Mikołajewski, [w:] „Lewą Nogą”, nr 12/1994, s. 415–416.

Rozdział XXXI. Popiół i wierzby

[1] Adam Mickiewicz, *Dziady, część III*, Prolog, wersy 103–114, https://pl.wikisource.org/wiki/Dziady_część_III/Prolog (dostęp: 21 września 2020).
[2] S. Wyspiański, *Wesele*, scena XVIII, wolnelektury.pl, s. 140–141.
[3] Tamże, scena XV, s. 85.
[4] Tamże, scena XXX, s. 47.
[5] W rozmowie z autorem, maj 2001.
[6] W rozmowie z autorem.
[7] W rozmowie z autorem.
[8] W rozmowie z autorem.
[9] W rozmowie z autorem.
[10] S. Wyspiański, *Wesele*, dz. cyt., scena XXX, s. 47.

Seria Ludowa Historia Polski

Polska żyje historią. Ale właściwie czyja to historia? Nasza świadomość i wyobraźnia historyczna zatrzymały się w mitycznych obrazach husarzy, hetmanów i białych dworków szlacheckich. Co jednak z dziejami pozostałych 90% populacji naszego kraju? Czy nie mają one znaczenia, bo pozostają jedynie milczącym tłem i nawozem dla historii elit? Czy dzieje zwykłych ludzi są mniej ważne?

Nowoczesna historiografia, antropologia i socjologia historyczna przekonują, że jest wręcz odwrotnie. Nie tylko dlatego, że dotyczą one przygniatającej większości naszych przodków. Nie tyko dlatego, że niedostrzegana i przemilczana przez wieki podmiotowość klas ludowych – ich codzienny opór, a czasem otwarte bunty – zawsze wpływała na kształt dziejów oficjalnych. Ale także dlatego, że historia nieuprzywilejowanych jest tożsama z procesem demokratyzacji i jako taka pozostaje niezakończona.

Seria książkowa Ludowa Historia Polski ma stanowić przyczynek do odzyskania zapomnianych dziejów zwykłych ludzi. Chcemy w niej przedstawiać najciekawsze prace o tych, którzy nie kwalifikowali się do narodu Sarmatów, choć byli prawdziwą solą ziem dawnej Rzeczypospolitej. Będą to zatem książki o chłopach pańszczyźnianych, miejskiej biedocie, ludziach luźnych (pod pewnymi względami odpowiadających dzisiejszemu prekariatowi), a wreszcie proletariacie. Oddamy głos kobietom, migrantom, mniejszościom. Zwrócimy uwagę na skrzywdzonych i poniżonych, dla których nie ma miejsca w historii imperiów i dynastii, choć to przecież ich trud zawsze budował potęgę państw i władców. Wydobędziemy z niebytu opowieści o życiu codziennym zwykłych ludzi, ich doświadczeniach, kulturze, kondycji ekonomicznej i statusie prawnym, aspiracjach i sposobach organizowania

się. Przyjrzymy się mniej lub bardziej znanym epizodom wdzierania się klas plebejskich w sferę politycznej widzialności – społecznym poruszeniom, rebeliom i powstaniom – jak w 1648, 1794, 1846, 1905 czy 1980 roku. Opowiemy inaczej zarówno historię dawną, jak i XX wieku. Celem serii Ludowa Historia Polski jest zatem wypełnienie największej z białych plam naszych dziejów, przyczynienie się do przywrócenia należnego miejsca i godności plebejskim przodkom przygniatającej większości z nas. Z pewnością pozwoli nam to lepiej zrozumieć własną historię, ale może też pomóc stawić czoła wyzwaniom współczesności i przyszłości.

Przemysław Wielgosz
Redaktor merytoryczny serii